

**Albert Camus**

# **Dzuma**

*Jest rzeczą równie rozsądną ukazać  
jakiś rodzaj uwięzienia przez inny, jak  
ukazać coś, co istnieje rzeczywiście,  
przez coś innego, co nie istnieje.*

Daniel Defoe

## I

Ciekawe wypadki, które są tematem tej kroniki, zaszły w 194. r. w Oranie. Według powszechnego mniemania nie były one tu na swoim miejscu, wykraczały bowiem nieco poza zwyczajność. W istocie, na pierwszy rzut oka Oran jest zwykłym miastem i niczym więcej jak prefekturą francuską na wybrzeżu algierskim.

Miasto, trzeba przyznać, jest brzydkie. Wygląda spokojnie i dopiero po pewnym czasie można zauważyć, co je odróżnia od tylu innych miast handlowych pod wszystkimi szerokościami. Jakże wyobrazić sobie na przykład miasto bez gołębi, bez drzew i ogrodów, gdzie nie uderzają skrzydła i nie szeleszczą liście, miejsce nijakie, jeśli już wyznać całą prawdę? Zmiany pór roku czyta się tylko w niebie. Wiosnę oznajmia jedynie jakość powietrza lub koszyki kwiatów, które drobni sprzedawcy przywożą z okolicy: wiosnę sprzedaje się na targach. W lecie słońce zapala zbyt suche domy i pokrywa mury szarym popiołem; wówczas można żyć tylko w cieniu zamkniętych okiennic. Jesienią natomiast potop błota. Pięknie bywa tylko zimą.

Najdogodniej można poznać miasto, starając się dociec, jak się w nim pracuje, jak kocha i jak umiera. W naszym małym mieście, może za przyczyną klimatu, wszystko to robi się razem, z miną jednak szaleńczą i nieobecną. To znaczy, że ludzie tu się nudzą i starają się nabrać przyzwyczajień. Nasi współobywatele dużo pracują, ale zawsze po to, by się wzbogacić. Interesują się przede wszystkim handlem i zajmują się głównie, jak to sami nazywają, robieniem interesów. Oczywiście mają również upodobania do prostych radości, lubią kobiety, kino i kąpiele morskie. Bardzo jednak rozsądnie zachowują sobie te przyjemności na sobotę wieczór i na niedzielę, usiłując w inne dni tygodnia zarobić dużo pieniędzy. Wieczorem, po wyjściu z biur, spotykają się o umówionej godzinie w kawiarniach, przechadzają po tym samym bulwarze albo siadają na swych balkonach. Pragnienia młodszych są gwałtowne i krótkie, a grzechy starszych nie wykraczają poza związki amatorów kręgli, bankiety stowarzyszeń i zebrania, gdzie gra się grubo w karty.

Można zapewne powiedzieć, że nie są to osobliwości naszego miasta i że, razem wzięwszy, wszyscy nasi współcześni są tacy. Bez wątpienia, nic dziś bardziej naturalnego niż ludzie pracujący od rana do wieczora, którzy potem przy kartach, w kawiarni i na gadaniu tracą czas, jaki pozostał im do życia. Ale są miasta i kraje, gdzie ludzie od czasu do czasu podejrzewają istnienie czegoś innego. Na ogół nie zmienia to ich życia. Ale

zaznali podejrzeń, a to zawsze jest wygrana. Natomiast Oran jest wyraźnie miastem bez podejrzeń, to znaczy miastem całkowicie nowoczesnym, a zatem nie jest rzeczą konieczną określać dokładnie, w jaki sposób kochają się u nas. Mężczyźni i kobiety albo łączą się pospiesznie w tym, co nazywa się aktem miłosnym, albo powoli przyzwyczajają się do siebie. Między tymi krańcami często nie ma środka. To także nie jest oryginalne. W Oranie, jak gdzie indziej, z braku czasu i zastanowienia trzeba kochać, nie wiedząc o tym.

Bardziej oryginalna w naszym mieście jest trudność, z jaką przychodzi tu umierać. Trudność nie jest zresztą właściwym słowem i raczej należałoby mówić o niewygodzie. Nigdy nie jest przyjemnie chorować, ale są miasta i kraje, które podtrzymują nas w chorobie, miasta i kraje, gdzie można w pewien sposób popuścić sobie cugli. Choremu trzeba łagodności, pragnie znaleźć jakieś oparcie, to naturalne. W Oranie jednak klimat, waga załatwianych interesów, błaha dekoracja, szybki zmierzch i jakość rozrywek — wszystko wymaga dobrego zdrowia. Chory czuje się tu bardzo samotny. Pomyślcie więc o kimś, kto ma umrzeć w pułapce, oddzielony od innych setkami ścian trzeszczących od żaru, gdy w tej samej chwili cała ludność rozmawia przez telefon lub w kawiarniach o wekslach, frachtach morskich i dyskontach. Zrozumiecie, jak niewygodna jest śmierć, nawet nowoczesna, jeśli zjawi się niespodzianie w skwarnym mieście.

Tych kilka uwag daje może wystarczające pojęcie o Oranie. Zresztą nie należy w niczym przesadzać. Trzeba tylko podkreślić banalny wygląd miasta i życia. Czas jednak mija tu łatwo, skoro tylko nabierze się przyzwyczajajeń. Z chwilą gdy nasze miasto zacznie sprzyjać przyzwyczajeniom, można powiedzieć, że już wszystko jest dobrze. Pod tym względem życie na pewno nie jest zbyt pasjonujące. Ale przynajmniej nie ma u nas nieporządku. Toteż nasza ludność, szczerą, sympatyczną i aktywną, zawsze budziła w podróżnych rozsądny szacunek. To miasto, pozbawione malowniczości, roślinności i duszy, w końcu staje się odpoczynkiem i człowiek zapada tu wreszcie w sen. Należy jednak dodać, że zaszczerpiono je w niezrównanym pejzażu, pośrodku nagiego płaskowzgórza otoczonego świetlistymi dolinami nad zatoką o doskonałym rysunku. Można tylko żałować, że miasto zbudowano tyłem do tej zatoki, niepodobna więc dostrzec morza, którego zawsze trzeba szukać.

Wiedząc już to wszystko, przyznacie bez trudu, że nasi współobywatele nie mogli spodziewać się wypadków, które zaszły na wiosnę owego roku; jak zrozumiemy później, były one niejako pierwszymi oznakami w serii poważnych wydarzeń, których kronikę

zamierzamy tu spisać. Te fakty wydadzą się jednym naturalne, innym, na odwrót, nieprawdopodobne. Ale kronikarz nie może się liczyć z tymi sprzecznościami. Jego zadaniem jest stwierdzić: "To się zdarzyło", kiedy wie, że rzecz zdarzyła się naprawdę, że wypełniła życie wszystkich i że są tysiące świadków, którzy zważą w swym sercu prawdę tego, co on mówi.

Zresztą narrator, którego czytelnik pozna we właściwej chwili, nie miałby najmniejszego prawa zabierać się do przedsięwzięcia tego rodzaju, gdyby przypadek nie pozwolił mu zgromadzić pewnej liczby zeznań i gdyby siłą rzeczy nie był wmieszany w to wszystko, co opowiedzieć zamierza. To właśnie upoważnia go do dokonania pracy historyka. Rzecz jasna, że historyk, nawet amator, ma zawsze dokumenty. Narrator tej opowieści ma więc swoje: przede wszystkim własne świadectwo, następnie świadectwa innych, skoro dzięki swej roli musiał zebrać zwierzenia wszystkich osób tej kroniki, na koniec teksty, które wpadły mu w ręce. Zamierza czerpać z nich, gdy uzna to za stosowne, i użyć ich, jak mu się spodoba. Zamierza również... Ale może już czas porzucić komentarze i przezorne omówienia, i przejść do samego opowiadania. Opis pierwszych dni wymaga pewnej drobiazgowości.

Rankiem 16 kwietnia doktor Bernard Rieux wyszedł ze swego gabinetu i pośrodku podestu zawadził nogą o martwego szczura. Na razie odsunął zwierzę, nie zwracając na nie uwagi i zszedł ze schodów. Ale gdy znalazł się na ulicy, przyszło mu na myśl, że ten szczur nie powinien był tam się znaleźć, i zawrócił, by zawiadomić dozorcę. Widząc reakcję starego Michela, zrozumiał, jak bardzo jego odkrycie było niezwykle. Obecność tego martwego szczura wydała mu się tylko dziwna, gdy dla dozorczy oznaczała skandal. Postawa dozorczy była zresztą stanowcza: nie ma szczurów w domu. Na próżno doktor zapewniał, że widział szczura na podeście pierwszego piętra, nic nie mogło zachwiać przekonania Michela. Nie ma szczurów w domu, ktoś musiał więc przynieść zwierzę z zewnątrz. Krótko mówiąc, to jakiś kawał.

Tego samego wieczoru, gdy Bernard Rieux stojąc na korytarzu szukał kluczy, zanim wszedł na schody, ujrzał, jak z ciemnej jego głębi wynurza się wielki szczur o wilgotnej sierści, poruszający się niepewnym krokiem. Szczur zatrzymał się, jak gdyby szukał równowagi, skierował ku doktorowi, zatrzymał znowu, zakręcił w miejscu z nikłym piskiem i upadł wreszcie, wyrzucając krew na wpół otwartymi wargami. Doktor przypatrywał mu się przez chwilę i poszedł do siebie.

Nie myślał o szczurze. Ta wyrzucona krew skierowała go na powrót ku jego trosce. Żona doktora, chora od roku, miała wyjechać nazajutrz do uzdrowiska w górach. Zastał ją leżącą w ich pokoju, jak ją o to prosił. W ten sposób przygotowywała się do trudów podróży. Uśmiechnęła się.

— Czuję się bardzo dobrze — powiedziała.

Doktor patrzył na twarz zwróconą ku niemu w świetle lampy przy wezglowiu. Dla Rieux ta twarz trzydziestoletnia, mimo śladów choroby, była wciąż twarzą młodości, może dzięki owemu uśmiechowi, który górował nad resztą.

— Śpij, jeśli możesz — powiedział. — Pielęgniarka przyjdzie o jedenastej i zawiozę was na pociąg południowy.

Ucałował lekko wilgotne czoło. Uśmiech odprowadził go do drzwi.

Nazajutrz, 17 kwietnia, o godzinie ósmej, dozorca zatrzymał doktora w przejściu, narzekając na kiepskich dowcipnisiów, którzy położyli trzy martwe szczury pośrodku korytarza. Pochwycono je widocznie w prymitywnie sklecone pułapki, były bowiem całe zakrwawione. Dozorca pozostał pewien czas na progu drzwi wejściowych, trzymając szczury za łapy i spodziewając się, że winowajcy zdradzą się jakimś nowym kawałem. Ale nic takiego się nie stało.

— O — powiedział Michel — już ja ich przychwycę!

Rieux, zaintrygowany, postanowił rozpocząć obchód od dzielnic znajdujących się na krańcach miasta, gdzie mieszkali jego najbiedniejsi pacjenci. Śmieci wywożono stąd znacznie później i auto, jadąc wzdłuż prostych i zakurzonych uliczek, ocierało się o kubły na odpadki pozostawione na skraju chodnika. Przejeżdżając tak jedną z ulic, naliczył tuzin szczurów leżących na resztkach jarzyn i brudnych szmatach.

Pierwszego chorego zastał w łóżku, w pokoju wychodzącym na ulicę, który służył zarazem za sypialnię i jadalnię. Był to stary Hiszpan o twarzy twardej i porytej. Miał przed sobą, na kołdrze, dwa garnki napełnione grochem. W chwili gdy doktor wchodził, chory, na wpół wyprostowany w łóżku, opadł do tyłu, usiłując chwycić chropowaty, astmatyczny oddech. Jego żona przyniosła miskę.

— Cóż, doktorze — powiedział podczas zastrzyku — wychodzą, widział pan?

— Tak — powiedziała kobieta — sąsiad znalazł trzy.

Stary zacierał ręce.

— Wychodzą, widać je we wszystkich kubłach na śmiecie, to głód!

Rieux stwierdził potem bez trudu, że cała dzielnica mówi o szczurach. Skończywszy wizyty, wrócił do domu.

— Na górze jest telegram do pana — powiedział Michel.

Doktor zapytał go, czy widział nowe szczury.

— Ach, nie — rzekł dozorca — stoję na czatach, pan rozumie. I te świny nie mają śmiałości.

Telegram oznajmiał przyjazd matki doktora nazajutrz. Miała zająć się domem syna pod nieobecność chorej. Kiedy doktor wszedł do mieszkania, pielęgniarka już tam była. Rieux ujrzał swoją żonę stojącą w kostiumie, twarz miała uróżowaną. Uśmiechnął się do niej.

— Dobrze — powiedział — bardzo dobrze.

W chwilę potem na dworcu umieszczał ją w wagonie sypialnym. Oglądała przedział.

— Za kosztowne to dla nas, prawda?

— Tak trzeba — powiedział Rieux.

— Co to za historia ze szczurami?

— Nie wiem. To dziwne, ale minie.

Potem powiedział bardzo szybko, że ją przeprosza, że powinien był czuwać nad nią i bardzo ją zaniedbał. Potrząsnęła głową, jakby dając mu znak, by przestał. Ale on dodał:

— Wszystko pójdzie lepiej, kiedy wrócisz. Zaczniemy na nowo.

— Tak — powiedziała z błyszczącymi oczami — zaczniemy na nowo.

W chwilę potem odwróciła się do niego plecami i patrzyła przez okno. Na peronie ludzie tłoczyli się i potrącali. Syczenie lokomotywy dochodziło aż do nich. Zawołał żonę po imieniu i kiedy się odwróciła, zobaczył, że jej twarz jest zalana łzami.

— Nie — powiedział łagodnie.

Uśmiech wrócił pod łzami, nieco skrzywiony. Odetchnęła głęboko:

— Idź, wszystko będzie dobrze. Przycisnął ją do siebie. I teraz na peronie, z drugiej strony szyby, widział tylko jej uśmiech.

— Proszę cię — powiedział — uważaj na siebie.

Ale ona nie mogła go słyszeć.

Blisko wyjścia, na peronie dworca, Rieux potrącił pana Othona, sędziego śledczego, który trzymał swego synka za rękę. Doktor zapytał go, czy wybiera się w podróż. Długi i czarny pan Othon, którego wygląd przywodził na pamięć sylwetkę światowca, jak to mawiało się dawniej, i karawaniarza zarazem, odparł głosem uprzejmym, ale lakonicznie:

— Oczekuję małżonki, która pojechała złożyć wyrazy szacunku mojej rodzinie.

Lokomotywa gwizdnęła.

— Szczury... — powiedział sędzia.

Rieux pchnęło w stronę pociągu, ale zawrócił ku wyjściu.

— Tak — rzekł — to głupstwo.

Z całej tej sceny zapamiętał tylko przechodzącego mężczyznę, który niósł pod pachą skrzynkę pełną martwych szczurów.

Po południu tego samego dnia, gdy Rieux rozpoczynał przyjęcia, zjawił się młody człowiek, o którym powiedziano mu, że jest dziennikarzem i że był już rano. Nazywał się Raymond Rambert. Niski, w sportowym ubraniu, o szerokich ramionach, twarzy zdecydowanej, oczach jasnych i inteligentnych, robił wrażenie człowieka, któremu życie służy. Przystąpił od razu do sprawy. Przeprowadzał ankietę dla wielkiego dziennika paryskiego o warunkach życia Arabów i chciał się poinformować o ich stanie sanitarnym. Rieux powiedział mu, że nie jest z tym dobrze. Ale zanim przystąpi do tematu, chciałby wiedzieć, czy dziennikarz może napisać całą prawdę.

— Zapewne — rzekł tamten.

— Chodzi mi o to, czy może pan powiedzieć najgorsze?

— Niezupełnie, muszę to przyznać. Ale przypuszczam, że taka ocena byłaby nieuzasadniona.

Rieux powiedział spokojnie, że w istocie taka ocena byłaby nieuzasadniona, ale zadając pytanie chciał tylko wiedzieć, czy Rambert może napisać wszystko, bez żadnych ograniczeń.

— Tylko takie wypowiedzi uznaję. Nie będę więc panu pomagał wiadomościami, które posiadam.

— To język Saint-Justa — powiedział dziennikarz z uśmiechem.

Rieux odparł nie podnosząc głosu, że nic mu o tym nie wiadomo, ale że jest to język człowieka zmęczonego światem, który czuje jednak sympatię dla bliźnich i ze swej strony jest zdecydowany nie przystać na niesprawiedliwość i ustępstwa.



Rambert z szyją wciśniętą w ramiona patrzył na doktora.

— Zdaje się, że pana rozumiem — rzekł wreszcie wstając.

Doktor odprowadził go do drzwi.

— Dziękuję panu, że patrzy pan na to w ten sposób.

Rambert był trochę zniecierpliwiony.

— Tak — powiedział — rozumiem, przepraszam, że panu przeszkodziłem.

Doktor uściśnął mu rękę i powiedział, że można by napisać ciekawy reportaż o ilości martwych szczurów, jakie znajdują się teraz w mieście.

— O — zawołał Rambert — to mnie interesuje!

O siedemnastej, kiedy doktor znów szedł do pacjentów, spotkał na schodach mężczyznę młodego jeszcze, o ciężkiej sylwetce, o twarzy masywnej i porytej, zamkniętej szerokimi brwiami. Widywał go niekiedy u hiszpańskich tancerzy, którzy mieszkali na ostatnim piętrze w jego kamienicy. Jean Tarrou pilnie palił papierosa, przyglądając się ostatnim konwulsjom szczura, który zdychał u jego stóp na stopniu schodów. Spojrzał na doktora spokojnie i przenikliwie szarymi oczami, przywitał go i dodał, że pojawienie się szczurów to rzecz ciekawa.

— Tak — rzekł Rieux — ale to w końcu drażni.

— W pewnym sensie, doktorze, tylko w pewnym sensie. Nigdy nie widzieliśmy nic podobnego, ot i wszystko. Ale uważam, że to ciekawe, tak, na pewno ciekawe.

Tarrou przeciągnął ręką po włosach, by odrzucić je do tyłu, spojrzał znów na szczura, nieruchomego teraz, potem uśmiechnął się do Rieux.

— Tak czy inaczej, doktorze, to przede wszystkim sprawa dozorczy.

Doktor napotkał właśnie dozorcę przed domem; stał wsparty o ścianę obok wejścia, z wyrazem zmęczenia na czerwonej zazwyczaj twarzy.

— Tak, wiem — rzekł stary Michel do Rieux, który oznajmił mu o nowym odkryciu. — Teraz znajduje się je po dwa lub trzy. Ale to samo jest w innych domach.

Wydawał się przygnębiony i zatroskany. Machinalnym ruchem pocierał sobie szyję. Rieux zapytał go, jak się miewa. Dozorca nie może oczywiście powiedzieć, że źle. Tylko że czuje się nieswój. Jego zdaniem nie jest to cierpienie fizyczne. Te szczury mu dogodziły i wszystko pójdzie lepiej, gdy znikną.

Ale następnego dnia rano, 18 kwietnia, doktor, który przywiózł swoją matkę z dworca, zastał Michela z miną jeszcze bardziej zgnębioną; na schodach, od piwnicy po

strych, znalazł z dziesięć szczurów. W sąsiednich domach kubły na śmiecie były ich pełne. Matka doktora przyjęła wiadomość bez zdziwienia.

— Takie rzeczy się zdarzają.

Była to mała kobieta o włosach przyprószonych srebrem, o oczach czarnych i łagodnych.

— Jestem szczęśliwa, że cię widzę, Bernard — mówiła. — Szczury są tu bezsilne.

Rieux przyznał jej rację; to prawda, z nią wszystko wydawało się łatwe.

Zatelefonował jednak do znajomego dyrektora miejskiej służby odszczurzania. Czy dyrektor słyszał o szczurach, które wychodzą w wielkich ilościach, by umierać na wolnym powietrzu? Mercier, dyrektor, słyszał o tym, a nawet w jego urzędzie, znajdującym się niedaleko od bulwarów, znaleziono jakie pięćdziesiąt. Zadaje sobie jednak pytanie, czy to sprawa poważna. Rieux nie wie, ale myśli, że służba odszczurzania powinna się tym zająć.

— Tak — rzekł Mercier — jeśli otrzyma odpowiednie rozporządzenie. Jeśli sądzisz, że to warte zachodu, spróbuję się o nie postarać.

— Zawsze to warte zachodu — powiedział Rieux.

Posługaczka doktora powiedziała mu, że w wielkiej fabryce, gdzie pracuje jej mąż, zebrano kilkaset szczurów.

W każdym razie mniej więcej w tym właśnie czasie nasi współobywatele zaczęli się niepokoić. Począwszy bowiem od osiemnastego, fabryki i składy wyrzucały setki trupów szczurzych. W pewnych wypadkach musiano dobijać zwierzęta, których agonია trwała zbyt długo. Ale od peryferii aż do centrum miasta, wszędzie, którędy tylko przechodził doktor Rieux, wszędzie, gdzie gromadzili się nasi współobywatele, szczury leżały stosami w kubłach na śmiecie albo długimi szeregami w rynsztokach. Od tego dnia sprawą zajęła się prasa wieczorna; zapytywała, czy zarząd miejski zamierza działać i jakie pilne środki ma na uwadze, by uchronić obywateli od tego odrażającego najazdu. Zarząd miejski nic nie zamierzył i nic nie miał na uwadze, ale zaczął od tego, że zebrał się na posiedzenie, aby się zastanowić. Polecono służbie odszczurzania zbierać martwe szczury co dzień o świcie. Potem dwa wozy służbowe miały odwozić zwierzęta do zakładu oczyszczania miasta, by je spalić.

Jednakże w następnych dniach sytuacja się pogorszyła. Liczba znalezionych gryzoni wciąż rosła i każdego ranka plon stawał się bardziej obfity. Czwartego dnia szczury zaczęły wychodzić, by umierać gromadnie. Wynurzały się długimi chwiejnymi

szeregami, by zakołysać się w świetle, zakręcić w miejscu i skonać w pobliżu ludzi. Nocą na korytarzach i uliczkach słychać było wyraźnie ich nikły pisk agonii. Rankiem na przedmieściach znajdowano je leżące w rynsztokach, z plamką krwi na spiczastym ryjku, jedne wzdęte i gnijące, inne sztywne, z wyprostowanymi jeszcze wąsami. Nawet w mieście, na podestach schodów i podwórzach, trafiało się ich po kilka. Przychodziły też umierać samotnie do sal administracji, na dziedzińce szkolne, niekiedy na tarasy kawiarni. Nasi zdumieni współobywatele natykali się na nie w najbardziej uczęszczanych miejscach miasta. Trafiały się na placu d'Armes, na bulwarach, na promenadzie Front-de-Mer. Miasto oczyszczano o świcie z martwych zwierząt, lecz w ciągu dnia pojawiały się nowe, i to coraz liczniejsze. Zdarzało się również, że niejeden nocny przechodzień nagle wyczuwał pod stopą elastyczne ciało świeżego jeszcze trupa. Rzekłbyś, że nawet ziemia, na której znajdowały się nasze domy, oczyszczała swe soki, wyrzucała na powierzchnię czyraki i ropę, dotychczas zżerające ją od wewnątrz. Wyobraźcie sobie tylko zdumienie naszego małego miasta, tak spokojnego dotąd: w kilka dni doznało wstrząsu, niby zdrowy człowiek, w którym krążąca powoli krew nagle się wzburzy!

Sprawy posuwały się tak daleko, że agencja Infdok (informacje, dokumentacja, wszelkie informacje na każdy temat) ogłosiła w swoim komunikacie radiowym (bezpłatne informacje), iż samego tylko 25 kwietnia zebrano i spalono 6231 szczurów. Ta cyfra, która nadawała jasny sens codziennemu widowisku, jakie miasto miało przed oczami, wzmogła zamęt. Dotychczas narzekano jedynie na zjawisko nieco odrażające. Teraz zauważono, że to zjawisko, którego rozległości nie można było określić ani pochodzenia wykryć, miało w sobie coś groźnego. Tylko stary astmatyczny Hiszpan zacierał nadal ręce i powtarzał ze starczą radością: "Wychodzą, wychodzą".

Tymczasem 28 kwietnia Infdok ogłosiła, że zebrano 8000 szczurów, i lęk w mieście dosięgnął szczytu. Żądano radykalnych środków, oskarżono władze, a ci, co mieli domy nad brzegiem morza, mówili już o tym, by się tam schronić. Ale nazajutrz agencja doniosła, że zjawisko ustało gwałtownie i że służba odszczurzania zebrała nieznaczną tylko ilość martwych szczurów. Miasto odetchnęło.

Jednakże tego samego dnia, w południe, doktor Rieux, zatrzymując swoje auto przed domem, ujrzał na końcu ulicy dozorcę, który z pochyloną głową, z rękami odsuniętymi od ciała, na rozkraczonych nogach posuwał się z trudem ruchami marionetki. Stary człowiek trzymał za ramię księdza, którego doktor rozpoznał. Był to ojciec Paneloux, uczony i wojujący jezuita, którego widywał niekiedy i który był bardzo

poważany w naszym mieście, nawet przez tych, co są obojętni w sprawach religii. Począł na nich. Staremu Michelowi błyszcząły oczy, oddech miał świszczący. Nie czuł się zbyt dobrze i wyszedł z domu zaczerpnąć powietrza. Ale mocne bóle szyi, pod pachami i w pachwinach zmusiły go do powrotu i szukania pomocy u ojca Paneloux.

— To obrzęki — powiedział. — Musiałem się przemóc.

Wysunąwszy rękę zza drzwiczek auta, doktor przeciągnął palcem po nasadzie szyi, którą Michel ku niemu pochylił, coś na kształt sęka uformowało się na niej.

— Niech się pan położy i zmierz temperaturę, przyjdę po południu.

Gdy dozorca odszedł, Rieux zapytał ojca Paneloux, co myśli o tej historii ze szczurami.

— Och — rzekł ojciec — to zapewne epidemia.

I jego oczy uśmiechnęły się za okrągłymi okularami.

Po obiedzie, gdy Rieux odczytywał telegram z sanatorium, który zawiadamiał go o przyjeździe żony, zadzwonił telefon. Wzywał go jeden z dawnych pacjentów, urzędnik merostwa. Długo cierpiał na zwężenie aorty, a ponieważ był biedny, Rieux leczył go darmo.

— Tak — mówił — pan mnie pamięta. Ale chodzi o kogoś innego. Niech pan przyjdzie szybko, coś się zdarzyło u mojego sąsiada.

Mówił zadyszczonym głosem. Rieux pomyślał o dozorczy i postanowił zobaczyć go później. Po kilku minutach wchodził do niskiego domu przy ulicy Faidherbe, na przedmieściu. Pośrodku chłodnawych, cuchnących schodów napotkał urzędnika, Josepha Granda, który szedł mu naprzeciw. Był to mężczyzna pięćdziesięcioletni, o żółtym, długim i zagiętym wąsie, o wąskich ramionach i chudych członkach.

— Jest lepiej — rzekł podchodząc do Rieux — ale myślałem, że nie przetrzyma.

Wycierał nos. Na drugim i ostatnim piętrze, na drzwiach z lewej strony, Rieux przeczytał wypisane czerwoną kredą: "Wejdźcie, powiesiłem się".

Weszli. Sznur zwisał z góry nad przewróconym krzesłem, stół był odsunięty w kąt. Ale sznur zwisał w próżni.

— Odczepiłem go w porę — powiedział Grand, który wciąż jakby szukał słów, choć mówił najprostszym językiem. — Właśnie wychodziłem i usłyszałem hałas. Gdy zobaczyłem napis, jak to panu wytłumaczyć, pomyślałem, że to żart. Ale on jęknął dziwnie, można nawet powiedzieć, złowrogo.

Podrapał się w głowę.

— Myślę, że to bolesny zabieg. Wszedłem, rzecz prosta.

Pchnęli drzwi i znaleźli się na progu jasnego, ale ubogo umeblowanego pokoju. Niewielki, korpulentny mężczyzna leżał na mosiężnym łóżku. Oddychał mocno i patrzył na nich nabiegłymi krwią oczami. Doktor przystanął. Zdawało mu się, że w przerwach między oddechami słyszy nikłe piski szczurów. Ale nic nie poruszało się w kątach. Rieux podszedł do łóżka. Mężczyzna najwidoczniej nie spadł z bardzo wysoka ani zbyt gwałtownie, kręgi wytrzymały. Oczywiście, trochę był przyduszony. Należałoby go prześwietlić. Doktor zrobił zastrzyk z oleju kamforowego i powiedział, że za kilka dni wszystko będzie w porządku. — Dziękuję, doktorze — rzekł mężczyzna stłumionym głosem.

Rieux zapytał Granda, czy zawiadomił komisariat; urzędnik powiedział ze strapioną miną:

— Nie, o nie! Myślałem, że rzecz najpilniejsza...

— Oczywiście — przerwał Rieux — więc ja to zrobię.

Ale w tej chwili chory poruszył się i wyprostował na łóżku, zapewniając, że ma się dobrze i że nie warto się trudzić.

— Niech się pan uspokoi — powiedział Rieux. — To głupstwo, proszę mi wierzyć, a ja muszę złożyć meldunek.

— Och! — jęknął tamten.

Opadł do tyłu i zapłakał krótkimi szlochami. Grand, który od paru chwil szarpał wąsa, zbliżył się do niego.

— No, panie Cottard — powiedział — niech pan spróbuje zrozumieć. Można powiedzieć, że doktor jest odpowiedzialny. Jeśli na przykład przyszłaby panu ochota zacząć na nowo.

Ale Cottard powiedział płacząc, że nie zacznie, że była to chwila szaleństwa, i pragnie jedynie, by zostawiono go w spokoju. Rieux pisał receptę.

— Zgoda — rzekł. — Zostawmy to, przyjdę za dwa lub trzy dni. Ale niech pan nie robi głupstw.

Na podeście schodów powiedział do Granda, że musi złożyć meldunek, ale poprosi komisarza, by przeprowadził dochodzenie za dwa dni.

— Trzeba nad nim czuwać tej nocy. Czy ma rodzinę?

— Nie znam jej. Ale sam mogę czuwać.

Potrząsnął głową.

— Widzi pan, o nim też nie mogę powiedzieć, że go znam. Ale trzeba sobie wzajem pomagać.

Na korytarzach Rieux machinalnie patrzył w kąty i zapytał Granda, czy szczury całkiem zniknęły z jego dzielnicy. Urzędnik nic o tym nie wiedział. Mówiono mu co prawda o tej historii, ale nie zwraca wiele uwagi na to, co gadają w dzielnicy.

— Mam inne zmartwienia — powiedział.

Rieux ścisnął mu już rękę. Spieszył się zobaczyć dozorcę przed napisaniem listu do żony.

Sprzedawcy wieczornych gazet krzyczeli, że najazd szczurów ustał. Ale Rieux zastał swego chorego na wpół wychylonego z łóżka, z jedną ręką na brzuchu, a drugą wokół szyi; wydierał z siebie z trudem różowawą żółć do blaszanki na śmiecie. Po długich wysiłkach, bez tchu, położył się z powrotem. Miał trzydzieści dziewięć i pięć, gruczoły szyi i kończyny nabrzmiały, dwie czarniawe plamy wystąpiły na boku. Dozorca skarżył się teraz na ból wewnątrz.

— To pali — mówił — to świństwo mnie pali.

Przeżuwał słowa ustami koloru sadzy i zwracał ku doktorowi wytrzeszczone oczy, które ból głowy nappełnił łzami. Jego żona patrzyła z trwogą na milczącego Rieux.

— Doktorze — powiedziała — co to jest?

— To może być cokolwiek bądź. Ale na razie nie ma nic pewnego. Do wieczora dieta i środek oczyszczający krew. Niech pije dużo.

Dozorcę paliło właśnie pragnienie.

Wróciwszy do domu, Rieux zatelefonował do swego kolegi Richarda, jednego z wybitniejszych lekarzy w mieście.

— Nie — powiedział Richard — nie zauważyłem nic nadzwyczajnego.

— Ani gorączki z miejscowymi objawami zapalnymi?

— Ach tak, dwa wypadki z gruczołami w stanie zapalnym.

— Nienormalne?

— Hm — rzekł Richard — normalność, pan wie...

W każdym razie dozorca majaczył wieczorem i przy czterdziestu stopniach przeklinał szczury. Rieux zatamponował ropień fiksacyjny. Podczas przypalania terpentyną dozorca wył: "Ach, świnie!"

Gruczoły powiększyły się jeszcze, były twarde i drzewiaste w dotyku. Żona dozorce była w rozpacz.

— Niech pani czuwa — rzekł doktor — i zawoła mnie w razie potrzeby.

Nazajutrz, 30 kwietnia, ciepły już wiatr wiał po niebieskim i wilgotnym niebie. Przynosił zapach kwiatów, który szedł z najdalszych podmiejskich okolic. Poranny hałas na ulicach wydawał się żywszy i weselszy niż zazwyczaj. W całym naszym mieście, uwolnionym od skrytego lęku, w jakim żyło przez tydzień, ten dzień był dniem powrotu wiosny. Nawet Rieux, uspokoiony listem od żony, zbiegł lekko do dozorca. Rzeczywiście, temperatura spadła rano do trzydziestu ośmiu stopni. Osłabiony pacjent uśmiechał się w łóżku.

— Jest lepiej, prawda, doktorze? — powiedziała jego żona.

— Poczekajmy jeszcze.

Ale w południe gorączka podniosła się nagle do czterdziestu stopni, chory majaczył nieustannie, wróciły wymioty. Gruczoły na szyi bolały przy dotknięciu i zdawało się, że dozorca chce trzymać głowę możliwie najdalej od ciała. Jego żona siedziała u stóp łóżka, z rękami na kołdrze, trzymając delikatnie nogi chorego. Patrzyła na Rieux.

— Niech pani posłucha — rzekł Rieux — trzeba go izolować i zastosować specjalne leczenie. Zatelefonuję do szpitala i przewieziemy go karetką.

W dwie godziny potem w karetce doktor i żona pochylali się nad chorym. Z jego ust usłanych grzybowatymi wyrostkami wychodziły strzępy słów: "Szczury!" — mówił. Zielonkawy, o woskowych ustach, powiekach barwy ołowiu, oddechu urywanym i krótkim, rozkrzyżowany przez gruczoły, wciśnięty w swoje legowisko, jakby chciał przywrzeć do niego na zawsze albo jak gdyby coś wychodzącego z dna ziemi wołało go bez wytchnienia, dozorca dusił się pod niewidocznym ciężarem. Żona płakała.

— Nie ma więc nadziei, doktorze?

— Umarł — powiedział Rieux.

Można powiedzieć, że śmierć dozorca zamykała ów okres pełen mylących oznak i rozpoczynała inny, stosunkowo bardziej trudny, kiedy zdumienie pierwszych dni zamieniało się stopniowo w panikę. Nasi współobywatele — odtąd zdawali sobie z tego sprawę — nie myśleli nigdy, że nasze małe miasto może być miejscem szczególnie wybranym, by szczury umierały tu w słońcu i dozorca ginęli od dziwnych chorób. Słowem, z tego punktu widzenia byli w błędzie i ich poglądy domagały się rewizji. Gdyby wszystko skończyło się na tym, przyzwyczajenia wzięłyby niewątpliwie górę. Ale i inni spośród naszych współobywateli, nie zawsze dozorca i biedacy, mieli pójść drogą, na

którą Michel wstąpił pierwszy. Od tej chwili zaczął się strach, a wraz z nim przyszło zastanowienie.

Jednakże, zanim narrator przejdzie do szczegółów tych nowych wydarzeń, uważa się za rzecz pożyteczną przytoczyć opinię innego świadka o opisanym okresie. Jean Tarrou, którego czytelnik spotkał już na początku tego opowiadania, sprowadził się do Oranu na kilka tygodni wcześniej i zamieszkał w wielkim hotelu w centrum miasta. Widocznie był dość zamożny, by żyć ze swych dochodów. Ale choć miasto przyzwyczyło się powoli do niego, nikt nie potrafił powiedzieć, skąd przybył ani dlaczego jest tutaj. Spotykano go we wszystkich miejscach publicznych. Od początku wiosny zjawiał się często na plażach, pływając dużo i z widoczną przyjemnością. Dobroduszny, zawsze uśmiechnięty, wyglądał na przyjaciela wszystkich normalnych rozrywek, nie będąc ich niewolnikiem. W istocie, znano tylko jedno jego przyzwyczajenie, a mianowicie stałe wizyty u tancerzy i muzyków hiszpańskich, dość licznych w naszym mieście.

W każdym razie jego notatki stanowią również rodzaj kroniki tego trudnego okresu. Ale chodzi o kronikę bardzo szczególną, która, zdawałoby się, zakłada posłuszeństwo wobec błahości. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że Tarrou skupił cały swój wysiłek na tym, by patrzeć na rzeczy i ludzi przez pomniejszające szkło. Słowem, w powszechnym zamięcie starał się być historykiem tego, co nie ma historii. Na pewno można uważać taką postawę za oplakaną i dopatrywać się w niej oschłości serca. Niemniej jednak te notatki mogą dostarczyć mnóstwa szczegółów drugorzędnych, które mają wszakże swoją wagę i których dziwactwo nawet nie pozwala osądzić zbyt szybko tej ciekawej postaci.

Pierwsze notatki Jeana Tarrou rozpoczynają się z chwilą jego przyjazdu do Oranu. Od początku widać w nich osobliwą satysfakcję ze znalezienia się w mieście tak brzydkim ze swej natury. Jest tu dokładny opis dwóch brązowych lwów zdobiących merostwo, przychylnie rozważania o braku drzew, o domach bez wdzięku i absurdalnym planie miasta. Tarrou wtrąca jeszcze dialogi zasłyszane w tramwajach i na ulicach, nie uzupełniając ich komentarzami, wyjąwszy jedną rozmowę, nieco późniejszą, dotyczącą niejakiego Campsa. Tarrou był obecny przy rozmowie dwóch konduktorów tramwajowych:

- Znałeś chyba Campsa? — spytał jeden.
- Camps? Wielki, z czarnym wąsem?
- Właśnie. Był zwrotniczym.



— Tak, oczywiście.

— Więc Camps umarł.

— Ach! Kiedy?

— Po tej historii ze szczurami.

— Proszę! I co mu było?

— Nie wiem, gorączka. Nie był zresztą mocny. Miał wrzód pod pachą. Nie wytrzymał.

— Wyglądał jednak jak wszyscy.

— Nie, miał słabe płuca i grał w "Orfeonie". Dąć wiecznie w piston to niszczy człowieka.

— Och — skończył drugi — nie trzeba dąć w piston, kiedy się jest chorym.

Po tych kilku informacjach Tarrou zadawał sobie pytanie, dlaczego Camps grał w "Orfeonie" wbrew swym najoczywistszym interesom i jakie głębokie przyczyny doprowadziły go do ryzykowania życia dla procesji niedzielnych.

Następnie Tarrou zyczliwie usposobiła scena, jaka rozgrywała się często na balkonie naprzeciw jego okna. Pokój wychodził na małą poprzeczną ulicę, gdzie koty spały w cieniu murów. Ale co dzień po obiedzie, w godzinach, gdy całe miasto drzemało w upale, na balkonie z drugiej strony ulicy zjawiał się mały staruszek. Wyprostowany i srogi w swym ubraniu o wojskowym kroju, z włosami białymi i zaczesanymi starannie, wołał na koty: "Kici, kici", w sposób powściągliwy i zarazem łagodny. Koty podnosiły oczy blade ze snu, nie ruszając się jeszcze. Staruszek dał papier na małe kawałki nad ulicą i zwierzęta, znęcone tym deszczem białych motyli, zbliżały się ku środkowi jezdni, wyciągając z wahaniem łapy ku ostatnim skrawkom papieru. Mały staruszek pluł wówczas na koty z siłą i precyzją. Gdy plwocina osiągała swój cel, śmiał się.

Wreszcie, jak się zdaje, Tarrou ostatecznie oczarował kupiecki charakter miasta, którego wygląd, ożywienie, a nawet rozrywki dyktowały konieczności handlu. Ta osobliwość (określenie użyte w notatkach) zjednywała sobie aprobatę Tarrou i jedna z jego pochwalnych uwag kończyła się nawet okrzykiem: "Nareszcie!" Są to jedyne miejsca, gdzie w tym okresie notatki przybysza nabierają charakteru osobistego. Trudno jest tylko ocenić ich znaczenie i powagę. Tarrou opisuje, że znalezienie martwego szczura doprowadziło kasjera hotelu do pomyłki w rachunkach, i dodaje pismem mniej wyraźnym niż zazwyczaj: "Pytanie: co robić, by nie tracić czasu? Odpowiedź: doświadczać go w całej jego rozciągłości. Środki: spędzać dni w przedpokoju u dentysty

na niewygodnym krześle; przesiadywać na balkonie w niedzielne popołudnie; słuchać wykładu w języku, którego się nie rozumie; wybierać najdłuższe i najmniej wygodne marszruty kolejowe i jechać oczywiście na stojąco; stać w kolejce do okienka, gdzie sprzedają bilety do teatru, i nie wykupić swego biletu itd., itd.". Ale zaraz po tych odskokach języka i myśli rozpoczyna się szczegółowy opis tramwajów naszego miasta, ich łódkowatego kształtu, nieokreślonego koloru, niezmiennego brudu — i rozważania kończą się słowami: "To godne uwagi", co nic nie tłumaczy.

Oto w każdym razie notatki Tarrou o historii ze szczurami:

"Mały staruszek z przeciwka jest dziś zbity z tropu. Nie ma kotów. Znikły rzeczywiście, podniecone przez martwe szczury, które w wielkich ilościach znajduje się na ulicach. Moim zdaniem nie chodzi tu o to, że koty zjadają martwe szczury. Pamiętam, że moje nie znosiły tego. Nie zmienia to faktu, że muszą biegać po piwnicach i że mały staruszek jest zbity z tropu. Jest uczesany mniej starannie i nie tak żwawy. Czuje się w nim niepokój. Po chwili wrócił do mieszkania. Ale splunął raz w próżnię.

W mieście zatrzymano tramwaj, ponieważ natrafiono na martwego szczura, który znalazł się tam nie wiadomo skąd. Kilka kobiet wysiadło. Szczura wyrzucono. Tramwaj ruszył dalej.

Nocny stróż w hotelu, który jest człowiekiem zasługującym na wiarę, powiedział mi, że spodziewa się nieszczęścia z powodu tych szczurów. Odpowiedziałem mu, że to prawda, jeśli idzie o statki, ale że nigdy nie sprawdzono tego, jeśli idzie o miasta. Jednakże jego przekonanie jest niezachwiane. Zapytałem, jakiego nieszczęścia należy jego zdaniem oczekiwać. Nie wie, nieszczęścia nie sposób przewidzieć. Ale nie byłby zdumiony, gdyby zdarzyło się trzęsienie ziemi. Przyznałem, że to możliwe; zapytał, czy mnie to niepokoi.

— Jedyne rzecz, która mnie interesuje — odparłem — to znaleźć spokój wewnętrzny.

Zrozumiał mnie doskonale.

Do hotelowej restauracji przychodzi bardzo interesująca rodzina. Ojciec jest wysokim, chudym mężczyzną ubranym na czarno, w sztywnym kołnierzyku. Środek czaszki ma łysy, a z prawej i lewej strony dwie kępki siwych włosów. Małe, okrągłe i ostre oczy, cienki nos i wąskie usta nadają mu wygląd dobrze wychowanej sowy. Zjawia się zawsze pierwszy w drzwiach restauracji, odsuwa się na bok, przepuszcza swoją żonę, drobną jak czarna mysz, po czym wchodzi sam, a tuż za nim chłopczyk i dziewczynka,

ubrani jak tresowane psy. Przy stole czeka, aż żona zajmie miejsce, siada i dwa pudle mogą się wreszcie usadowić na swych krzesłach. Nie mówi do żony i dzieci, recytuje uprzejme złośliwości pod adresem swej połowicy i wygłasza zdania o charakterze ostatecznym do swych potomków.

— Nicole, Nicole jest w najwyższym stopniu antypatyczna!

Dziewczynka jest bliska płaczu. O to właśnie chodziło.

Dziś chłopiec był poruszony historią ze szczurami. Chciał coś o tym powiedzieć przy stole.

— Nie mówi się o szczurach przy stole, Filipie. Proszę na przyszłość nie wymawiać tego słowa.

— Wasz ojciec ma rację — powiedziała czarna mysz.

Dwa pudle utkwily nosy w kluskach i sowa podziękowała nic nie mówiącym skinieniem głowy.

Mimo tego pięknego przykładu w mieście mówi się dużo o tej historii ze szczurami. Wmieszała się do tego gazeta. Kronika miejscowa, zazwyczaj bardzo różnorodna, jest teraz cała poświęcona kampanii przeciw zarządowi miejskiemu: Dyrektor hotelu nie może mówić o niczym innym. Jest zdenerwowany. Szczury w windzie dystyngowanego hotelu — to wydaje mu się niepojęte. Żeby go pocieszyć, powiedziałem: «Ale to samo jest wszędzie».

— Właśnie — odparł. — Teraz u nas jest jak wszędzie.

To on mówił mi o pierwszych wypadkach tej zdumiewającej gorączki, którą ludzie zaczynają się niepokoić. Zachorowała na nią jedna z hotelowych pokojówek.

— Ale to na pewno nie jest zaraźliwe — upewnił z pośpiechem. Powiedziałem mu, że jest mi to obojętne.

— Ach, pan jest fatalistą jak ja.

Nie twierdziłem nigdy nic podobnego, zresztą nie jestem fatalistą. Powiedziałem mu to..."

Począwszy od tej chwili, notatki Tarrou zaczynają napomykać, podając pewne szczegóły, o tej nieznannej gorączce, którą zaniepokoił się już ogół. Notując, że ze zniknięciem szczurów mały staruszek odnalazł wreszcie swoje koty i cierpliwie ćwiczył się w strzałach, Tarrou dodaje, iż można przytoczyć ze dwanaście wypadków gorączki, z których większość jest śmiertelna.

Jako materiał dowodowy może tu wreszcie posłużyć portret doktora Rieux skreślony przez Tarrou. O ile narrator potrafi ocenić, jest on dość wierny:

“Wygląda na trzydzieści pięć lat. Średniego wzrostu. Mocne ramiona. Twarz niemal kwadratowa. Oczy ciemne i lojalne, ale szczęki wystające. Duży i regularny nos. Czarne włosy obcięte bardzo krótko. Usta łukowate, wargi pełne i niemal zawsze zaciśnięte. Wygląda trochę na sycylijskiego chłopca ze swoją opaloną skórą, czarnym włosiem i ubraniami zawsze w ciemnych kolorach, w których jest mu jednak dobrze.

Chodzi szybko. Zstępuje z chodnika nie zmieniając kroku, ale najczęściej na przeciwny chodnik lekko wskakuje. Jest roztargniony przy kierownicy swego auta i często zostawia strzałki kierunkowe uniesione, nawet już po zakręcie. Zawsze z gołą głową. Wygląda na człowieka zorientowanego w sytuacji.”

Dane Tarrou były dokładne. Doktor Rieux coś wiedział. Gdy trupa dozorca odizolowano, zatelefonował do Richarda, by zapytać go o te gorączki pachwinowe.

— Nic nie rozumiem — powiedział Richard. — Dwóch zmarłych, jeden w czterdzieści osiem godzin, drugi w trzy dni. Tego ostatniego zostawiłem rano ze wszelkimi oznakami rekonwalescencji.

— Niech mnie pan uprzedzi, jeśli będą inne wypadki — rzekł Rieux.

Zatelefonował jeszcze do kilku lekarzy. Przeprowadzony w ten sposób wywiad dał dwadzieścia podobnych wypadków w ciągu kilku dni. Niemal wszystkie były śmiertelne. Poprosił wówczas Richarda, sekretarza syndykatu lekarzy w Oranie, o izolację nowych chorych.

— Nic nie poradzę — rzekł Richard. — Trzeba by zarządzeń prefektury. A zresztą, z czego pan wnosi, że istnieje niebezpieczeństwo zarażenia?

— Nie wnoszę z niczego, ale objawy są niepokojące.

Richard uznał jednak, że “nie jest upoważniony”. Wszystko, co mógł zrobić, to porozmawiać z prefektem.

Ale przez ten czas, kiedy prowadzono rozmowy, pogoda się popsuła. Nazajutrz po śmierci dozorca wielkie mgły pokryły niebo. Krótkie i gwałtowne deszcze spadły na miasto; ciepło niosące burzę nastąpiło po tych nagłych ulewach. Nawet morze straciło swój głęboki błękit i pod mglistym niebem nabierało połysku srebra czy żelaza raniącego oko. Skwar lata wydawał się lżejszy od wilgotnego ciepła tej wiosny. W mieście, zbudowanym na kształt ślimaka na płaskowzgórzu i ledwo otwartym na morze, panowało ponure odrętwienie. Wśród długich, otynkowanych ścian, pomiędzy ulicami o

zakurzonych szybach wystawowych, w tramwajach o brudnożółtym kolorze człowiek czuł się więźniem nieba. Tylko stary pacjent doktora Rieux triumfował nad swą astmą i cieszył się tą pogodą.

— Przypieka — mówił — to zdrowo dla oskrzeli.

Przypiekało rzeczywiście, ale w tym ciepłe dojrzewała gorączka. Całe miasto miało gorączkę, przynajmniej takie wrażenie prześladowało Rieux owego ranka, kiedy udawał się na ulicę Faidherbe, gdzie miał być obecny przy dochodzeniu w sprawie samobójczego zamachu Cottarda. Ale to wrażenie wydało mu się nierozsądne. Przypisywał je zdenerwowaniu i troskom, które go osaczały, i uznał, że uporządkowanie myśli jest rzeczą nie cierpiącą zwłoki.

Gdy przyszedł, komisarza jeszcze nie było. Grand czekał na podeście; postanowili pójść w pierw do jego mieszkania, zostawiając drzwi otwarte. Urzędnik merostwa mieszkał w dwóch pokojach umeblowanych bardzo skąpo. Była tam półka z białego drewna z dwoma czy trzema słownikami i czarna tablica, na której można było jeszcze odczytać na wpół starte słowa: "Kwitnące aleje". Zdaniem Granda Cottard dobrze spędził noc. Ale obudził się rano z bólem głowy i nie reagował na nic. Wydawało się, że Grand jest zmęczony i zdenerwowany, gdy przemierzał pokój wzdłuż i wszerz, otwierając i zamykając wielki skoroszyt leżący na stole, pełen zapisanych arkuszy.

Tymczasem opowiadał doktorowi, że nie zna dobrze Cottarda, ale przypuszcza, że ma on trochę pieniędzy. Cottard jest dziwnym człowiekiem. Ich stosunki ograniczały się długo do kilku ukłonów na schodach.

— Rozmawiałem z nim tylko dwa razy. Przed kilku dniami niosłem do domu pudełko z kredą, które wypadło mi z ręki na podeście. Była tam czerwona i niebieska kreda. W tej chwili Cottard wyszedł na podest i pomógł pozbierać mi wszystko. Zapytał, po co mi kreda różnych kolorów.

Grand wyjaśnił mu wówczas, że chce przypomnieć sobie trochę łacinę. Jego wiadomości zatarły się od czasów licealnych.

— Tak — powiedział do doktora — zapewniano mnie, że to pożyteczne dla lepszego poznania sensu francuskich słów.

Wypisywał łacińskie słowa na tablicy. Niebieską kredą tę część słowa, która zmienia się według deklinacji i koniugacji, a czerwoną tę część, która się nie zmienia.

— Nie wiem, czy Cottard dobrze zrozumiał, w każdym razie okazał zainteresowanie i poprosił mnie o czerwoną kredę. Byłem nieco zaskoczony, ale w końcu... Nie mogłem oczywiście odgadnąć, że posłuży się nią dla swych celów.

Rieux zapytał, jaki był temat drugiej rozmowy, ale wszedł komisarz w towarzystwie sekretarza; chciał wpieryw przesłuchać Granda. Doktor zauważył, że Grand mówiąc o Cottardzie nazywał go stale "desperatem". W pewnej chwili użył nawet określenia "fatalna decyzja". Rozmawiali o przyczynach samobójstwa i Grand okazał pewną drobiazgowość w wyborze terminu. Zgodzono się w końcu na "kłopoty natury osobistej". Komisarz zapytał, czy nic w zachowaniu Cottarda nie pozwalało przewidzieć tego, co nazywał "jego decyzją".

— Zapukał do mnie wczoraj — rzekł Grand — i poprosił o zapalki. Dałem mu pudełko. Tłumaczył się mówiąc, że między sąsiadami... Potem zapewnił, że zwróci mi pudełko. Powiedziałem, że może je zatrzymać.

Komisarz zapytał urzędnika, czy Cottard nie wydał mu się dziwny.

— Wydało mi się dziwne, że chciał jakby zacząć rozmowę. Ale ja właśnie pracowałem.

Grand odwrócił się w stronę Rieux i dodał z zakłopotaną miną:

— Praca osobista.

Tymczasem komisarz chciał zobaczyć chorego. Ale Rieux uważał, że należy wpieryw przygotować Cottarda do tej wizyty. Gdy wszedł do pokoju, Cottard, ubrany tylko w szarawą piżamę, siedział wyprostowany na łóżku i spoglądał ku drzwiom z wyrazem lęku.

— To policja, co?

— Tak — rzekł Rieux — ale niech pan się tym nie przejmuje. Kilka formalności i będzie pan miał spokój.

Cottard odparł jednak, że to nie zda się na nic i że nie lubi policji. Rieux okazał zniecierpliwienie.

— Ja także za nią nie przepadam. Chodzi o to, by odpowiedzieć szybko i jak należy na ich pytania, i skończyć z tym na dobre.

Cottard zamilkł i doktor zwrócił się ku drzwiom. Ale chory zawołał go znowu i gdy Rieux znalazł się przy łóżku, wziął go za rękę:

— Nie można tknąć chorego człowieka, który się powiesił, prawda, doktorze?

Rieux patrzył na niego przez chwilę, po czym zapewnił go, że rzeczy tego rodzaju nie wchodzą nigdy w rachubę, a poza tym on jest tu po to, by opiekować się swoim pacjentem. Tamten jak gdyby doznał ulgi i Rieux poprosił komisarza.

Przeczytano Cottardowi zeznania Granda i zapytano go, czy może podać motywy swego czynu. Nie patrząc na komisarza, odparł tylko, że "kłopoty natury osobistej to bardzo dobrze". Komisarz nalegał na Cottarda, by powiedział, czy ma zamiar ponowić próbę samobójstwa. Cottard ożywiając się odrzekł, że nie i że pragnie jedynie, by go zostawiono w spokoju.

— Zwracam panu uwagę — rzekł komisarz zirytowanym tonem — że na razie pan zakłóca spokój innych.

Ale na znak Rieux poprzestał na tym.

— Może pan być pewien — westchnął komisarz wychodząc — mamy co innego na głowie, odkąd mówi się o tej gorączce...

Zapytał doktora, czy to sprawa poważna, i Rieux odparł, że nie wie.

— To pogoda, i tyle — orzekł komisarz.

Tak, to na pewno była pogoda. Wszystko kleiło się coraz bardziej do rąk, w miarę jak upływał dzień, i Rieux czuł, jak jego lęk rośnie z każdą wizytą. Wieczorem na przedmieściu sąsiad starego pacjenta przyciskał ręce do pachwin i wymiotował wśród majaczeń. Gruczoły miał znacznie większe niż dozorca. Jeden z nich zaczął ropieć i wkrótce otworzył się jak zgniły owoc. Wróciwszy do domu, Rieux zatelefonował do składu produktów farmaceutycznych departamentu. W jego notatkach zawodowych pod tą datą znajduje się tylko uwaga: "Odpowiedź odmowna". A już wzywano go gdzie indziej do takich samych wypadków. Należało otwierać wrzody, to jasne. Dwa cięcia nożykiem chirurgicznym na krzyż i gruczoły wyrzucały papkę zmieszana z krwią. Chorzy krwawili rozkrzyżowani. Plamy zjawiały się na brzuchu i na nogach, gruczoł przestawał ropieć, potem nabrzmiwał znowu. Najczęściej chory umierał w straszliwym smrodzie.

Prasa, tak gadatliwa podczas historii ze szczurami, nie mówiła teraz ani słowa. Szczury umierają bowiem na ulicy, a ludzie w domu. Dzienniki zaś zajmują się tylko ulicą. Prefektura i zarząd miejski zaczęły jednak zadawać sobie pytania. Dopóki każdy lekarz znał tylko dwa albo trzy wypadki, nikt nie drgnął. Ale komuś przyszło na myśl zrobić rachunek. Rachunek był niepokojący. W ciągu kilku zaledwie dni wypadki śmiertelne rozmnożyły się, i dla tych, którzy zajmowali się tą szczególną chorobą, stało

się jasne, że chodzi o prawdziwą epidemię. Tę chwilę wybrał Castel, znacznie starszy kolega doktora Rieux, by udać się do niego.

— Pan wie oczywiście, co to jest? — spytał.

— Czekam na wynik analiz.

— Ja wiem. I nie trzeba mi analiz. Część życia spędziłem w Chinach i przed dwudziestu laty widziałem kilka wypadków w Paryżu. Tylko że wówczas nikt nie ważył się nazywać ich po imieniu. Opinia publiczna jest święta: żadnej paniki... przede wszystkim żadnej paniki. A poza tym, jak mawiał pewien kolega: "To niemożliwe, wszyscy wiedzą, że znikła z Zachodu". Tak, wszyscy wiedzieli prócz zmarłych. Cóż, kolego, pan wie równie dobrze jak ja, co to jest.

Rieux zastanawiał się. Przez okno gabinetu patrzył na kamienne ramię skały zamykające się daleko nad zatoką. Niebo, choć błękitne, miało posępny blask, który łagodniał w miarę zbliżania się popołudnia.

— Tak — powiedział — to niemal niewiarygodne. Ale zdaje się, że to dżuma.

Castel wstał i skierował się ku drzwiom.

— Pan wie, co nam odpowiedzą — rzekł stary doktor. — Dżuma zniknęła od lat z krajów o umiarkowanej temperaturze.

— Cóż to znaczy zniknąć? — odparł Rieux, wzruszając ramionami.

— Tak. I niech pan nie zapomina: jeszcze w Paryżu, przed dwudziestu blisko laty.

— Dobrze. Miejmy nadzieję, że tym razem nie będzie to poważniejsze niż wówczas. Ale to doprawdy niewiarygodne.

Słowo "dżuma" zostało wypowiedziane po raz pierwszy. W tym punkcie opowiadania, które pozostawia Bernarda Rieux za oknem jego gabinetu, niech wolno będzie narratorowi usprawiedliwić niepewność i zdumienie doktora, skoro jego reakcja, z pewnymi odchyleniami, była reakcją większości naszych współobywateli. Zarazy są w istocie sprawą zwyczajną, ale z trudem się w nie wierzy, kiedy się na nas walą. Na świecie było tyle dżum co wojen. Mimo to dżumy i wojny zastają ludzi zawsze tak samo zaskoczonych. Doktor Rieux był zaskoczony podobnie jak nasi współobywatele i tak należy rozumieć jego wahania. Tak też należy rozumieć jego rozdwojenie pomiędzy niepokojem i ufnością. Kiedy wybucha wojna, ludzie powiadają: "To nie potrwa długo, to zbyt głupie". I oczywiście, wojna jest na pewno zbyt głupia, ale to nie przeszkadza jej trwać. Głupota upiera się zawsze, zauważono by to, gdyby człowiek nie myślał stale o sobie. Nasi współobywatele byli pod tym względem tacy sami jak wszyscy, myśleli o



sobie, inaczej mówiąc, byli humanistami: nie wierzyli w zarazy. Zaraza nie jest na miarę człowieka, więc powiada się sobie, że zaraza jest nierzeczywista, to zły sen, który minie. Ale nie zawsze ów sen mija i, od złego snu do złego snu, to ludzie mijają, a humaniści przede wszystkim, ponieważ nie byli dość ostrożni. Nasi współobywatele nie ponosili większej winy niż inni; zapominali o skromności, tylko tyle, i myśleli, że wszystko jest jeszcze dla nich możliwe, co zakłada, że zarazy są niemożliwe. Nadal robili interesy, planowali podróże i mieli poglądy. Jak mogli myśleć o dżumie, która przekreślała przyszłość, przenoszenie się z miejsca na miejsce i dyskusje? Uważali się za wolnych, a nikt nie będzie wolny, jak długo będą istniały zarazy.

I nawet po tym, gdy doktor Rieux przyznał w obecności swego przyjaciela, że garstka rozproszonych chorych umarła bez uprzedzenia na dżumę, niebezpieczeństwo było dla niego wciąż nierzeczywiste. Po prostu, kiedy człowiek jest lekarzem, ma pojęcie o cierpieniu i nieco więcej wyobraźni. Patrząc przez okno na miasto, które się nie zmieniło, doktor ledwie czuł, jak rodzi się w nim ów lekki wstręt do przyszłości, który nazywa się niepokojem. Próbował zebrać w myśli wszystko, co wiedział o tej chorobie. Cyfry skakały w pamięci i powiadał sobie, że trzydzieści wielkich dżum, które znała historia, dało blisko sto milionów zmarłych. Ale co to znaczy sto milionów zmarłych? Człowiek, który był na wojnie, ledwo wie, co to jest jeden zmarły. A ponieważ martwy człowiek nie liczy się, chyba że widziano go martwym, sto milionów trupów rozsianych na przestrzeni historii to tylko dym w wyobraźni. Doktor przypominał sobie dżumę w Konstantynopolu, która według Prokopa zabrała dziesięć tysięcy ofiar jednego dnia. Dziesięć tysięcy zmarłych to pięć razy tyle co publiczność wielkiego kina. Oto co należałoby zrobić: zebrać ludzi przy wyjściu z pięciu kin, zaprowadzić ich na plac miejski i zabić na kupie — żeby co nieco zrozumieć. Przynajmniej można by umieścić znane twarze w tym anonimowym stosie. Ale, rzecz prosta, tego niepodobna zrobić, a poza tym, kto zna dziesięć tysięcy twarzy? Zresztą wiadomo, że ludzie tacy jak Prokop nie umieli liczyć. W Kantonie, przed siedemdziesięciu laty, czterdzieści tysięcy szczurów zginęło od dżumy, zanim zaraza zainteresowała się ludźmi. Ale w 1871 roku nie sposób było zliczyć szczury. Rachowano w przybliżeniu, hurtem, z oczywistymi możliwościami błędu. Jednakże jeśli szczur ma trzydzieści centymetrów długości, czterdzieści tysięcy szczurów ułożonych jeden na drugim to byłoby...

Ale doktor się niecierpliwił. Popuszczał cugli fantazji, a nie należało tego robić. Kilka wypadków to jeszcze nie epidemia i wystarczy przedsięwziąć środki ostrożności.

Trzeba trzymać się tego, co się wie; odrętwienie i wyczerpanie, czerwone oczy, brudne usta, bóle głowy, dymienice, straszliwe pragnienie, majaczenia, plamy na ciele, wewnętrzne rozćwiartowanie i po tym wszystkim... Po tym wszystkim pewne zdanie wracało doktorowi Rieux na pamięć, zdanie, które w jego podręczniku kończyło właśnie wyliczenie objawów: "Puls staje się nitkowaty, nieznaczny ruch chorego poprzedza śmierć". Tak, po tym wszystkim było się zawieszonym na nitce, i ludzie w trzech czwartych, liczba była dokładna, okazywali się dość niecierpliwi, by zrobić ten niedostrzegalny ruch, który przyspieszał wszystko.

Doktor wciąż spoglądał w okno. Z jednej strony szyby świeże niebo wiosenne, z drugiej słowo, które rozbrzmiewało jeszcze w pokoju: dżuma. Słowo nie zawierało tylko tego, co nauka chciała w nim zamknąć, ale długi ciąg niezwykłych obrazów, które nie zgadzały się z tym żółtym i szarym miastem, w miarę ożywionym o tej godzinie, brzęczącym raczej niż hałaśliwym, krótko mówiąc, miastem szczęśliwym, jeśli można być szczęśliwym i posepnym zarazem. Ów spokój, tak łagodny i tak obojętny, niemal bez wysiłku przekreślał stare wizerunki zarazy, Ateny zadżumione i opuszczone przez ptaki, miasta chińskie pełne konających w milczeniu, galerników marsylskich układających stosami w dołach ociekające ciała, budowę wielkiego muru w Prowansji, który miał zatrzymać wściekły wiatr dżumy, Jafę i jej ohydnych żebraków, wilgotne i gnijące łóżka przyklejone do ubitej ziemi w konstantynopolskim szpitalu, chorych wyciąganych hakami, karnawał lekarzy w maskach podczas Czarnej Dżumy, spólkowanie żywych na cmentarzach Mediolanu, wózki z trupami w przerażonym Londynie i noce, i dnie wypełnione wszędzie i zawsze nie kończącym się krzykiem ludzi. Nie, to wszystko nie miało jeszcze dość siły, by zabić spokój tego dnia. Z drugiej strony szyby dzwonek niewidzialnego tramwaju zabrzmiał nagle i odepchnął w jednej chwili okrucieństwo i ból. Tylko morze u końca zamglonej szachownicy domów potwierdzało to wszystko, co niepokojące i co nigdy nie zna na świecie spoczynku. I doktor Rieux, patrząc na zatokę, myślał o tych stosach, o których mówił Lukrecjusz i które Ateńczycy dotknięci chorobą zbudowali na brzegu morza. Nocą znosili tam zmarłych, ale brakło miejsca i żywi bili się pochodniami, by złożyć tych, których kochali, woleli bowiem walczyć krwawo niż porzucić swe trupy. Można było sobie wyobrazić stosy zabarwione czerwienią nad wodą spokojną i ciemną, bitwę pochodni w nocy trzeszczącej od iskier i szerokie zatrute opary unoszące się ku czujnemu niebu. Można było się obawiać...

Ale to szaleństwo nie ostawało się wobec rozsądku. To prawda, że słowo "dżuma" zostało wypowiedziane, to prawda, że w tej samej chwili zaraza ciskała i obalała swe ofiary na ziemię. Ale cóż, mogła się przecież zatrzymać. Należało więc jasno rozpoznać to, co powinno być rozpoznane, wygnać wreszcie bezużyteczne cienie i przedsięwziąć odpowiednie środki. Poza tym dżuma się zatrzyma, ponieważ dżumy nie można sobie wyobrazić albo wyobraża się ją sobie fałszywie. Jeśli się zatrzyma, a to jest najbardziej prawdopodobne, wszystko pójdzie dobrze. W przeciwnym razie stanie się wiadome, co to jest dżuma i czy nie ma sposobu przygotować się wpierw, by pokonać ją później.

Doktor otworzył okno i hałas miasta wtargnął tu nagle. Z sąsiedniego warsztatu dochodził krótki i powtarzający się świst mechanicznej piły. Rieux otrząsnął się. Oto pewność: w codziennej pracy. Reszta wisi na włosku, zależy od nieznaczących ruchów, nie można zatrzymać się nad tym. Najważniejsze to dobrze wykonywać swój zawód.

Doktor Rieux rozmyślał o tym właśnie, kiedy oznajmiono mu, że przyszedł Joseph Grand. Choć Grand był urzędnikiem merostwa i miał tam najrozmaitsze zajęcia, od czasu do czasu zatrudniano go w biurze statystycznym jako kontraktowego pracownika. Tak więc polecono mu zrobić rachunek zgonów. Uprzejmy z natury, zgodził się zanieść doktorowi Rieux kopię wyników.

Doktor zobaczył, że Grand wchodzi ze swym sąsiadem Cottardem. Urzędnik wymachiwał arkuszem papieru.

— Cyfry idą w górę, doktorze — oznajmił. — Jedenastu zmarłych w czterdzieści osiem godzin.

Rieux przywitał się z Cottardem i zapytał go, jak się miewa. Grand wyjaśnił, że Cottard pragnął podziękować doktorowi i przeprosić go za kłopoty, jakich stał się przyczyną. Ale Rieux patrzył na arkusz statystyczny.

— Cóż — rzekł — może trzeba zdecydować się i nazwać tę chorobę po imieniu. Dotychczas dreptaliśmy w miejscu. Ale chodźmy, panowie, muszę iść do laboratorium.

— Tak, tak — mówił Grand, idąc za doktorem po schodach — należy nazywać rzeczy po imieniu. Ale jakie jest to imię?

— Nie mogę panu powiedzieć, zresztą to panu niepotrzebne.

— Widzi pan — uśmiechnął się urzędnik — to nie takie proste.

Skierowali się w stronę placu d'Armes. Cottard wciąż milczał. Ulice zaczynały zapełniać się ludźmi. Nasz ulotny zmierzch cofał się już przed nocą i pierwsze gwiazdy

ukazały się na jasnym jeszcze horyzoncie. W kilka sekund potem lampy, zapalając się nad ulicami, zaciemniały całe niebo i hałas rozmów jak gdyby podniósł się o ton.

— Przepraszam pana — rzekł Grand na rogu placu d'Armes — ale muszę wsiąść do tramwaju. Moje wieczory są święte. Jak powiadają w moich stronach: “Nie trzeba nigdy odkładać do jutra...”

Rieux zauważył już, że Grand, urodzony w Montelimar, miał manię przytaczania powiedzeń ze swych stron rodzinnych, po czym dorzucał banalne zwroty pochodzące znikąd, jak “czarodziejska pogoda” czy “feeryczne oświetlenie”.

— Ach — rzekł Cottard — to prawda. Nie można go wyciągnąć z mieszkania po kolacji.

Rieux zapytał Granda, czy pracuje dla merostwa. Grand odparł, że nie; pracuje dla siebie.

— O — powiedział Rieux, żeby coś powiedzieć — i praca posuwa się naprzód?

— Siłą rzeczy, pracuję bowiem od lat. Choć w pewnym sensie nie widać wielkich postępów.

— Ale o co chodzi? — rzekł doktor, zatrzymując się.

Grand wyjąkał coś, wsadzając okrągły kapelusz na wielkie uszy. Rieux zrozumiał niejasno, że chodzi o coś osobistego. Ale urzędnik już ich zostawił i szedł drobnym, szybkim krokiem bulwarem de la Marne w górę, pod fikusami. U wejścia do laboratorium Cottard powiedział doktorowi, że chciałby się z nim zobaczyć, żeby poprosić go o radę. Rieux, który obmacywał w kieszeni arkusz statystyczny, zaproponował Cottardowi, by przyszedł w godzinach przyjęć, ale rozmyślił się i powiedział, że będzie w jego dzielnicy pojutrze i zajdzie do niego późnym popołudniem.

Pożegnawszy się z Cottardem, doktor spostrzegł się, że myśli o Grandzie. Wyobrażał go sobie podczas dżumy, nie tej jednak, która na pewno nie będzie poważna, ale jednej z wielkich dżum historycznych. “To ten rodzaj człowieka, który w takich razach zostaje oszczędzony”. Pamiętał z lektury, że dżuma oszczędza ludzi o słabej konstytucji i zabija przede wszystkim ludzi mocnych. Wciąż myśląc o tym, doktor doszedł do wniosku, że urzędnik ma minę nieco tajemniczą.

Na pierwszy rzut oka Joseph Grand był rzeczywiście tylko skromnym urzędnikiem merostwa, na jakiego wyglądał. Długi i chudy, pływał w ubraniach, które kupował zawsze zbyt wielkie, w złudzeniu, że będą się nosić dłużej. Zachował jeszcze większość zębów w dolnych dziąsłach, ale za to stracił zęby górnej szczęki. Dzięki temu

uśmiech, który unosił przede wszystkim górną wargę, pogrążał jego usta w cieniu. Jeśli dodać do tego portretu krok seminarzysty, sztukę przemykania się pod ścianami i prześlizgiwania przez drzwi, zapach piwnicy i dymu oraz skromną minę, trzeba przyznać, że nie można go było wyobrazić sobie gdzie indziej niż przy biurku, gdy pilnie sprawdza opłaty za natryski miejskie czy zbiera dla młodego sekretarza dane do raportu dotyczącego nowego podatku za wywóz śmieci. Nawet dla nieuprzedzonego umysłu zdawał się człowiekiem urodzonym do wypełniania skromnych, ale koniecznych funkcji urzędnika miejskiego bez etatu za sześćdziesiąt dwa franki trzydzieści su dziennie.

Tak też polecił napisać na arkuszach zatrudnienia w rubryce "kwalifikacje". Kiedy przed dwudziestu laty, po uzyskaniu magisterium, nie mogąc kontynuować studiów z braku pieniędzy zgodził się na tę posadę, robiono mu, jak powiadał, nadzieję na szybkie uzyskanie "tytułu". Chodziło tylko o to, by przez pewien czas dawał dowody swych kompetencji w delikatnych sprawach, jakie nastęrczał zarząd naszym miastem. Zapewniano, że potem nie ominie go posada sekretarza, co pozwoliłoby mu żyć swobodnie. Na pewno nie ambicja kierowała postępowaniem Josepha Granda, jak upewniał z melancholijnym uśmiechem. Perspektywa życia zabezpieczonego uczciwym sposobem, a więc i możliwość oddania się bez wyrzutów ulubionym zajęciom, bardzo mu się uśmiechała. Jeśli przyjął ofertę, to dla godziwych powodów, i jeśli można tak powiedzieć, z wierności wobec ideału.

Przez długie lata trwał ten prowizoryczny stan rzeczy, życie podrożało niezmiernie i pensja Granda, mimo pewnych podwyżek, była wciąż śmiesznie mała. Uskarżał się na to doktorowi Rieux, zdawało się jednak, że nikomu nie przyszło to na myśl. W tym właśnie jest oryginalność Granda lub przynajmniej jedna z jej oznak. Mógł w istocie dochodzić swych praw, a jeśli nie był ich pewien, to przynajmniej skorzystać z przyrzeczenia, jakie mu dano. Ale po pierwsze, szef biura, który go przyjął, zmarł dawno, zresztą urzędnik nie przypominał sobie dokładnie, jak brzmiała poczyniona mu obietnica. Wreszcie, co najważniejsze, Joseph Grand nie znajdował odpowiednich słów.

Ta osobliwość określała najlepiej naszego współobywatela, jak mógł to zauważyć Rieux. Ona to stawała wciąż na przeszkodzie napisaniu zażalenia, które obmyślał, lub poczynieniu kroków, jakich wymagały okoliczności. Jeśli mu wierzyć, szczególnie trudno mu było użyć słowa "prawo", którego nie był pewien, i słowa "obietnica", które mogłoby nasunąć myśl, że żąda rzeczy należnej, i przybrałoby na skutek tego odcień zuchwalstwa, niezbyt godzący się ze skromnymi funkcjami, jakie wypełniał. Z drugiej strony, nie chciał

używać słów takich, jak "łaskawość", "uprzejmie prosić", "wdzięczność", uważał bowiem, że kolidują z jego godnością osobistą. Tak więc nasz współobywatel, nie umiejąc znaleźć właściwego słowa, nadal pełnił swe ciche funkcje aż do późnego dość wieku. Zresztą, wciąż wnosząc z tego, co mówił doktorowi Rieux, stwierdził w praktyce, że w każdym razie byt miał zapewniony, skoro wystarczyło przystosować potrzeby do dochodów. W ten sposób przyznawał rację jednemu z ulubionych powiedzeń mera, wielkiego przemysłowca naszego miasta, który utrzymywał z przekonaniem, że w końcu (kładł nacisk na to słowo, które dźwigało na sobie cały ciężar rozumowania), że w końcu nie widziano nigdy, by ktoś umarł z głodu. W każdym razie na wpeł ascetyczny tryb życia, jaki prowadził Joseph Grand, uwolnił go w końcu od wszelkich trosk tego rodzaju. Nadal szukał odpowiednich słów.

Mozna by powiedzieć, że życie Granda było w pewnym sensie wzorowe. Należał do ludzi, równie rzadkich w naszym mieście jak gdzie indziej, którzy zawsze mają odwagę dobrych uczuć. Jego nieliczne zwierzenia świadczyły o dobroci i przywiązaniu, do czego człowiek nie śmie się przyznać w naszych czasach. Nie wstydził się mówić, że kocha swoich siostrzeńców i siostrę, jedynych krewnych, których miał i których co dwa lata odwiedzał we Francji. Przyznawał, że wspomnienie rodziców, zmarłych, kiedy był jeszcze bardzo młody, budziło w nim smutek. Nie wahał się powiedzieć, że nade wszystko lubi pewien dzwon w swej dzielnicy, który rozbrzmiewa łagodnie około piątej po południu. Ale gdy chciał wyrazić te uczucia, tak przecież proste, najblahsze słowo przysparzało mu tysiące kłopotów. "Ach, doktorze — mówił. — Chciałbym nauczyć się wypowiadać". W końcu ta trudność stała się jego największą troską. Powtarzał to Rieux za każdym razem, gdy go spotkał.

Tego wieczora doktor, patrząc na odchodzącego urzędnika, zrozumiał nagle, co Grand chciał powiedzieć: na pewno pisał książkę albo coś w tym rodzaju. Nawet w laboratorium, dokąd udał się wreszcie, ta myśl pocieszała Rieux. Wiedział, że to głupie, ale nie mógł uwierzyć, żeby dzuma mogła naprawdę rozgościć się w mieście, gdzie trafiają się skromni urzędnicy oddani czcigodnym maniom. Nie mógł sobie wyobrazić miejsca dla tych manii podczas dżumy i wywodził stąd, że praktycznie dżuma nie ma przyszłości wśród naszych współobywateli.

Nazajutrz dzięki naleganiom, które uznano za niestosowne, Rieux dopiął tego, że zwołano w prefekturze komisję sanitarną.

— To prawda, że ludność się niepokoi — przyznał Richard. — Poza tym gadanie wyolbrzymia wszystko. Prefekt powiedział mi: “Zróbmy to szybko, jeśli pan chce, ale po cichu”. Jest zresztą przekonany, że to fałszywy alarm.

Bernard Rieux, jadąc do prefektury, zabrał ze sobą Castela.

— Czy pan wie — powiedział Castel — że departament nie ma serum?

— Wiem. Telefonowałem do składu. Dyrektor buja w obłokach. Trzeba sprowadzić serum z Paryża.

— Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

— Telegrafowałem już — odparł Rieux.

Prefekt był uprzejmy, ale zdenerwowany.

— Zaczynamy, panowie — powiedział. — Czy mam zreferować sytuację?

Richard uważał, że to niepotrzebne. Lekarze znają sytuację. Chodzi tylko o to, by wiedzieć, jakie środki należy przedsięwziąć.

— Chodzi o to — powiedział brutalnie stary Castel — by wiedzieć, czy jest to dżuma, czy nie.

Kilku lekarzy krzyknęło. Inni jakby zawahali się. Prefekt podskoczył i zwrócił się machinalnie ku drzwiom, jakby chciał sprawdzić, czy nie dopuszczają, by rzecz tak potworna rozeszła się po korytarzach. Richard oświadczył, że jego zdaniem nie należy ulegać panice: chodzi o gorączkę z komplikacjami pachwinowymi, to wszystko, co można powiedzieć; hipotezy w nauce, jak i w życiu, są zawsze niebezpieczne. Stary Castel, który żuł spokojnie swój poślizki wąs, podniósł jasne oczy na Rieux. Potem spojrział życzliwie na audytorium i zwrócił uwagę, iż wie bardzo dobrze, że to dżuma, ale orzeczenie oficjalne zmuszałoby oczywiście do zastosowania bezlitosnych środków. Wie, że w gruncie rzeczy ten wzgląd właśnie każe się cofać jego kolegom, a zatem dla ich spokoju zgadza się uznać, iż to nie jest dżuma. Prefekt poruszył się niespokojnie i oświadczył, że w każdym razie nie jest to dobry sposób rozumowania.

— Nie jest ważne — rzekł Castel — czy ten sposób rozumowania jest dobry; ważne jest, że zmusza do zastanowienia.

Ponieważ Rieux milczał, zapytano go o zdanie.

— Chodzi o gorączkę o charakterze tyfoidalnym, której towarzyszą jednak dymienice i wymioty. Zastosowałem nacięcia dymienic, mogłem więc rozpocząć analizy; badania laboratoryjne wskazywałyby, że jest to bakcyl dżumy. Dla ścisłości należy jednak dodać, że pewne specyficzne odmiany mikroba nie zgadzają się z opisem klasycznym.

Richard podkreślił, że to upoważnia do wahań i że należy poczekać przynajmniej na wynik serii analiz, rozpoczętej przed kilku dniami.

— Kiedy mikrob — rzekł Rieux po chwili milczenia — potrafi w trzy dni powiększyć czterokrotnie śledzionę, nadać węzłom chłonnym objętość pomarańczy i konsystencję papki, nie upoważnia to bynajmniej do wahań. Ogniska infekcji rozszerzają się i rosną. Jeśli choroba, rozpowszechniająca się w tym tempie, nie zostanie zatrzymana, grozi śmiercią połowie miasta przed upływem dwóch miesięcy. A zatem nie odgrywa wielkiej roli, czy pan ją nazwie dżumą, czy febrą. Chodzi tylko o to, by nie dopuścić do zabicia połowy miasta.

Richard był zdania, że nie należy niczego malować w zbyt czarnych kolorach, zresztą zaraźliwość nie została stwierdzona, skoro krewni chorych nie są dotychczas zakażeni.

— Ale inni zmarli — zauważył Rieux. — Oczywiście, zaraźliwość nigdy nie jest absolutna, w przeciwnym bowiem razie uzyskalibyśmy jej geometryczny przyrost i piorunujące wyludnienie. Nie chodzi o to, by malować cokolwiek w zbyt czarnych kolorach. Chodzi o to, by przedsięwziąć środki ostrożności.

Następnie Richard zreasumował, jak mniemał, sytuację, przypominając, że po to, by zatrzymać tę chorobę, jeśli nie zatrzyma się sama, należy zastosować surową profilaktykę przewidzianą w takich wypadkach; aby to uczynić, trzeba orzec oficjalnie, że chodzi o dżumę; że pod tym względem pewność nie jest absolutna, a zatem sprawa wymaga zastanowienia.

— Nie w tym rzecz — nalegał Rieux — by wiedzieć, czy przewidziane w takich wypadkach środki są surowe, ale czy są konieczne, by nie dopuścić do zabicia połowy miasta. Reszta należy do administracji i nasze ustawy przewidują właśnie, że prefekt załatwia te sprawy.

— Niewątpliwie — rzekł prefekt — ale panowie muszą orzec oficjalnie, że chodzi o epidemię dżumy.

— Jeśli tego nie uczynimy — rzekł Rieux — epidemia i tak może zabić połowę miasta.

Richard wtrącił z pewną nerwowością:

— Rzecz jasna, że nasz kolega wierzy w dżumę. Wskazuje na to jego opis objawów.

Rieux odparł, że nie opisał objawów, opisał to, co widział. A widział dymienice, plamy, gorączki z majaczeniem zabijające w czterdzieści osiem godzin. Czy pan Richard



może wziąć na siebie odpowiedzialność i zapewnić, że epidemia zatrzyma się bez zastosowania ostrych środków profilaktycznych?

Richard zawahał się i spojrzał na Rieux.

— Niech mi pan powie szczerze, co pan myśli: czy jest pan pewien, że to dżuma?

— Żle pan stawia problem. To nie kwestia słownika, to kwestia czasu.

— Pańskim zdaniem — rzekł prefekt — należy zastosować środki profilaktyczne wskazane w okresie dżumy, nawet gdyby to nie była dżuma.

— Jeśli trzeba koniecznie, żebym miał jakieś zdanie, to tak jest w istocie.

Lekarze naradzili się i Richard powiedział:

— Musimy więc wziąć na siebie odpowiedzialność i postępować tak, jak gdyby choroba była dżumą.

Sformułowanie zostało gorąco przyjęte.

— Taki jest również pański pogląd, drogi kolego? — zapytał Richard.

— Formuła jest mi obojętna — rzekł Rieux. — Powiedzmy tylko, że nie powinniśmy postępować tak, jak gdyby połowie miasta nie groziła śmierć, bo wówczas połowa miasta zginie.

Rieux wyszedł wśród ogólnego rozdrażnienia. W kilka chwil potem na przedmieściu, gdzie czuć było fryturą i uryną, kobieta z krwawiącymi pachwinami, wyjąc straszliwie, odwróciła się w jego stronę.

Nazajutrz po konferencji gorączka podskoczyła znowu. Pojawiła się nawet w dziennikach, ale w łagodnej formie, ponieważ prasa poprzestała na kilku aluzjach. W każdym razie trzeciego dnia Rieux mógł przeczytać niewielkie białe afisze, które prefektura poleciła rozkleić szybko w najskromniejszych zakątkach miasta. Z afiszy trudno było wywnioskować, że władze patrzą sytuacji w twarz. Zarządzenia nie były drakońskie i zdawało się, że poświęcono niejedno, byleby nie niepokoić opinii publicznej. Wstęp głosił, że w gminie Oranu zanotowano kilka wypadków złośliwej gorączki, o której nie można na razie powiedzieć, że jest zaraźliwa. Te wypadki nie są dość określone, by mogły budzić rzeczywisty niepokój, i nie ulega wątpliwości, że ludność potrafi zachować zimną krew. Niemniej, powodując się ostrożnością zrozumiałą dla wszystkich, prefekt wprowadza pewne środki prewencyjne. Jeśli te środki zostaną zrozumiane i zastosowane należycie, potrafią zapobiec od razu wszelkiej groźbie

epidemii. Prefekt nie wątpi zatem, że obywatele z największą ofiarnością wesprą jego wysiłek.

Afisz wymieniał dalej zespół środków, wśród których znajdowało się naukowe odszczurzenie za pomocą wstrzykiwania gazów toksycznych do kanałów i ścisła kontrola, jeśli idzie o zaopatrzenie w wodę. Afisz zalecał mieszkańcom największą czystość i zachęcał osobników zapchlonych do stawienia się w przychodniach miejskich. Poza tym rodziny powinny w trybie obowiązkowym zgłaszać wypadki zachorowań zgodnie z orzeczeniem lekarza i nie sprzeciwiać się izolacji chorych w specjalnych salach szpitala. Sale te zostały zresztą tak wyposażone, by chorzy w najkrótszym czasie mogli powrócić do zdrowia. W kilku punktach uzupełniających była mowa o obowiązkowej dezynfekcji pokoju chorego i środków transportowych. Co do reszty, zarządzenie ograniczało się do zalecenia rodzinie, by pozostawała pod kontrolą służby zdrowia.

Doktor Rieux odwrócił się gwałtownie od afisza i skierował w stronę swego gabinetu. Joseph Grand, który na niego czekał, widząc go znów, podniósł rękę do góry.

— Tak — rzekł Rieux — wiem, cyfry rosną.

W przeddzień dwunastu chorych umarło w mieście. Doktor powiedział do Granda, że zobaczy się z nim może wieczorem, gdyż wybiera się do Cottarda.

— Ma pan słuszność — rzekł Grand. — To mu dobrze zrobi, uważam bowiem, że się zmienił.

— W jaki sposób?

— Stał się uprzejmy.

— Nie był przedtem uprzejmy?

Grand zawahał się. Nie mógł powiedzieć, że Cottard był nieuprzejmy, określenie nie byłoby właściwe. Był to człowiek zamknięty i cichy, który przypominał trochę dzika. Dom, skromna restauracja i dość tajemnicze wypadki to było całe życie Cottarda. Oficjalnie występował jako przedstawiciel firmy win i likierów. Od czasu do czasu odwiedzało go kilku ludzi, zapewne jego klientów. Niekiedy szedł wieczorem do kina znajdującego się naprzeciw domu. Urzędnik zauważył nawet, że Cottard lubił oglądać filmy gangsterskie. Przedstawiciel był zawsze samotny i nieufny. Według Granda wszystko to się zmieniło.

— Nie wiem, jak to powiedzieć, ale widzi pan, zdaje mi się, że Cottard chce sobie zjednać ludzi, wszystkich mieć po swojej stronie. Rozmawia ze mną często, zaprasza,

żebyśmy wyszli razem, i nie zawsze umiem odmówić. Zresztą Cottard mnie interesuje i właściwie uratowałem mu życie.

Od zamachu samobójczego Cottarda nikt nie odwiedzał. Na ulicy, u sprzedawców, wszędzie usiłował zdobyć sobie sympatię. Nigdy tak łagodnie nie przemawiał do kupców korzennych ani z takim zainteresowaniem nie słuchał sprzedawczyni w sklepie tytoniowym.

— Ta sprzedawczyni — zauważył Grand — to prawdziwa żmija. Powiedziałem to Cottardowi, ale mi odparł, że się mylę, że ma ona swoje dobre strony, które trzeba umieć dostrzec.

Kilka razy wreszcie Cottard zaprowadził Granda do wytwornych restauracji i kawiarni w mieście. Zaczął teraz tam bywać.

— Człowiek jest w tych lokalach dobrze obsłużony — mówił — a ponadto w przyzwoitym towarzystwie.

Grand zauważył szczególne względy personelu dla przedstawiciela win i zrozumiał ich przyczynę widząc, jak wysokie dawał napiwki. Cottard był bardzo czuły na uprzejmości, jakimi darzono go w zamian. Pewnego razu, kiedy szef lokalu odprowadził go i pomógł włożyć okrycie, Cottard powiedział do Granda:

— To zacny chłop, może zaświadczyć.

— Co zaświadczyć?

Cottard zawahał się.

— No, że nie jestem złym człowiekiem.

Zresztą usposobienia był nierównego. Pewnego dnia, gdy kupiec korzenny zachował się mniej uprzejmie, Cottard wrócił do domu nieprzytomnie wściekły.

— Ten łajdak trzyma z innymi — powtarzał.

— Z jakimi innymi?

— Ze wszystkimi.

Grand był nawet świadkiem ciekawej sceny w sklepie tytoniowym. Wśród ożywionej rozmowy sprzedawczyni opowiedziała o niedawnym aresztowaniu, głośnym w Algierze. Chodziło o młodego urzędnika handlowego, który zabił Araba na plaży.

— Gdyby tę całą hołotę wpakowano do więzienia — powiedziała sprzedawczyni — uczciwi ludzie mogliby odetchnąć.

Ale musiała przerwać, widząc nieoczekiwane wzburzenie Cottarda, który wyskoczył ze sklepu bez słowa przeprosin. Grand i sprzedawczyni pozostali na miejscu oniemiałi.

Grand zwrócił zresztą uwagę Rieux na inne zmiany w charakterze Cottarda. Cottard miał bardzo liberalne poglądy. Jego ulubione zdanie: "Wielcy zawsze zjadają małych", świadczy o tym wystarczająco. Od pewnego czasu jednak kupuje tylko prawomyślny dziennik orański i nie sposób obronić się przed wrażeniem, że z niejaką ostentacją czyta go w miejscach publicznych. Również w kilka dni po wstaniu z łóżka poprosił Granda, by nadał przekazem pocztowym sto franków, które co miesiąc wysyła mieszkającej daleko siostrze. Ale w chwili gdy Grand wychodził, Cottard powiedział:

— Niech pan wyśle dwieście franków, to będzie dla niej miła niespodzianka. Myśli, że wcale nie pamiętam o niej. Ale naprawdę bardzo ją kocham.

Wreszcie Cottard miał z Grandem ciekawą rozmowę. Grand musiał odpowiedzieć na pytania Cottarda zaintrygowanego pracą, której urzędnik oddawał się co wieczór.

— A więc — rzekł Cottard — pisze pan książkę.

— Owszem, ale to bardziej skomplikowane, niż pan myśli!

— Ach! — zawołał Cottard. — Chciałbym być na pana miejscu.

Grand okazał zdumienie i Cottard wybąkał, że zawód artysty zapewne wiele ułatwia.

— Dlaczego? — zapytał Grand.

— Dlatego że artysta ma więcej praw niż kto inny, to wiadome. Na więcej mu się pozwala.

— No cóż — rzekł Rieux do Granda tego ranka, gdy rozlepiono afisze — historia ze szczurami zawróciła mu w głowie jak wielu innym, ot i wszystko. Albo też boi się gorączki.

Grand odparł:

— Nie sędzę, doktorze, i jeśli pan chce znać mój pogląd...

Wóz akcji odszczurzenia przejechał pod oknem z wielkim hałasem. Rieux zamilkł na chwilę, nie można bowiem było mówić; po czym zapytał z roztargnieniem o pogląd urzędnika. Tamten spojrział na niego z powagą.

— To człowiek, który ma sobie coś do zarzucenia — powiedział.

Doktor wzruszył ramionami. Jak wyraził się komisarz, miał co innego na głowie.

Po południu Rieux miał konferencję z Castelem. Serum nie nadchodziło.

— Zresztą, czy się na co przyda? — zapytał Rieux. — Bakcył jest dziwny.

— O, nie podzielał pańskiego zdania — rzekł Castel.

— Te bestie zawsze wyglądają oryginalnie. Ale w gruncie rzeczy niczym się od siebie nie różnią.

— Tak pan przypuszcza. Ale my przecież nic nie wiemy.

— Oczywiście, że przypuszczam. Wszyscy jednak jesteśmy zdani na przypuszczenia.

Przez cały dzień doktor czuł rosnący zawrót głowy, którego doznawał zawsze, gdy myślał o dżumie. W końcu stwierdził, że się boi. Dwa razy wszedł do przepelnionych kawiarni. On także, jak Cottard, czuł potrzebę ludzkiego ciepła. Rieux uważał to za głupie, ale dzięki temu przypomniał sobie, że przyrzekł odwiedzić przedstawiciela win.

Wieczorem doktor zastał Cottarda przy stole w jadalni. Kiedy wszedł, na stole leżała otwarta powieść kryminalna. Ale wieczór był już późny i zapewne trudno było czytać w zapadającej ciemności. Chwilę przedtem Cottard rozmyślał raczej, siedząc w półmroku. Rieux zapytał go, jak się miewa. Cottard mruknął siadając, że miewa się dobrze, a miałby się jeszcze lepiej, gdyby mógł być pewien, iż nikt się nim nie zajmuje. Rieux zauważył, że nie zawsze można być samemu.

— Och, nie chodzi o to. Mówię o ludziach, którzy zajmują się przysparzaniem kłopotów innym.

Rieux milczał.

— To mnie nie dotyczy, proszę o tym pamiętać. Ale na przykład ta powieść. Jest tam biedak, którego niespodziewanie aresztują z rana. Zajmowano się nim, a on nic o tym nie wiedział. Mówiono o nim w biurach, wpisywano jego nazwisko do kartotek. Uważa pan to za sprawiedliwe? Uważa pan, że wolno tak postępować z człowiekiem?

— To zależy — rzekł Rieux. — W pewnym sensie rzeczywiście nie wolno. Ale to wszystko nie ma znaczenia. Nie trzeba długo pozostawać w zamknięciu. Musi pan wychodzić.

Cottard wydawał się zdenerwowany, powiedział, że nic innego nie robi, i jeśli zajdzie potrzeba, cała dzielnica może poświadczyć za niego. Nawet poza dzielnicą nie brak mu stosunków.

— Czy pan zna pana Rigaud, architekta? To mój przyjaciel.

Cień gęstniał w pokoju. Ulica przedmieścia ożywiła się i przytłumiony okrzyk ulgi powitał chwilę, kiedy zapaliły się lampy. Rieux wszedł na balkon, Cottard za nim.

Ze wszystkich dzielnic dokoła, jak co wieczór w naszym mieście, lekki wiatr niósł szepty, zapach mięsa pieczonego na ruszcie, wesoły i pachnący szum wolności wypełniał powoli ulicę, którą zagarnęła hałaśliwa młodość. Noc, syreny niewidzialnych statków, zgiełk idący od morza i przepływającego tłumu, ta pora, którą Rieux znał dobrze i lubił dawniej, przytłaczała go dzisiaj na skutek tego, co wiedział.

— Czy możemy zapalić światło? — rzekł do Cottarda.

Gdy zrobiło się jasno, mały człowieczek spojrzał na niego mrugającymi oczami.

— Niech mi pan powie, doktorze, czy weźmie mnie pan do siebie, do szpitala, gdybym zachorował?

— Czemuż by nie?

Cottard zapytał wówczas, czy zdarzyło się kiedy, by aresztowano kogoś znajdującego się w klinice lub w szpitalu. Rieux odparł, że takie rzeczy się trafiają, ale wszystko zależy od stanu chorego.

— Widzi pan — rzekł Cottard — ja mam zaufanie do pana.

Potem zapytał doktora, czy zechce go zawieźć swym autem do miasta.

W centrum ulice były już mniej ludne i światła trafiały się rzadziej. Dzieci bawiły się jeszcze przed bramami. Na prośbę Cottarda doktor zatrzymał auto przed grupą dzieci. Pokrzykując, bawiły się w klasy. Ale jedno z nich, o brudnej twarzy, o przylizanych czarnych włosach z równiutkim przedziałkiem, utkwilo w Rieux jasne i onieśmielające oczy. Doktor odwrócił spojrzenie. Cottard stojąc na chodniku uściśnął mu rękę. Przedstawiciel win mówił głosem ochrypłym i z trudem. Kilka razy obejrzał się za siebie.

— Ludzie mówią o epidemii. Czy to prawda, doktorze?

— Ludzie zawsze mówią, to naturalne — rzekł Rieux.

— Ma pan rację. A zresztą, jeśli umrze dziesięciu ludzi, to szczyt wszystkiego. Nie tego nam trzeba.

Motor już warczał. Rieux trzymał rękę na przełączniku biegów. Ale spojrzał znów na dziecko, które, spokojne i poważne, nie spuszczało z niego oczu. I nagle, zupełnie nagle, dziecko uśmiechnęło się, pokazując wszystkie zęby.

— Czego więc nam trzeba? — zapytał doktor, uśmiechając się do dziecka.

Cottard uczeplił się nagle drzwiczek i zanim uciekł, krzyknął głosem pełnym łez i wściekłości:

— Trzęsienia ziemi! Prawdziwego! Nie było trzęsienia ziemi i jeśli idzie o Rieux, następny dzień minął mu na nie kończących się jздadach we wszystkie strony miasta, na rozmowach z rodzinami chorych i na sporach z chorymi. Nigdy Rieux nie uważał swego zawodu za tak ciężki. Dotychczas chorzy ułatwiali mu zadanie, poddawali mu się. Po raz pierwszy doktor czuł, że coś kryją, że chronią się w głębi swej choroby z rodzajem nieufnego zdumienia. Była to walka, do której nie był jeszcze przyzwyczajony. I kiedy około dziesiątej wieczór auto zatrzymało się przed domem starego astmatyka, którego odwiedzał na końcu, Rieux z trudem podniósł się z siedzenia. Stał chwilę, patrząc na ciemną ulicę i gwiazdy, które ukazywały się i znikwały na czarnym niebie.

Stary astmatyk siedział wyprostowany na łózkę. Oddychał jakby lepiej i liczył groch, który przesypywał z jednego garnka do drugiego. Przywitał doktora z uradowaną miną.

— A więc, doktorze, to cholera?

— Skąd to panu przyszło do głowy?

— Z gazety, i radio mówi to samo.

— Nie, to nie cholera.

— W każdym razie — rzekł stary człowiek bardzo podniecony — ci ważniacy idą na całego!

— Niech pan w to nie wierzy — powiedział doktor.

Zbadał chorego i siedział teraz pośrodku ubogiej jadalni. Tak, czuł strach. Wiedział, że na tym samym przedmieściu czekać będzie na niego jutro rano z dziesięciu chorych, zgiętych nad swymi dymienicami. Tylko w kilku wypadkach nacięcie dymienic przyniosło poprawę. Ale dla większości choroba oznaczała szpital, a wiedział, czym jest szpital dla biednych. "Nie chcę, by służył im do doświadczeń" — powiedziała mu żona jednego z chorych. Nie będzie służył im do doświadczeń, umrze, to wszystko. Przedsięwzięte środki były niewątpliwie niewystarczające, to oczywiste. Jeśli chodzi o sale "specjalnie wyposażone", znał je także: dwa pawilony, z których wyniesiono w pośpiechu innych chorych; szpary w oknach zostały zatkane i pawilony otoczono kordonem sanitarnym. Jeśli choroba nie zatrzyma się sama, nie zwalczą jej środki, które wymyśliła administracja.

Jednakże wieczorem oficjalne komunikaty nadal brzmiały optymistycznie. Nazajutrz agencja Infdok oznajmiła, że środki zalecone przez prefekturę zostały przyjęte spokojnie i że zgłosiło się trzydziestu chorych.

Castel zatelefonował do Rieux:

— Ile łóżek mają pawilony?

— Osiemdziesiąt.

— Oczywiście jest więcej niż trzydziestu chorych w mieście?

— Są tacy, co się boją, i inni, bardziej liczni, którym nie starczyło czasu.

— Pogrzeby nie są dozorowane?

— Nie. Telefonowałem do Richarda, że trzeba środków radykalnych, a nie frazesów; albo zbuduje się przeciw epidemii prawdziwą barierę, albo nie warto w ogóle zaczynać.

— I cóż?

— Odpowiedział mi, że to nie w jego mocy. Moim zdaniem cyfry pójdą w górę.

Rzeczywiście, w ciągu trzech dni pawilony były pełne. Richard utrzymywał, że opróżni się szkołę i przygotuje szpital pomocniczy. Rieux czekał na szczepionki i otwierał dymienice. Castel wrócił do swych starych książek i długo przesiadywał w bibliotece.

— Szczury zginęły od dżumy albo od choroby, która ją bardzo przypomina — wnioskował. — Dziesiątki tysięcy pcheł, jakie pozostawiły, rozprzestrzenia infekcję w proporcji geometrycznej, jeśli nie zatrzyma się jej na czas.

Rieux milczał.

Tymczasem pogoda się ustaliła. Słońce wypijało kałuże z ostatnich ulew. Piękne błękitne niebo lejące żółte światło, warkot samolotów w rosnącym upale, wszystko w tej porze roku usposabiało pogodnie. Jednakże w ciągu czterech dni gorączka cztery razy podskoczyła zdumiewająco: szesnastu zmarłych, dwudziestu czterech, dwudziestu ośmiu, trzydziestu dwóch. Czwartego dnia ogłoszono otwarcie pomocniczego szpitala w przedszkolu. Nasi współobywatele, którzy dotychczas maskowali swój niepokój żartami, wydawali się bardziej przybici i jakoś przycichli.

Rieux postanowił zatelefonować do prefekta.

— Środki są niewystarczające.

— Mamy cyfry — rzekł prefekt — budzą w istocie niepokój.

— Budzą więcej niż niepokój, są oczywiste.

— Zwróć się o zarządzenia do Urzędu Generalnego Gubernatora.

Rieux odłożył słuchawkę w obecności Castela.

— Zarządzenia! Wystarczyłaby wyobraźnia.



— A serum?

— Nadejdzie w ciągu tygodnia.

Prefektura za pośrednictwem Richarda zwróciła się do Rieux o raport przeznaczony dla stolicy kolonii, żeby otrzymać zarządzenia. Rieux dał opis kliniczny i cyfry. Tego samego dnia zmarło czterdzieści osób. Prefekt przyrzekł od jutra zaostrzyć, jak powiedział, zalecone środki. Obowiązkowe zgłaszanie choroby i izolacja pozostały w mocy. Mieszkania chorych mają być zamknięte i wydezynfekowane, rodzina podlega kwarantannie, pogrzeby zostaną zorganizowane przez zarząd miejski w warunkach, które się ustali. W dzień później przywieziono serum samolotem. Mogło wystarczyć dla wypadków objętych leczeniem. Będzie niewystarczające, jeśli epidemia się rozszerzy. Na depezę Rieux odpowiedziano, że zapas jest wyczerpany i że rozpoczęto nową produkcję.

Tymczasem ze wszystkich podmiejskich okolic wiosna przybywała na rynki. Tysiące róż wędło wzdłuż chodników w koszykach sprzedawców i ich słodki zapach unosił się po całym mieście. Na pozór nic się nie zmieniło. Tramwaje wciąż były pełne z rana, puste i brudne w ciągu dnia. Tarrou przyglądał się małemu staruszkowi, a mały staruszek pluł na koty. Grand co wieczór wracał do swej tajemniczej pracy w domu. Cottard kręcił się po mieście, a pan Othon, sędzia śledczy, wciąż wodził za sobą swoją menażerię. Stary astmatyk przesypywał groch i czasem widywano dziennikarza Ramberta z miną spokojną i zaciekawioną. Wieczorem ten sam tłum wypełniał ulice i kolejki wydłużały się pod kinami. Zresztą zdawało się, że epidemia się cofa, i w ciągu kilku dni zanotowano tylko dwanaście zgonów. Potem nagle skoczyła w górę jak strzała. W dniu kiedy liczba zmarłych doszła znowu do trzydziestu, Bernard Rieux czytał oficjalną depezę, którą podał mu prefekt ze słowami: "Przestraszyli się". Depesza oznajmiała: "Ogłoście stan dżumy. Zamknijcie miasto".

## II

Można powiedzieć, że od tej chwili począwszy, dżuma stała się sprawą nas wszystkich. Aż dotąd, mimo zaskoczenia i niepokoju, jakie przyniosły te szczególne

wydarzenia, każdy z naszych współobywateli nadal robił, co do niego należało, jak mógł i na swoim zwykłym miejscu. To niewątpliwie powinno było trwać. Ale kiedy bramy zostały zamknięte, nasi współobywatele zrozumieli, że wszyscy, i narrator także, znaleźli się w jednym worku i że trzeba się jakoś urządzać. Tak więc, na przykład, doznanie równie indywidualne jak świadomość rozłąki z ukochaną istotą stało się nagle, od pierwszych tygodni, udziałem całej ludności i, wraz ze strachem, głównym cierpieniem tego długiego okresu wygnania.

Rzeczywiście, jednym z najbardziej godnych uwagi następstw zamknięcia bram była nagła rozłąka istot do tego nie przygotowanych. Matki i dzieci, małżeństwa, kochankowie, którzy przed kilku dniami sądzili, że rozstają się na jakiś czas, którzy całowali się na peronie naszego dworca, polecając sobie wzajem to i owo, pewni, że zobaczą się za kilka dni lub najdalej za kilka tygodni, pogrążeni w głupiej ufności ludzkiej, ledwie czując ten wyjazd wśród codziennych zajęć, ujrzeli nagle, że są oddaleni od siebie bez ratunku, że nie mogą się połączyć ani skomunikować. Zamknięcie bram nastąpiło bowiem w kilka godzin przed ogłoszeniem zarządzenia prefektury i, naturalnie, nie sposób było wziąć pod uwagę pojedynczych wypadków. Można powiedzieć, że pierwszym skutkiem brutalnego najazdu choroby było zmuszenie naszych współobywateli do takiego postępowania, jak gdyby nie mieli uczuć indywidualnych. W pierwszych godzinach dnia, gdy zarządzenie weszło w życie, na prefekturę natarł tłum petentów, którzy przez telefon lub osobiście przedstawiali urzędnikom sytuacje równie ciekawe i równie niemożliwe do rozpatrzenia. Doprawdy, trzeba było wielu dni, byśmy zdali sobie sprawę, że nasza sytuacja nie pozwala na kompromis i że słowa takie, jak "układać się", "grzeczność", "wyjątek", nie mają już sensu.

Odmówiono nam nawet drobnej przyjemności pisania listów. Z jednej strony, miasto nie było już połączone z resztą kraju zwykłymi środkami komunikacji, z drugiej, nowe zarządzenia zabraniały wymiany wszelkiej korespondencji, chodziło bowiem o to, by listy nie przenosiły infekcji. Z początku kilku uprzywilejowanych mogło porozumieć się u bram miasta z wartownikami na posterunkach, którzy zgodzili się przekazać listy na zewnątrz. Ale było to w pierwszych dniach epidemii, wówczas gdy strażnicy uważali za rzecz naturalną pójść za odruchem współczucia. Po pewnym jednak czasie, kiedy ci sami strażnicy zdawali już sobie sprawę z powagi sytuacji, nie chcieli brać na siebie odpowiedzialności, której rozmiarów nie mogli przewidzieć. Telefoniczne rozmowy międzymiastowe, dozwolone z początku, wywołały takie przeciążenie kabin publicznych

i linii, że przerwano je całkowicie na kilka dni, a potem ograniczono surowo do tego, co nazywano pilnymi wypadkami, jak śmierć, narodziny i ślub. Telegramy stały się wtedy naszym jedynym ratunkiem. Istoty związane rozumieniem, sercem i ciałem musiały ograniczyć się do szukania znaków tej dawnej wspólnoty w drukowanych literach depeszy złożonej z dziesięciu słów. A ponieważ sformułowania, których można użyć w depeszy, wyczerpują się szybko, długie wspólne życie czy bolesne namiętności streściły się rychło w wymianie gotowych formuł jak: "Mam się dobrze. Myślę o tobie. Serdeczności".

Niektórzy spośród nas upierali się przy listach i chcąc porozumieć się ze światem zewnętrznym, nieustannie wymyślali kombinacje, które zawsze okazywały się bezskuteczne. Lecz nawet wówczas, gdy wymyślone przez nas sposoby odnosiły skutek, nie wiedzieliśmy o tym nic, nie otrzymując odpowiedzi. Przez całe więc tygodnie musieliśmy zaczynać na nowo wciąż ten sam list, przepisywać te same wiadomości i wołania, tak że po pewnym czasie słowa, które z początku wychodziły całe krwawiące z naszego serca, traciły swój sens. Przepisywaliśmy je wtedy machinalnie, próbując za pomocą tych martwych zdań dać znać o naszym trudnym życiu. I w końcu konwencjonalny telegram wydawał nam się lepszy od tego bezpłodnego i upartego monologu, od tej jałowej rozmowy.

Zresztą po kilku dniach, kiedy stało się jasne, że nikomu nie uda się wyjść z naszego miasta, przyszło nam na myśl zapytać, czy nie pozwolono by na powrót tych, którzy wyjechali przed epidemią. Po kilku dniach namysłu prefektura odpowiedziała twierdząco. Zaznaczono jednak wyraźnie, że repatrianci w żadnym wypadku nie będą mogli opuścić miasta i jeśli wolno im przyjechać, nie wolno im będzie wyjechać. Wtedy jeszcze kilka rodzin, rzadkich zresztą, zlekceważyło sobie sytuację i dając pierwszeństwo pragnieniu zobaczenia krewnych przed wszelką ostrożnością, zaproponowało im, by skorzystali z okazji. Ale bardzo szybko więźniowie dżumy zrozumieli, na jakie niebezpieczeństwo narażają swoich bliskich, i postanowili znosić tę rozłąkę. Podczas największego nasilenia choroby zdarzył się tylko jeden wypadek, kiedy uczucia ludzkie okazały się silniejsze od strachu przed śmiercią pełną tortur. Nie była to, jak można by się spodziewać, para kochanków, których miłość rzucała ku sobie, górując nad cierpieniem. Chodziło jedynie o starego doktora Castel i jego żonę, którzy pobrali się przed wielu laty. Pani Castel na kilka dni przed epidemią wyjechała do sąsiedniego miasta. Nie było to nawet jedno z tych małżeństw dających światu wzór przykładowego

szczeńcia, i narrator ma prawo powiedzieć, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ci małżonkowie aż dotąd nie mieli pewności, czy są zadowoleni ze swego związku. Ale brutalna i przedłużająca się rozłąka pomogła im upewnić się, że nie potrafią żyć z dala od siebie, i wobec tej prawdy, która nagle wyszła na jaw, dzuma była drobnostką.

To był wyjątek. W większości wypadków rozłąka mogła się skończyć tylko z epidemią, to było oczywiste. Toteż uczucie, które stanowiło nasze życie i które, jak sądziliśmy, dobrze przecież znamy (jak była o tym mowa, namiętności orańczyków są proste), przybierało nowy wyraz. Mężowie i kochankowie, którzy mieli największe zaufanie do swych towarzyszek, odkrywali, że są zazdrośni. Mężczyźni, którzy uważali się za lekkoduchów w miłości, odnajdywali stałość. Synowie, którzy żyli obok matki, ledwo na nią patrząc, cały swój niepokój i żal zawierali w zmarszczce jej twarzy, nawiedzającej ich we wspomnieniu. Ta rozłąka brutalna, jednoznaczna, bez możliwości do przewidzenia przyszłości, pozostawiała nas zbitych z tropu, niezdolnych do reakcji na wspomnienie tej obecności jeszcze tak bliskiej, a tak już dalekiej, która wypełniała teraz nasze dni. Rzeczywiście cierpieliśmy podwójnie — za przyczyną naszego cierpienia i tego cierpienia, które przypisywaliśmy nieobecnym: synowi, żonie, kochance.

W innych okolicznościach zresztą nasi współobywatele znaleźliby wyjście w życiu bardziej skierowanym na zewnątrz i bardziej aktywnym. Ale dzięki dzumie mieli więcej wolnego czasu; ograniczeni do kręcenia się w kółko po swym ponurym mieście, wydani byli, dzień po dniu, zwodniczej grze wspomnień. W swoich spacerach bez celu musieli bowiem chodzić wciąż tymi samymi ulicami, a w tak małym mieście były to najczęściej te ulice, które przemierzali dawniej z nieobecnymi.

Tak więc pierwszą rzeczą, jaką dzuma przyniosła naszym współobywatelom, było wygnanie. Narrator sądzi, że może napisać tutaj w imieniu wszystkich to, czego sam doświadczył, skoro doświadczył tego w tym samym czasie co wielu naszych współobywateli. Było to bowiem naprawdę poczucie wygnania, ta próżnia, którą stale nosiliśmy w sobie, to dokładnie określone wzruszenie, nierozumna chęć, by cofnąć lub zmusić do pośpiechu czas — płonące strzałki pamięci. Jeśli niekiedy popuszczaliśmy cugli wyobraźni i znajdowaliśmy przyjemność w oczekiwaniu na dzwonek powrotu czy znajomy krok na schodach, jeśli w tych chwilach chcieliśmy zapomnieć, że pociągi są unieruchomione, jeśli urządzaliśmy się tak, by zostać w domu w godzinach, gdy zazwyczaj podróżny, który przyjeżdżał pospiesznym pociągiem, mógł się znaleźć w naszej dzielnicy, rzecz prosta, że ta zabawa nie mogła trwać. Przychodziła zawsze chwila,

kiedy zdawaliśmy sobie jasno sprawę, że pociągi nie przychodzą. Rozumieliśmy wówczas, że nasza rozłąka będzie trwała i że trzeba poradzić sobie z czasem. Wówczas wracaliśmy do naszej sytuacji więźniów skazanych na przeszłość i jeśli nawet niektórzy z nas doznawali pokusy, by żyć przyszłością, wyrzekali się tego tak szybko, jak tylko to było możliwe, czując rany, jakimi wyobraźnia karze w końcu tych, co jej ufają.

W szczególności wszyscy nasi współobywatele pozbyli się bardzo rychło, nawet publicznie, zwyczaj, jaki mogli sobie przyswoić, a mianowicie obliczania czasu rozłąki. Dlaczego? Dlatego że gdy najwięksi pesymiści ustalili termin na pół roku na przykład i wyczerpali zawczasu gorycz tych przyszłych dni, gdy z wielkim trudem wzniesli swoją odwagę do poziomu tej próby, gdy napięli ostatnie siły, by nie słabnąc trwać na wysokości tego cierpienia, rozciągniętego na tak długi szereg dni, wówczas przyjaciel spotkany przypadkiem, opinia wypowiedziana przez dziennik, przelotne podejrzenie lub nagły błysk świadomości nasuwały im myśl, że w końcu nie ma powodu, dla którego choroba nie miałaby trwać dłużej niż pół roku, może nawet rok lub jeszcze więcej.

W owej chwili upadek ich odwagi, woli i cierpliwości był tak gwałtowny, że jak mniemali, nigdy nie potrafią się już wydobyć z tego dołu. Toteż postanowili nie myśleć nigdy o terminie wyzwolenia, nie zwracać się ku przyszłości i spuścić oczy, jeśli można się tak wyrazić. Ale ta ostrożność, to oszukiwanie cierpienia, kluczenie, by nie dopuścić do walki, były, rzecz prosta, źle wynagradzane. Chroniąc się przed tym upadkiem, którego nie chcieli za żadną cenę, jednocześnie wyrzekali się tych chwil, w sumie dość częstych, gdy mogli zapomnieć o dżumie wśród obrazów przyszłych spotkań. I tak, osiadając na mieliźnie w pół drogi od tych przepaści i szczytów, trzepotali się raczej, niż żyli, wydani dniom bez kierunku i jałowym wspomnieniom — błakające się cienie, które wtedy tylko mogły nabrać siły, gdy zapuszczały korzenie w ziemię swych cierpień.

Doznawali więc głębokiego bólu wszystkich więźniów i wszystkich wygnańców — żyli pamięcią nieprzydatną do niczego. Nawet ta przeszłość, o której rozmyślali bez przerwy, miała jedynie smak żalu. Chcieliby dorzucić do niej to wszystko, co oplakiwali, pamiętając, że nie uczynili czegoś, gdy było to jeszcze w ich mocy, razem z tym lub tą, na których czekali — podobnie jak do wszystkich sytuacji, nawet względnie szczęśliwych, swego życia więźniów włączali nieobecnych, i to, czym byli wówczas, nie mogło ich zadowolić. Zniecierpliwieni terażniejszością, wrogowie przeszłości, pozbawieni przyszłości, przypominaliśmy tych, którym sprawiedliwość lub nienawiść ludzka każe żyć za kratami. I w końcu jedynym sposobem ucieczki od tych wakacji nie do zniesienia

było znów poruszyć wyobraźnię pociągi i wypełnić godziny dźwiękiem dzwonka, mimo to milczącego uparcie.

Jeśli to było jednak wygnanie, w większości wypadków było wygnaniem we własnym domu. I choć narrator znał tylko ten rodzaj wygnania, nie powinien zapomnieć o ludziach takich jak dziennikarz Rambert lub inni, dla których, na odwrót, cierpienia rozłąki powiększały się jeszcze przez to, że jako przybysze zaskoczeni przez dżumę i zatrzymani w mieście byli zarazem oddaleni od istoty, z którą nie mogli się połączyć, i od swego kraju. W wygnaniu ogólnym byli najbardziej wygnani, jeśli bowiem czas wzniecał w nich, jak we wszystkich, niepokój mu właściwy, czuli również przywiązanie do przestrzeni, a nieustannie natykali się na mury, które dzieliły ich zadżumione schronienie od utraconej ojczyzny. Ich właśnie widywano błakających się o każdej porze dnia po zakurzonej ulicy, przywołujących w milczeniu wieczory i poranki, które tylko oni znali. Karmili więc swoje cierpienia blahymi i zbijającymi z tropu znakami, jak lot jaskółek, rosa wieczorna czy osobliwy promień pozostawiony czasem przez słońce na pustej ulicy. Zamykali oczy na świat zewnętrzny, który zawsze może wybawić od wszystkiego, uparcie pieszcząc swoje nazbyt rzeczywiste chimery i ścigając ze wszystkich sił obrazy ziemi, gdzie jakieś światło, kilka wzgórz, ulubione drzewo czy twarze kobiet składały się na klimat dla nich niezastąpiony.

Mówiąc wreszcie bardziej wyraźnie o kochankach, którzy są najciekawszy i o których narrator ma może prawo się wypowiadać, dręczyły ich jeszcze inne obawy, wśród których należy wymienić wyrzuty sumienia. Sytuacja pozwalała im w istocie rozpatrywać swoje uczucie z rodzajem gorączkowej obiektywności. I rzadko zdarzało się, by w tych okazjach ich własne słabości nie ukazywały im się jasno. Pierwszą do tego sposobnością była trudność dokładnego wyobrażenia sobie czynów i gestów nieobecnego. Boleli wówczas, że nie wiedzą, co ów nieobecny robi ze swym czasem; oskarżali się o lekkomyślność, jaką okazali, nie starając się o to dowiedzieć, lub z jaką udawali, że dla kogoś, kto kocha, użycie czasu przez istotę kochaną nie jest źródłem wszelkich radości. Od tego momentu począwszy, było im łatwo cofnąć się w miłości i zbadać jej wszystkie braki. W zwykłych czasach wiedzieliśmy wszyscy, świadomie lub nie, że nie ma miłości, której nie przerasta miłość większa, i zgadzaliśmy się mimo to z mniejszym lub większym spokojem, że nasza jest średnia. Ale wspomnienie jest bardziej wymagające. I to nieszczęście, które przyszło do nas z zewnątrz i dotknęło całe miasto, z całą konsekwencją przynosiło nam nie tylko niesprawiedliwe cierpienie, na które

możliśmy się oburzać. Zmuszało nas również do zadawania sobie cierpień, a więc zgadzania się na ból. Był to jeden ze sposobów, jakimi rozporządzała choroba, by odwracać uwagę i wywołać zamęt.

Tak więc każdy musiał zgodzić się żyć z dnia na dzień, sam w obliczu nieba. Ta zupełna samotność, która mogłaby z czasem zahartować charaktery, spłynęła je wszakże z początku. Niektórzy nasi współobywatele na przykład podlegali innej niewoli, oddającej ich we władze słońca i deszczu. Widząc ich, miało się wrażenie, że po raz pierwszy odczuwają bezpośrednio pogodę. Z radosną miną witali zwykle złociste światło, gdy dni deszczowe kładły grubą zasłonę na ich twarze i myśli. Kilka tygodni wcześniej wymknęliby się tej słabości i nierozumnemu poddaństwu, nie byli bowiem sami wobec świata, istota, która żyła z nimi, w pewien sposób stała między nimi a światem. Od tej chwili natomiast byli w sposób oczywisty wydani kaprysom nieba, to znaczy cierpieli i żywili nadzieję bez powodu.

Na tych krańcach samotności wreszcie nikt nie mógł spodziewać się pomocy sąsiada i każdy pozostawał sam ze swoją troską. Jeśli któryś spośród nas próbował przypadkiem zwierzyć się lub powiedzieć coś o swym uczuciu, wszelka odpowiedź, jaką otrzymywał, najczęściej go raniła. Zdawał sobie wówczas sprawę, że jego rozmówca i on nie mówią o tym samym. On bowiem wypowiadał się z głębi długich dni rozmyślań i cierpień i obraz, jaki chciał przekazać, wypalał się wolno w ogniu oczekiwania i namiętności. Drugi natomiast wyobrażał sobie konwencjonalne uczucie, tuzinkowe cierpienie, seryjną melancholię. Życzliwa czy wroga, odpowiedź zawsze była niewłaściwa i trzeba było wyrzec się rozmów. Albo też ci, dla których milczenie stało się nie do zniesienia, zgadzali się na język rynku, skoro nie mogli znaleźć prawdziwego języka serca, i oni także mówili w sposób konwencjonalny, językiem zwykłego sprawozdania, drobnych wiadomości, codziennej kroniki. Tu znów najprawdziwsze cierpienie przywykło się wyrażać w banalnych formułkach. Tylko za tę cenę więźniowie dżumy mogli zdobyć współczucie dozorczy czy zainteresowanie słuchaczy.

Jednakże, i to jest najważniejsze, choć ten niepokój był tak bolesny, choć to puste mimo wszystko serce tak trudne było do udźwignięcia, można powiedzieć, że w pierwszym okresie dżumy ci wygnańcy byli uprzywilejowani. Wówczas bowiem, gdy ludność zaczynała tracić głowę, ich myśl całkowicie obracała się ku istocie, na którą czekali. W powszechnym nieszczęściu chronił ich egoizm miłości i jeśli myśleli o dżumie, to tylko o tyle, o ile mogła im grozić wieczną rozłąką. Wnosili więc do samego serca

epidemii zbawienną nieuwagą, którą byliśmy skłonni brać za zimną krew. Rozpacz ratowała ich od paniki, ich nieszczęście miało dobre strony. Jeśli na przykład kogoś z nich zabierała choroba, zdarzało się to niemal zawsze, zanim ten ktoś miał czas zwrócić na nią uwagę. Wydobyty z owej długiej wewnętrznej rozmowy z cieniem, bez przejścia wpadał w najgłębszą ciszę ziemi. Nie miał czasu na nic.

Podczas gdy nasi współobywatele próbowali dać sobie radę z tym nagłym wygnaniem, dżuma rozmieszczała przy bramach strażę i zawracała z drogi statki zmierzające ku Oranowi. Od zamknięcia bram ani jeden pojazd nie wjechał do miasta. Począwszy od tego dnia, odnosiło się wrażenie, że samochody kręcą się w kółko. Port wyglądał także osobliwie, jeśli patrzyło się nań z wysokości bulwarów. Zwykle ożywienie, dzięki któremu port ten był jednym z pierwszych wybrzeża, zgasło gwałtownie. Widać tam było jeszcze kilka statków odbywających kwarantannę. Ale wielkie rozbrojone żurawie, przewrócone na bok wagoniki, samotne stosy beczek i worków na nabrzeżach świadczyły o tym, że handel również zmarł na dżumę.

Mimo tych niezwykłych widoków nasi współobywatele mieli najwyraźniej kłopoty ze zrozumieniem tego, co im się zdarzyło. Były uczucia wspólne, jak rozłąka czy strach, ale nadal stawiano na pierwszym miejscu troski osobiste. Nikt naprawdę nie zgodził się jeszcze na chorobę. Ludzie byli przede wszystkim wrażliwi na to, co naruszało ich przyzwyczajenia lub godziło w ich interesy. Okazywali więc rozdrażnienie lub irytację, a nie są to uczucia, które można przeciwstawić dżumie. Ich pierwszą reakcją na przykład było zrzucenie winy na administrację. Odpowiedź prefekta na krytyki, które odbiły się echem w prasie ("Czy nie można by pomyśleć o pewnej elastyczności przewidzianych środków?"), była dość nieoczekiwana. Dotychczas ani dzienniki, ani agencja Infdok nie otrzymały oficjalnych statystyk choroby. Teraz prefekt przekazywał je agencji co dzień, prosząc o sporządzanie komunikatów tygodniowych.

Jednak i tu ludność nie zareagowała natychmiast. Komunikat, że w trzecim tygodniu dżuma zabrała trzysta dwoje ludzi, nie przemawiał jeszcze do wyobraźni. Po pierwsze, nie wszyscy może zmarli na dżumę. Po drugie, nikt w mieście nie wiedział, ilu ludzi w tygodniu umiera zazwyczaj. Miasto miało dwieście tysięcy mieszkańców. Nie wiadomo, czy ta proporcja zgonów jest normalna. Jest to ten rodzaj danych, który nigdy nie zaprzęta uwagi, mimo ich oczywistego znaczenia. Ale brakło możliwości porównywania. Dopiero z czasem, stwierdzając wzrost liczby zgonów, opinia publiczna



uświadomiła sobie prawdę. Piąty tydzień dał bowiem trzystu dwudziestu jeden zmarłych, a szósty trzystu czterdziestu pięciu. Przynajmniej wzrost był wymowny. Ale nie był dość znaczny, by wśród ogólnego niepokoju nasi współobywatele nie sądzili nadal, że chodzi o zjawisko niewątpliwie przykre, ale w końcu przejściowe.

Nadal więc krążyli po ulicach i siadywali na tarasach kawiarni. Nie byli zresztą tchórzliwi, więcej żartowali, niż biadali, i przyjmowali z dobrą miną niedogodności, które, rzecz oczywista, nie będą trwałe wiecznie. Pozory były uratowane. Jednakże pod koniec miesiąca, mniej więcej podczas tygodnia modlitw, o których będzie mowa dalej, poważniejsze zmiany wpłynęły na wygląd naszego miasta. Przede wszystkim prefekt wydał zarządzenia dotyczące ruchu pojazdów i zaopatrywania w żywność. Żywność ograniczono, benzynę wydawano w określonej ilości. Zalecano nawet oszczędzanie prądu elektrycznego. Tylko niezbędne produkty przybywały drogą lądową i powietrzną do Oranu. Tak więc ruch kołowy zmniejszał się stopniowo, aż ustał niemal zupełnie, sklepy z towarami luksusowymi zamykano z dnia na dzień, na wystawach innych sklepów pojawiły się wywieszki "Nie ma", kupujący wystawali zaś w kolejkach przed wejściem.

Oran przybrał więc wygląd szczególny. Liczba pieszych powiększyła się znacznie i nawet w godzinach pracy wielu ludzi, zmuszonych do bezczynności na skutek zamknięcia sklepów czy niektórych biur, zapełniało ulice i kawiarnie. Na razie nie byli jeszcze bezrobotnymi; mieli urlopy. Tak więc około trzeciej po południu na przykład, pod pięknym niebem, Oran zdawał się złudnie świętującym miastem, gdzie zatrzymano ruch i zamknięto sklepy, by umożliwić pochód ludności, i gdzie mieszkańcy wylegli na ulice, by wziąć udział w zabawach.

Rzecz jasna, że kina korzystały z tego powszechnego urlopu i robiły wielkie interesy. Ale urwała się łączność z filmami krążącymi w departamencie. Po upływie dwóch tygodni kina musiały wymieniać swoje programy, później zaś wyświetlały wciąż ten sam film. Mimo to ich dochody nie zmniejszały się.

Kawiarnie wreszcie, dzięki znacznym zapasom zgromadzonym w mieście, gdzie handel win i alkoholu zajmuje pierwsze miejsce, mogły również obsłużyć swych klientów. Prawdę powiedziawszy, ludzie pili dużo. Pewna kawiarnia umieściła wywieszkę: "Alkohol zdrowiu sprzyja, zabija bakcyła", i rozpowszechnione wśród ludności przekonanie, że alkohol chroni przed chorobami zakaźnymi, umocniło się jeszcze. Co noc, około drugiej nad ranem, dość pokaźna gromada pijaków wyrzuconych z

lokali zapełniała ulice, wymieniając optymistyczne poglądy. Ale wszystkie te zmiany były w pewnym sensie tak niezwykle i zaszły tak szybko, że niełatwo było uznać je za normalne i trwałe. W rezultacie nadal wysuwaliśmy na plan pierwszy nasze uczucia osobiste.

W dwa dni po zamknięciu bram doktor Rieux wychodząc ze szpitala spotkał Cottarda, który uniósł ku niemu twarz pełną zadowolenia. Rieux powinszował mu wygląd.

— Tak, wszystko w porządku — rzekł mały człowieczek. — Niech mi pan powie, doktorze, ta przekłeta dzuma, hm, to zaczyna wyglądać poważnie.

Doktor się zgodził. Tamten zaś stwierdził z niejaką wesołością:

— Nie ma powodu, żeby zatrzymała się teraz. Wszystko przewróci się do góry nogami.

Szli przez chwilę razem. Cottard opowiadał, że pewien wielki kupiec korzenny w jego dzielnicy zgromadził na składzie produkty żywnościowe, żeby sprzedać je za wysoką cenę; kiedy przyszli go zabrać do szpitala, pod łóżkiem znaleziono puszki z konserwami. "Umarł. Dzuma nie płaci". Cottard miał w zanadrzu pełno historyjek, prawdziwych i fałszywych, na temat epidemii. Opowiadano na przykład, że pewnego ranka w centrum miasta jakiś mężczyzna z objawami dżumy wybiegł wśród majaczeń na ulicę, rzucił się na pierwszą spotkaną kobietę i objął ją krzycząc, że ma dżumę.

— Pięknie — zauważył Cottard miłym tonem, który nie pasował do jego opowieści — wszyscy zwariujemy, to pewne.

Po południu tego samego dnia Joseph Grand także zwierzył się doktorowi Rieux. Zauważył fotografię pani Rieux na biurku i spojrzął na doktora. Rieux odparł, że jego żona leczy się poza miastem.

— W pewnym sensie jest to szansa — powiedział Grand.

Doktor odparł, że to bez wątplenia szansa, należy tylko mieć nadzieję, że żona jego wyzdrowieje.

— Ach, rozumiem — powiedział Grand.

I po raz pierwszy, od kiedy Rieux go znał, zaczął mówić płynnie. Choć szukał wciąż jeszcze słów, niemal zawsze je znajdował, jak gdyby od dawna myślał o tym, co mówił teraz.

Ożenił się bardzo młodo z młodziutką dziewczyną z sąsiedztwa. Właśnie żeby się ożenić, przerwał studia i wziął posadę. Ani Jeanne, ani on nie opuszczali nigdy swojej

dzielnicy. Przychodził do dziewczyny i rodzice Jeanne pokpiwali sobie trochę z tego cichego i niezręcznego konkurenta. Ojciec był kolejarzem. Po pracy zawsze można go było ujrzeć siedzącego w kącie przy oknie; zamyślony, z ogromnymi rękami złożonymi płasko na udach, przyglądał się ruchowi ulicznemu. Matka zajmowała się gospodarstwem, Jeanne jej pomagała. Była tak drobna, że kiedy przechodziła przez ulicę, Grand zawsze czuł lęk. Pojazdy wydawały mu się wówczas olbrzymie. Pewnego razu przed sklepem przybranym na Boże Narodzenie Jeanne, patrząc oczarowana na wystawę, pochyliła się ku niemu ze słowami: "Jakie to piękne!" Uścisnął przegub jej ręki. W ten sposób zapadła decyzja, o małżeństwie.

Dalsza historia była według Granda bardzo prosta. Jak ze wszystkimi: człowiek żeni się, kocha jeszcze trochę, pracuje. Pracuje tyle, że zapomina kochać. Jeanne też musiała pracować, skoro szef jego biura nie dotrzymał obietnic. Tu trzeba by nieco wyobraźni, by zrozumieć, co Grand chciał powiedzieć. Na skutek zmęczenia opuszczał się, milkł coraz bardziej i nie podtrzymywał swej żony w mniemaniu, że jest kochana. Zapracowany mężczyzna, bieda, przyszłość zamykająca się wolno, milczenie wieczorem przy stole — w takim świecie nie ma miejsca dla namiętności. Jeanne prawdopodobnie cierpiała. Została jednak: bywa tak, że cierpi się długo, nie wiedząc o tym. Lata mijały. Potem Jeanne odeszła. Oczywiście nie odeszła sama. "Kochałam cię, ale teraz jestem zmęczona... Nie jestem szczęśliwa wyjeżdżając, ale nie trzeba być szczęśliwym, by zacząć na nowo". To właśnie mniej więcej napisała.

Teraz z kolei cierpiał Joseph Grand. Mógł zacząć na nowo, jak zauważył Rieux. Ale cóż, nie miał już wiary.

Tylko że wciąż myślał o niej. Chciał napisać list do Jeanne, żeby się usprawiedliwić.

— Ale to trudne — mówił. — Od dawna o tym myślę. Jak długo kochaliśmy się, rozumieliśmy się bez słów. Ale nie zawsze się kocha. W pewnej chwili powinienem był znaleźć słowa, które by ją zatrzymały, ale nie potrafiłem.

Grand wytarł nos czymś podobnym do serwetki w kratę. Potem osuszył wąsy. Rieux patrzył na niego.

— Niech mi pan wybaczy, doktorze — powiedział stary urzędnik — ale jak by to powiedzieć?... Mam do pana zaufanie. Z panem mogę mówić. I to mnie wzrusza.

Najwidoczniej Grand był o tysiąc mil od dżumy.

Wieczorem Rieux zatelegrafował do żony, że miasto jest zamknięte, że ma się dobrze, że powinna nadal dbać o siebie i że myśli o niej.

W trzy tygodnie po zamknięciu bram Rieux wychodząc ze szpitala spotkał młodego człowieka, który czekał na niego.

— Przypuszczam — rzekł ten ostatni — że pan mnie poznaje.

Rieux zdawało się, że go zna, ale się wahał.

— Byłem u pana przed tą całą historią — mówił tamten — prosić o informacje o warunkach życia Arabów. Nazywam się Raymond Rambert.

— Ach, tak — rzekł Rieux. — Proszę, ma pan teraz piękny temat do reportażu.

Rambert był zdenerwowany. Powiedział, że nie o to chodzi i że przyszedł prosić doktora Rieux o pomoc.

— Pan wybaczy — dodał — ale nie znam nikogo w tym mieście, a korespondent mojego dziennika na nieszczęście jest głupcem.

Rieux zaproponował mu, by udali się razem do przychodni w centrum miasta, gdzie doktor miał wydać kilka poleceń. Zeszli uliczkami dzielnicy murzyńskiej. Wieczór się zbliżał, ale miasto, tak hałaśliwe dawniej o tej porze, wydawało się szczególnie opustoszałe. Kilka sygnałów trąbki w złotawym jeszcze niebie świadczyło tylko o tym, że wojskowi zachowują pozory, jakoby wykonywali swój zawód. Gdy szli wzdłuż spadzistych ulic, pomiędzy niebieskimi, złotawymi i fioletowymi ścianami mauretańskich domów, Rambert mówił z wielkim wzburzeniem. Zostawił żonę w Paryżu. Prawdę mówiąc, nie jest to żona, ale to wychodzi na jedno. Telegrafował do niej zaraz po zamknięciu miasta. Myślał z początku, że to wypadki przejściowe, i próbował tylko porozumieć się z nią. Koledzy z Oranu powiedzieli Rambertowi, że nie mogą mu pomóc, poczta go odprawiła, jakiś sekretarz z prefektury roześmiał mu się w nos. Po dwóch godzinach czekania w ogonku musiał się wreszcie zgodzić na telegram, w którym napisał: "Wszystko w porządku. Do zobaczenia". Ale rano, gdy wstawał, przyszło mu nagle na myśl, że w końcu nie wie, jak długo może to potrwać. Postanowił wyjechać. Ponieważ miał rekomendacje (jego zawód daje ułatwienia), mógł dostać się do dyrektora gabinetu prefektury, któremu powiedział, że nic go z Oranem nie łączy, że nie jego rzeczą jest tu zostać, że znalazł się w mieście przypadkiem i że byłoby słuszne, gdyby pozwolono mu wyjechać, nawet jeśli po opuszczeniu miasta musiałby odbyć kwarantannę. Dyrektor odparł, że rozumie to bardzo dobrze, nie może jednak robić wyjątków, że zobaczy. Bo sytuacja jest przecież poważna i nie można nic postanowić.

— Ale ja nie jestem tutejszy — rzekł Rambert.

— Oczywiście, miejmy jednak mimo wszystko nadzieję, że epidemia nie potrwa długo.

Na zakończenie próbował pocieszyć Ramberta, zwracając mu uwagę, że może znaleźć w Oranie materiał do ciekawego reportażu i że wszystko zważywszy, każde wydarzenie ma swoje dobre strony. Rambert wzruszył ramionami. Dochodzili do centrum miasta.

— To idiotyczne, doktorze, rozumie pan. Nie przyszedłem na świat, by pisać reportaże. Ale może przyszedłem na świat, żeby żyć z kobietą. Czy to nie jest naturalne?

Rieux powiedział, że w każdym razie wydaje mu się to rozsądne.

Na bulwarach w centrum miasta nie było tłumu jak zazwyczaj. Kilku przechodniów spieszyło do odległych mieszkań. Nikt się nie uśmiechał. Rieux pomyślał, że to wskutek komunikatu agencji Infdok, który przypadał na ten dzień. Po dwudziestu czterech godzinach nasi współobywatele znów odzyskują nadzieję. Ale tego dnia cyfry były jeszcze zbyt świeże w pamięci.

— Rzecz w tym — rzekł nagle Rambert — że ona i ja spotkaliśmy się niedawno i rozumiemy się dobrze.

Rieux milczał.

— Ale ja pana nudzę — ciągnął Rambert. — Chciałem tylko pana zapytać, czy nie mógłby mi pan wydać zaświadczenia, które by stwierdzało, że nie mam tej przekłętej choroby. Myślę, że mogłoby mi się przydać.

Rieux skinął głową twierdząco, chwycił małego chłopczyka, który zaplątał mu się między nogami, i postawił go łagodnie na ziemi. Ruszyli znowu i doszli do placu d'Armes. Gałęzie fikusów, nieruchome, szare od kurzu, zwisały wokół zakurzonego i brudnego posągu Republiki. Zatrzymali się pod pomnikiem i Rieux strząsnął z butów białawy pył. Spojrzał na Ramberta. Z kapeluszem zsuniętym nieco do tyłu, z kołnierzem koszuli rozpiętym pod krawatem, źle ogolony, dziennikarz miał minę upartą i nadąsaną.

— Niech pan będzie pewien, że pojmuję — rzekł wreszcie Rieux — ale nie rozumiem pan dobrze. Nie mogę panu dać tego zaświadczenia, ponieważ nie wiem, czy ma pan tę chorobę, czy nie, a nawet gdybym wiedział, nie mogę zaświadczyć, czy pomiędzy chwilą, kiedy wszedł pan do mego gabinetu, i chwilą, kiedy wejdzie pan do prefektury, nie zostanie pan zarażony. Poza tym zresztą...

— Poza tym zresztą? — rzekł Rambert.

— Poza tym, jeśli nawet dam panu to zaświadczenie, nie przyda się panu na nic.

— Dlaczego?

— Dlatego że w tym mieście tysiące ludzi jest w tym samym położeniu, a mimo to nie można im pozwolić wyjechać.

— Jeśli jednak sami nie są chorzy na dżumę?

— To niewystarczający powód. Głupia historia, wiem o tym dobrze, ale dotyczy nas wszystkich. I nie sposób brać jej inaczej.

— Ależ ja nie jestem stąd!

— Teraz, niestety, będzie pan stąd, jak wszyscy.

Tamten ożywił się:

— Tu chodzi o dobrą wolę, przysięgam panu. Może nie zdaje sobie pan sprawy, co oznacza taka rozłąka dla dwojga ludzi, którzy się dobrze rozumieją.

Rieux nie odpowiedział od razu. Potem rzekł, że chyba zdaje sobie sprawę. Pragnie ze wszystkich sił, żeby Rambert odnalazł swoją żonę i żeby ci wszyscy, którzy się kochają, byli ze sobą, ale są zarządzenia i prawa, jest dżuma, i jego zadaniem jest robić, co należy.

— Nie — rzekł Rambert z goryczą — pan nie może rozumieć. Mówi pan językiem rozsądku, to dla pana abstrakcja.

Doktor podniósł oczy na Republikę i powiedział, że nie wie, czy mówi językiem rozsądku, mówi natomiast językiem oczywistości, a to siłą rzeczy nie jest to samo. Dziennikarz poprawił krawat.

— Więc to oznacza, że mam sobie radzić inaczej? A jednak opuszczę to miasto — ciągnął z rodzajem wyzwania.

Doktor powiedział, że i to rozumie, ale rzecz jego już nie dotyczy.

— Nie, to pana dotyczy — powiedział Rambert z nagłym wybuchem. — Zwróciłem się do pana, ponieważ powiedziano mi, że pański udział w powziętych decyzjach jest znaczny. Pomyślałem więc, że przynajmniej w jednym wypadku mógłby pan cofnąć to, co pan narzucił. Ale to panu jest obojętne. Nie pomyślał pan o nikim. Nie wziął pan pod uwagę tych, co zostali rozłączeni.

Rieux przyznał, że w pewnym sensie to prawda, nie chciał ich brać pod uwagę.

— Ach, widzę — rzekł Rambert — zacznie pan mówić o służbie dla ogółu. Ale na dobro publiczne składa się szczęście każdego z nas.

— Cóż — powiedział doktor, który jak gdyby ocknął się z zamyślenia — jest to i jest co innego. Nie trzeba sądzić. Ale pan niesłusznie się gniewa. Gdyby udało się panu wybrnąć z tej historii, byłbym głęboko szczęśliwy. Po prostu moje funkcje zabraniają mi pewnych rzeczy.

Tamten skinął niecierpliwie głową.

— Rzeczywiście, niesłusznie się gniewam. I tak zabrałem panu dość czasu.

Rieux poprosił Ramberta, żeby informował go o swych krokach i nie miał do niego urazy. Na pewno istnieją możliwości porozumienia. Rambert wydał się nagle zakłopotany.

— Wierzę w to — rzekł po chwili milczenia — tak, wierzę, wbrew sobie i temu wszystkiemu, co pan mi powiedział.

Zawahał się.

— Ale nie mogę się z panem zgodzić.

Nasunął kapelusz na czoło i ruszył szybkim krokiem. Rieux widział, jak wchodził do hotelu, w którym mieszkał Jean Tarrou.

Po chwili doktor potrząsnął głową. Dziennikarz miał rację, spiesząc niecierpliwie ku szczęściu. Ale czy miał rację, kiedy go oskarżał? "Pan żyje w abstrakcji". Czy naprawdę abstrakcją były te dni spędzone w szpitalu, gdzie dżuma czyniła straszliwe spustoszenia, dochodzące przeciętnie do pięciuset ofiar w tygodniu! Tak, w nieszczęściu jest cząstka abstrakcji i irrealności. Ale kiedy abstrakcja zaczyna nas zabijać, trzeba się zająć abstrakcją. I Rieux wiedział jedynie, że nie było to najłatwiejsze. Nie było łatwe na przykład kierować tym szpitalem pomocniczym (było ich teraz trzy), który mu powierzono. Kazał przerobić pomieszczenie łączące się z salą porad na izbę przyjęć. W zagłębieniu podłogi powstało jezioro wody krzyłowej, pośrodku którego znajdowała się wysepka z cegieł. Chorego zanoszono na tę wysepkę, rozbierano szybko i jego odzież spadała do wody. Umyty, wysuszony, okryty szorstką koszulą szpitalną przechodził do rąk Rieux, potem przenoszono go do jednej z sal. Były to sale rekreacyjne szkoły, która razem mieściła teraz pięćset łóżek, a wszystkie niemal były zajęte. Po przyjęciach porannych, którymi Rieux kierował sam, gdy chorzy zostali już zaszczepieni, a dymienice otwarte, sprawdzał jeszcze statystyki i wracał na konsultacje po południu. Wieczorem wreszcie szedł do pacjentów i zjawiał się w domu późno w nocy. Poprzedniej nocy matka, wręczając doktorowi depezę od żony, zauważyła, że drżą mu ręce.

— Tak — powiedział — ale jeśli wytrwam, będę mniej nerwowy.

Był mocny i odporny. W gruncie rzeczy nie był jeszcze zmęczony. Ale nie mógł znieść na przykład wizyt u pacjentów. Diagnoza, że chodzi o gorączkę epidemiczną, oznaczała szybkie zabranie chorego z domu. Wówczas zaczynała się abstrakcja i prawdziwa trudność, ponieważ rodzina chorego wiedziała, że może go ujrzeć tylko uleczonym lub martwym. "Litości, doktorze!" — mówiła pani Loret, matka pokojówki pracującej w hotelu Tarrou. Cóż to znaczyło? Oczywiście, że czuł litość. Ale to nie posuwało sprawy naprzód. Trzeba było telefonować. Wkrótce rozlegał się dzwonek ambulansu. Zrazu sąsiedzi otwierali okna i patrzyli. Potem zamykali je szybko. Wówczas zaczynały się walki, łzy, przekonywania, słowem, abstrakcja. W mieszkaniach, przegrzanych od gorączki i lęku, rozgrywały się szaleńcze sceny. Ale chorego zabierano. Rieux mógł odejść.

Z początku ograniczał się do telefonu i spieszył do innych chorych, nie czekając na ambulans. Ale krewni zamykali wówczas drzwi, woleli bowiem pozostać twarzą w twarz z dżumą niż zgodzić się na tę rozłąkę, której koniec już znali. Krzyki, nakazy, interwencje policji, a potem wojska — chorego brano szturmem. Podczas pierwszych tygodni Rieux musiał pozostawać aż do przybycia ambulansu. Potem, gdy każdemu lekarzowi towarzyszył w obchodach inspektor—wolontariusz, Rieux mógł biec od jednego chorego do drugiego. Ale z początku wszystkie wieczory były podobne do tego wieczoru, kiedy Rieux, wszedłszy do małego mieszkania pani Loret, ozdobionego wachlarzami i sztucznymi kwiatami, został przyjęty przez matkę, która powiedziała mu z ledwo dostrzegalnym uśmiechem:

— Mam nadzieję, że nie jest to gorączka, o której wszyscy mówią.

On zaś, podnosząc prześcieradło i koszulę, przyglądał się w milczeniu czerwonym plamom na brzuchu i udach, obrzmiałym gruczołom. Matka patrzyła między nogi swej córki i krzyczała, nie mogąc się opanować. Co wieczór matki z abstrakcyjnym wyrazem twarzy wyły tak, patrząc na brzuchy całe w znakach śmiertelnych, co wieczór ręce wczepiały się w ręce Rieux, niepotrzebne słowa, obietnice i łzy nie miały końca, co wieczór dzwonki ambulansów rozpętywały walki równie daremne jak wszelkie cierpienie. I po tym długim ciągu wieczorów, wciąż takich samych, Rieux mógł spodziewać się jedynie długiego ciągu podobnych scen, powtarzających się w nieskończoność. Tak, dżuma jako abstrakcja była monotonna. Być może jedno się tylko zmieniało, a mianowicie sam Rieux. Czuł to tego wieczoru u stóp pomnika Republiki,



świadom jedynie trudnej obojętności, która zaczynała go wypełniać, patrząc wciąż na bramę hotelu, gdzie znikł Rambert.

U końca tych męczących tygodni, po tych wszystkich zmierzchach, gdy ludzie z całego miasta wylewali się falą na ulice, by kręcić się po nich w kółko, Rieux zrozumiał, że nie musi dłużej bronić się przed litością. Człowiek męczy się litością, kiedy litość jest bezużyteczna. I w uczuciu serca zamykającego się powoli doktor odnajdywał jedyną ulgę tych druzgocących dni. Wiedział, że ułatwi to jego zadanie. I dlatego się cieszył. Kiedy matka, spotykając go o drugiej nad ranem, martwiła się pustym spojrzeniem, które zatrzymywał na niej, bolała właśnie nad jedynym ukojeniem, jakiego mógł doznać. Aby walczyć z abstrakcją, trzeba trochę być do niej podobnym. Ale jakże mógłby to odczuć Rambert? Dla Ramberta abstrakcją było to wszystko, co stawało na przeszkodzie jego szczęściu. I, prawdę mówiąc, Rieux wiedział, że dziennikarz ma w pewnym sensie rację. Ale wiedział również, że abstrakcja bywa silniejsza od szczęścia i że trzeba wówczas, i tylko wówczas, z nią się liczyć. To właśnie miało przydarzyć się Rambertowi i doktor mógł się o tym dowiedzieć szczegółowo z ostatnich zwierzeń dziennikarza. W ten sposób mógł śledzić w nowej płaszczyźnie posępną walkę między szczęściem jednostki i abstrakcjami dzumy, która wyznaczała bieg życia w naszym mieście przez ten długi okres.

Lecz w tym, w czym jedni widzieli abstrakcję, inni widzieli prawdę. W istocie koniec pierwszego miesiąca dzumy przyćmiło wyraźne wzmożenie się epidemii i płomienne kazanie ojca Paneloux, jezuitę, który był przy starym Michelu w początkach jego choroby. Ojca Paneloux znano jako częstego współpracownika biuletynu Towarzystwa Geograficznego Oranu, gdzie jego rekonstrukcje epigraficzne cieszyły się wysokim uznaniem. Ale zdobył sobie uznanie rozleglejsze jeszcze, wygłosiwszy serię odczytów o nowoczesnym indywidualizmie. Wystąpił tu jako żarliwy obrońca ambitnego chrystianizmu, równie dalekiego od nowoczesnej wolnomyślności, jak od obskurantyzmu minionych wieków. Przy tej okazji nie skąpił przykrych prawd swemu audytorium. Stąd jego reputacja.

Pod koniec tego miesiąca władze kościelne naszego miasta postanowiły walczyć z dzumą własnymi środkami i zorganizowały tydzień wspólnych modlitw. Te manifestacje pobożności publicznej miały się skończyć w niedzielę uroczystą mszą do św. Rocha, zadżumionego świętego. Przy tej okazji zwrócono się do ojca Paneloux, by zabrał głos. Od dwóch tygodni Paneloux porzucił pracę nad św. Augustynem i Kościołem

afrykańskim, czemu zawdzięczał szczególną pozycję w swym zakonie. Porywczy i namiętny z natury, przyjął bez wahań powierzone sobie zadanie. Na długo przed tym kazaniem mówiono o nim w mieście i stało się ono na swój sposób ważną datą w historii tego okresu.

Tydzień modlitw miał liczne audytorium. Nie dlatego bynajmniej, że mieszkańcy Oranu byli zazwyczaj szczególnie pobożni. W niedzielę rano na przykład kąpiele morskie są poważną konkurencją dla mszy. Nie dlatego również, że spłynęło na nich nagłe nawrócenie. Ale z jednej strony, miasto było zamknięte i dostęp do portu zabroniony, kąpiele więc niemożliwe, z drugiej zaś znajdowali się w szczególnym stanie ducha: choć w gruncie rzeczy nie przyjęli zaskakujących wydarzeń, które ich dotknęły, czuli oczywiście doskonale, że coś się zmieniło. Wielu jednak miało wciąż nadzieję, że epidemia się zatrzyma i że oni wraz z rodzinami zostaną oszczędzeni. Nie czuli się więc jeszcze zobowiązani do niczego. Dżuma była dla nich tylko nieprzyjemnym gościem, który powinien pewnego dnia odejść, skoro się zjawił. Byli przerażeni, ale nie zrozpaczeni, nie nadeszła jeszcze bowiem chwila, w której dżuma ukazała się im jako prawdziwy kształt ich życia i w której zapomnieli o egzystencji, jaką mogli wieść przedtem. Krótko mówiąc, czekali. Jeśli idzie o religię, jak o wiele innych spraw, dżuma usposobiła ich szczególnie, równie oddalając od obojętności jak od pasji, co można by dość dobrze określić jako "stan obiektywny". Większość tych, którzy brali udział w tygodniu modlitw, mogłaby sobie powiedzieć na przykład, jak jeden z wiernych powiedział do doktora Rieux: "W każdym razie to nie może źle zrobić". Nawet Tarrou, zapisawszy w swoich notatnikach, że w podobnym wypadku Chińczycy grają na bębenku przed geniuszem dżumy, zauważył, że absolutnie niepodobna wiedzieć, czy w rzeczywistości bębenek nie okazywał się bardziej skuteczny od środków profilaktycznych. Dodawał tylko, że po to, by rozstrzygnąć kwestię, należałoby posiadać wiadomości o egzystencji geniusza dżumy, i że nasza niewiedza w tym względzie czyni jałowymi wszelkie możliwe poglądy.

W każdym razie przez cały tydzień katedra naszego miasta była niemal wypełniona wiernymi. Przez pierwsze dni wielu mieszkańców zostawało w ogrodzie z drzew palmowych i granatowców, rozciągającym się przed kruchtą, słuchając przypływu inwokacji i modlitw, który wybiegał na ulicę. Z wolna jednak, idąc za przykładem innych, ci sami słuchacze wchodzili do środka i dołączali nieśmiało głosy do responsonów zebranych. W niedzielę spory tłum wtargnął do nawy, sięgając aż do kruchty i ostatnich

stopni schodów. Poprzedniego dnia niebo zaciągnęło się chmurami, padał ulewny deszcz. Ci, którzy stali na zewnątrz, otworzyli parasole. Zapach kadzidła i wilgotnych ubrań unosił się w katedrze, kiedy ojciec Paneloux wszedł na kazalnicę.

Był średniego wzrostu, ale krępy. Kiedy oparł się na poręczy ambony, ściskając drewno wielkimi rękami, widać było tylko szeroki czarny kształt z dwiema czerwonymi plamami policzków pod stalowymi okularami. Głos miał mocny, namiętny, który rozbrzmiewał daleko, i kiedy natarł na audytorium gwałtownym i dobitnie powiedzianym zdaniem: "Bracia moi, doścignęło was nieszczęście, bracia moi, zasłużyliście na nie" — prąd przebiegł po zebranych aż do kruchty.

Logicznie biorąc, to, co nastąpiło potem, nie łączyło się jakby z tym patetycznym wstępem. Dopiero dalszy ciąg pozwolił zrozumieć naszym współobywatelom, że dzięki zręcznemu chwytowi oratorskiemu ojciec za jednym zamachem, tak jak zadaje się cios, ujął temat całego kazania. Zaraz po tym zdaniu Paneloux rzeczywiście zacytował tekst z Exodusu dotyczący dżumy w Egipcie i powiedział: "Po raz pierwszy ta plaga zjawiała się w historii, żeby porazić nieprzyjaciół Boga. Faraon sprzeciwił się odwiecznym zamiarom i dżuma zmusiła go, by padł na kolana. Od początku historii plaga boska rzuca do stóp Boga pysznych i ślepych. Rozważcie to i padnijcie na kolana".

Deszcz padał teraz ze zdwojoną siłą i to ostatnie zdanie, i wypowiedziane wśród absolutnej ciszy, pogłębione jeszcze uderzeniami ulewy o witraże, zabrzmiało tak, że kilku słuchaczy po sekundzie wahania ześliznęło się z krzeseł na klęczniki. Inni sądzili, że trzeba pójść za tym przykładem i stopniowo, przy odgłosie poskrzypujących krzeseł, całe audytorium znalazło się na kolanach. Wówczas Paneloux wyprostował się, odetchnął głęboko i ciągnął z coraz większym naciskiem: "Jeśli dziś dotknęła was dżuma, to znaczy, że chwila zastanowienia nadeszła. Sprawiedliwi mogą być bez obawy, ale słusznie drżą żli. W ogromnej stodole świata nieubłagany bicz wybije zboże ludzkie, aż słoma zostanie oddzielona od ziarna. Będzie więcej słomy niż ziarna, więcej powołanych niż wybranych i tego nieszczęścia nie chciał Bóg. Zbyt długo ten świat paktował ze złem, zbyt długo liczył na miłosierdzie boskie. Wystarczyła skrucha i wszystko było dozwolone. A do skruchy każdy czuł się mocny. Dozna jej w odpowiedniej chwili. A zatem najłatwiej było popuszczać sobie cugli, miłosierdzie boskie uczyni resztę. Tak! To nie mogło trwać. Bóg, który tak długo pochylał nad ludźmi tego miasta twarz pełną litości, zmęczony czekaniem, zawiedziony w swej wiekuistej nadziei, odwrócił oczy. Pozbawieni światła bożego, na długo znaleźliśmy się w ciemnościach dżumy!"

Ktoś w kościele parsknął jak niecierpliwy koń. Po krótkiej pauzie ojciec ciągnął dalej cichszym głosem: “Czytamy w Złotej legendzie, że w czasach króla Humberta Italię spustoszyła dżuma tak gwałtowna, że zaledwie wystarczało żywych, by grzebać umarłych, a dżuma ta srożyła się przede wszystkim w Rzymie i Pawii. I oczom ludzkim ukazał się dobry anioł, który dawał rozkazy złemu aniołowi niosącemu oszczep myśliwski i kazał uderzać mu w domy; a ile razy uderzał w dom, tylu martwych go opuszczało”.

Tu Paneloux wyciągnął krótkie ręce w kierunku kruchty, jak gdyby wskazywał na coś poza ruchomą zasłoną deszczu... “Bracia moi — powiedział z siłą — te same śmiertelne łowy odbywają się dziś na naszych ulicach. Spójrzcie na tego anioła dżumy, pięknego jak Lucyfer i olśniewającego jak samo zło; wznosi się nad waszymi dachami, w prawej ręce, na wysokości głowy, trzyma czerwony oszczep, lewą wskazuje na jeden z waszych domów. Może w tej chwili jego palec wyciąga się ku waszym drzwiom, oszczep podzwania o drzewo; jeszcze chwila, a dżuma wejdzie do was, zasiądzie w waszym pokoju i będzie czekać na wasz powrót. Jest tam, cierpliwa i czujna, niewzruszona jak porządek świata. Żadna potęga ziemską, i wiedziecie o tym, nawet próżna wiedza ludzka nie może sprawić, byście się wymknęli tej ręce, którą ku wam wyciąga. Bici krwawym biczem na klepisku cierpienia, zostaniecie odrzuceni wraz ze słomą”.

W tym miejscu ojciec szerzej jeszcze nakreślił patetyczny wizerunek plagi. Przywołał obraz ogromnej maczugi kołującej nad miastem, która uderza jak popadnie i wznosi się zakrwawiona, miotając krew i cierpienie ludzkie “dla siewu, który przygotowuje żniwo prawdy”.

Skończywszy ten długi okres, ojciec Paneloux urwał; włosy opadły mu na czoło, ciało przebiegało drżenie, które przez jego ręce udzielało się ambonie, po czym przemówił bardziej głucho, ale oskarżycielskim tonem: “Tak, nadeszła chwila zastanowienia. Sądziliście, że wystarczy wam odwiedzać Boga w niedzielę, abyście byli panami waszych dni. Myśleliście, że kilka razy klękawszy, zapłacicie mu dość za waszą zbrodniczą beztroskę. Ale Bóg nie jest letni. Te nieczęste wizyty nie wystarczały jego pożerającej czułości. Chciał was widywać dłużej, to jego sposób kochania i, prawdę mówiąc, jedyny sposób kochania. Oto dlaczego, zmęczony czekaniem na waszej przybycie, kazał pladze przyjść do was, jak przychodzi ona do wszystkich miast grzechu, odkąd istnieje historia ludzka. Wiecie teraz, co to grzech, jak wiedzieli o tym Kain i jego synowie, ci sprzed potopu, ci z Sodomy i Gomory, Faraon i Hiob, a także wszyscy

przekleci. I jak wszyscy oni, patrzycie nowymi oczami na ludzi i rzeczy od dnia, kiedy to miasto zamknęło was i plagę w swoich; murach. Teraz już wiecie, więc przejdźmy do tego, co najważniejsze".

Wilgotny wiatr wpadł w tej chwili gwałtownie pod sklepienie i płomyki świec zgięły się, trzaskając. Gęsta woń wosku, kaszel i kichanie uniosły się ku ojcu Paneloux, który powracając do swego wykładu z subtelnością ocenioną wysoko, podjął wzruszonym głosem: "Wielu z was, wiem o tym, słusznie zadaje sobie pytanie, dokąd zmierzam. Chcę was przywieść do prawdy i nauczyć was, radować się mimo wszystko, co powiedziałem. Minął już czas, kiedy rady i braterska ręka mogły was pchnąć kuś dobru. Dziś prawda jest rozkazem. Drogę zbawienia wskazuje wam czerwony oszczep i on was na nią popycha. Tu, bracia moi, przejawia się wreszcie miłosierdzie Boże, które do wszystkiego wnosi dobro i zło, gniew i litość, dżumę i zbawienie. Nawet ta plaga, która was zabija, uszlachetnia was i wskazuje drogę.

Dawno temu chrześcijanie z Abisynii widzieli w dżumie skuteczny i boski środek osiągnięcia nieśmiertelności. Ci, którzy nie byli dotknięci zarazą, zawijali się w prześcieradła zadżumionych, by przywołać śmierć. Ten szal zbawienia z pewnością nie zasługuje na pochwałę. Dowodzi pożałowania godnego pośpiechu, który bliski jest pychy. Nie trzeba być bardziej szybkim niżli Bóg, i wszystko, co pragnie przyspieszyć niewzruszony porządek, ustalony raz na zawsze, prowadzi do herezji. Niemniej ten przykład zawiera w sobie naukę. Naszym widzącym jaśniej umysłem ukazuje tylko doskonale światło wieczności, które kryje się w każdym cierpieniu. To światło rozjaśnia mroczne drogi wiodące ku wyzwoleniu. Objawia wolę Bożą, która niechybnie przemienia zło w dobro. Dziś znowu, poprzez ten pochód śmierci, lęku i krzyku, prowadzi nas ku istocie ciszy i zasadzie całego życia. Oto, bracia moi, ogromne pocieszenie, jakie chciałem wam ofiarować, abyście wynieśli stąd nie tylko słowo, które chłoscze, ale i słowo, które koi".

Czuło się, że Paneloux skończył. Na zewnątrz deszcz ustał. Niebo pełne wody i słońca rzucało na plac odmłodzone światło. Z ulicy dobiegał hałas głosów, szelest pojazdów — mowa budzącego się miasta. Słuchacze dyskretnie zbierali swoje rzeczy w ogłuszającym rozgardiaszu. Tymczasem ojciec Paneloux znów zabrał głos i powiedział, że wskazawszy na boskie pochodzenie dżumy i karzący charakter tej plagi, poprzestaje na tym i na zakończenie nie będzie się odwoływał do krasomówstwa, które byłoby nie na miejscu przy temacie tak tragicznym. Wydaje mu się tylko, że wszystko powinno być

jasne dla wszystkich. Przypomniał jedynie, e w zwiazku z wielka dzuma w Marsylii kronikarz Mathieu Marais skarzył sie, iz znalazł sie w piekle, yąc bez pomocy i nadziei. Coz, Mathieu Marais był lepy! Natomiast ojciec Paneloux nigdy nie czuł bardziej pomocy boskiej i chrzecijanskiej ufnoci, danych kademu. Miał nadzieje, wbrew wszelkiej nadziei, e mimo okropnoci tych dni i krzykw umierajcych nasi wspoobywatele skieruj do nieba jedyne chrzecijanskie sowo, sowo mioci. Bog uczyni reszte.

Trudno powiedzie, czy to kazanie podziaao na naszych wspoobywateli. Pan Othon, sedzia ledczy, owiadczy doktorowi Rieux, e uwaa wykad ojca Paneloux za "cakowicie niezbyt". Ale nie wszyscy mieli pogad tak zdecydowany. Kazanie uwiadomio tylko niektórym myl, niejasna dotychczas, e za nieznan zbrodni zostali skazani na niepojete uwiezienie.

I wowczas kiedy jedni nadal wiedli skromne ycie i przystosowywali sie do zamknenia, inni, na odwrot, myleli tylko o tym, jak by z tego wiezienia uciec.

Z poczatku ludzie zgodzili sie na odciecie od zewnatrz, tak samo jak zgodziliby sie na kad przejciowa przykroc, ktora naruszaaby tylko pewne ich przyzwyczajenia. Ale wiadomi nagle czego w rodzaju uwiezienia, pod pokryw nieba, gdzie zaczynao juz szumic lato, czuli niewyraznie, e to zamknenie zagraa ich caemu yciu, i energia, ktor z nadejciem wieczoru odnajdywali wraz z ochod, rzucaa ich niekiedy ku rozpaczliwym postepkom.

Przede wszystkim od tej niedzieli poczawszy, moe na skutek zbiegu okolicznoci, pojawił sie w naszym miecie strach doc powszechny i doc glepek, by mona byo podejrzewac, e nasi wspoobywatele naprawde osiagaj wiadomoc swej sytuacji. Z tego punktu widzenia atmosfera w naszym miecie nieco sie zmienia. Ale nie wiadomo, czy ta zmiana zasza w atmosferze, czy w sercach.

W kilka dni po kazaniu doktor Rieux, ktory omawiał to wydarzenie z Grandem, idac w stron przedmiecia, potracił w mroku czowieka, ktory kiwał sie, stojac w miejscu. W tej samej chwili wiata naszego miasta, ktore zapalano coraz poniej, zablyy nagle. Wysoka lampa, umieszczona nad przechodniami, owietlia znienacka meczyzne, ktory miał sie bezgonie z zamkneymi oczami. Po jego biaej twarzy, rozciagnej niem wesooci, pot ciekał wielkimi kroplami. Poszli dalej.

— To wariat — powiedzia Grand.

Rieux, który wziął urzędnika za ramię, żeby go pociągnąć, poczuł, że Grand drży nerwowo.

— ... w naszym mieście będą tylko wariaci — rzekł Rieux.

Zmęczony, poczuł, że ma suche gardło.

— Napijmy się czegoś.

W małej kawiarni, do której weszli, oświetlonej jedną tylko lampą nad kontuarem, ludzie rozmawiali cicho, bez widocznego powodu, w gęstym i czerwonym powietrzu. Przy kontuarze Grand ku zdumieniu doktora zamówił jakiś alkohol i wypił go jednym haustem, oświadczając, że trunk jest mocny. Zaraz potem chciał wyjść. Rieux wydało się na ulicy, że noc pełna jest jęków. Głuchy gwizd gdzieś w czarnym niebie, nad światłami, przypomniał mu o niewidocznej zarazie, która mieściła niestrudzenie ciepłe powietrze.

— Na szczęście, na szczęście — powiedział Grand.

Rieux zadał sobie pytanie, co Grand miał na myśli.

— Na szczęście — mówił tamten — mam swoją pracę.

— Tak — rzekł Rieux — to lepiej.

I postanowiwszy nie słuchać gwizdu, zapytał Granda, czy jest zadowolony ze swej pracy.

— Cóż, sądzę, że jestem na dobrej drodze.

— Ma pan jeszcze tego na długo?

Grand jakby się ożywił, ciepło alkoholu udzieliło się jego głosowi.

— Nie wiem. Ale nie w tym rzecz, doktorze, nie w tym, nie.

W ciemności Rieux odgadywał, że Grand porusza rękami. Zdawało się, że układa zdania, które wypowiedział nagle, płynnie:

— Widzi pan, doktorze, chcę, żeby w ów dzień, kiedy rękopis znajdzie się u wydawcy, wydawca przeczytawszy go wstał i powiedział do swych współpracowników: "Panowie, kapelusze z głów!"

To oświadczenie zdumiało Rieux. Wydało mu się, że jego towarzysz zrobił gest, jakby zdejmował kapelusz, uniósł bowiem rękę do głowy i wyciągnął ją poziomo. W górze dziwny gwizd powrócił z większą siłą.

— Tak — rzekł Grand — to musi być doskonałe.

Choć niezbyt zorientowany w obyczajach literackich, Rieux pomyślał jednakże, że sprawy nie układają się tak po prostu i że na przykład wydawcy nie noszą w biurach

kapeluszy. Ale w gruncie rzeczy nic nie wiadomo i Rieux wolał milczeć. Bezwiednie nasłuchiwał tajemniczego zgiełku dżumy. Zbliżali się do dzielnicy Granda, a ponieważ znajdowała się ona nieco wyżej, orzeźwił ich lekki wiatr, który zarazem oczyszczał miasto z wszelkich hałasów. Grand tymczasem ciągnął dalej i Rieux nie chwycił wszystkiego, co zacny urzędnik mówił. Zrozumiał jedynie, że dzieło, o którym mowa, liczy już wiele stron, ale autor z bolesnym trudem doprowadza je do doskonałości.

— Wieczory, całe tygodnie nad jednym słowem... czasem nawet nad zwykłym spójnikiem. — Tu Grand urwał i chwycił doktora za guzik od płaszcza. Słowa wychodziły utykając z jego źle uzębionych ust.

— Niech pan zrozumie dobrze, doktorze. Ściśle biorąc, dość łatwo jest wybrać między "ale" i "i". Trudniej już między "i" i "potem". Trudność rośnie przy "potem" i "następnie". Ale na pewno najtrudniej jest wiedzieć, czy "i" jest, czy nie jest potrzebne.

— Tak — powiedział Rieux — rozumiem.

Ruszył dalej. Grand zmieszany szedł obok doktora.

— Niech mi pan wybaczy — wybąkał. — Nie wiem, co się dziś ze mną dzieje!

Rieux uderzył go lekko po ramieniu, powiedział, że pragnie mu pomóc i że ta sprawa bardzo go interesuje. Grand jakby nieco się rozpogodził i gdy stanęli przed domem, po chwili wahania zaproponował doktorowi, żeby wszedł na moment. Rieux zgodził się. W jadalni Grand poprosił doktora, by usiadł przy stole pełnym papierów, które pokrywało mikroskopijne pismo usiane poprawkami.

— Tak, to jest to — rzekł Grand doktorowi, który zapytywał go spojrzeniem. — Ale czy chce się pan czegoś napić? Mam trochę wina.

Rieux podziękował. Przyglądał się arkuszom papieru.

— Niech pan nie patrzy — powiedział Grand. — To moje pierwsze zdanie. Dużo mam z nim kłopotu, dużo.

On także przyglądał się tym wszystkim arkuszom i zdawało się, że jeden z nich przyciąga nieodparcie jego rękę; uniósł go w świetle żarówki nie przykrytej abażurem, tak że papier stał się przezroczysty. Arkusz drżał w jego ręce. Rieux zauważył, że czoło urzędnika było wilgotne.

— Niech pan siada — powiedział — i przeczyta mi to. Grand spojrzał na niego i uśmiechnął się z pewną wdzięcznością.

— Tak — rzekł — zdaje się, że mam na to ochotę.



Począł chwilę, wciąż przyglądając się kartce papieru, potem usiadł. Rieux słuchał jednocześnie czegoś na kształt niewyraźnego brzęczenia, które zdawało się odpowiadać na gwizd zarazy w mieście. W owej chwili niezwykle ostro czuł to miasto rozciągające się u jego stóp, czuł ten zamknięty świat, słyszał straszliwe wycie, jakie miasto tłumilo w nocy. Głos Granda zabrzmiał głucho: "W piękny poranek majowy wytworna amazonka, siedząc na wspaniałej kasztance, jechała kwitnącymi alejami Lasku Bulońskiego". Cisza wróciła i razem z nią niewyraźny hałas cierpiącego miasta. Grand położył kartkę i patrzył na nią. Po chwili podniósł oczy:

— Co pan o tym myśli?

Rieux odparł, że ten początek budzi w nim ochotę poznania dalszego ciągu. Ale Grand powiedział żywo, że nie jest to właściwy punkt widzenia. Uderzył dłonią na płask w papiery.

— To tylko szkic. Kiedy potrafię dokładnie oddać obraz, który mam w wyobraźni, kiedy moje zdanie nabierze rytmu tej przejażdżki kłusem, raz — dwa — trzy, raz — dwa — trzy, wówczas reszta stanie się łatwiejsza, a nade wszystko złudzenie tak wielkie, że można będzie powiedzieć: "Panowie, kapelusze z głów!"

Ale jeśli idzie o to, miał jeszcze czas. Nie zgodziłby się oddać zdania w takim kształcie drukarzowi. Mimo bowiem zadowolenia, jakie dawało mu niekiedy, zdawał sobie sprawę, że nie przylega jeszcze całkiem do rzeczywistości i że w pewnej mierze zachowało łatwiznę tonu, mimo wszystko zbliżającego je trochę do komunału. Przynajmniej taki był sens tego, co mówił, kiedy usłyszeli kroki ludzi biegnących pod oknami. Rieux wstał.

— Zobaczysz pan, co z tego zrobię — powiedział Grand. Odwrócony do okna, dodał: — Kiedy to wszystko się skończy.

Ale znów rozległ się hałas szybkich kroków. Rieux schodził już i kiedy był na ulicy, dwóch ludzi przeszło obok niego. Najwidoczniej zmierzali w stronę bram miasta. Niektórzy nasi współobywatele, tracąc głowę pośród upału i dżumy, posuwali się do gwałtu i próbowali zmylić czujność przy rogatkach, by uciec z miasta.

Inni, jak Rambert, próbowali również wymknąć się tej atmosferze rosnącej paniki, ale z większym uporem i zręcznością, jeśli nie z większym powodzeniem. Rambert nie zaniechał przede wszystkim oficjalnych starań. Jak powiedział, zawsze był zdania, że upór w końcu zwycięża wszelkie przeszkody, a dawać sobie radę należało, w

pewnym sensie, do jego zawodu. Odwiedził więc wielu urzędników i ludzi, których kompetencji nie kwestionowano zazwyczaj. Ale w danym wypadku te kompetencje nie służyły im do niczego. Najczęściej byli to ludzie, którzy mieli określone i uporządkowane poglądy na wszystko, co dotyczy banku, eksportu, płodów ziemi czy wreszcie handlu winem; którzy posiadali niewątpliwe wiadomości w zakresie spraw spornych czy ubezpieczeń, nie mówiąc już o solidnych dyplomach i oczywistej dobrej woli. U wszystkich najbardziej nawet uderzała ta dobra wola. Ale jeśli idzie o dżumę, ich wiadomości były mniej więcej żadne.

Jednakże wobec każdego z nich i za każdym razem, gdy to było możliwe, Rambert bronił swej sprawy. Istota jego argumentacji sprowadzała się zawsze do oświadczenia, że jest obcy w naszym mieście, a zatem jego wypadek powinien być odrębnie rozpatrywany. Na ogół rozmówcy dziennikarza zgadzali się chętnie na to. Wskazywali jednak zazwyczaj, że sprawa dotyczy również pewnej liczby ludzi i na skutek tego wypadek Ramberta nie jest tak wyjątkowy, jak on to sobie wyobraża. Rambert odpowiadał, że to nie zmienia w niczym istoty jego argumentacji, na co oświadczone mu, że to jednak coś zmienia, jeśli idzie o trudności administracyjne stojące na przeszkodzie wszelkiemu okazywaniu względów w obawie, że powstanie to, co z wielką odrazą nazywano precedensem. Według klasyfikacji, którą Rambert przedstawił doktorowi Rieux, ten rodzaj rozumowania charakteryzował formalistów. Obok nich można było jeszcze znaleźć gadułów, którzy zapewniali petenta, że to wszystko nie potrwa długo, szafowali dobrymi radami, gdy proszono ich o decyzję, i pocieszali Ramberta, że chodzi tylko o chwilową niedogodność. Byli również ważni, którzy prosili Ramberta, żeby pozostawił im notatkę streszczającą sprawę, i informowali go, że opierając się na niej powezmą decyzję; powierzchowni, którzy ofiarowywali mu bony na mieszkanie lub adresy niedrogich pensjonatów; metodyczni, którzy kazali mu wypełniać formularze i wkładali je do kartotek; wylewni wznosili ręce do góry; znudzeni odwracali oczy; wreszcie tradycjonałści, najliczniejsi ze wszystkich, wskazywali Rambertowi inne biuro lub inny sposób załatwienia sprawy.

Dziennikarz, wyczerpany chodzeniem po urzędach, nabrał właściwego pojęcia o tym, czym jest merostwo lub prefektura, czekając na wyściełanej ławce przed wielkimi plakatami zachęcającymi do subskrypcji bonów skarbowych, wolnych od podatków, czy zaciągnięcia się do armii kolonialnej, i wchodząc do biur, gdzie twarze można było równie łatwo przewidzieć jak segregatory i półki z aktami. Miało to tę dobrą stronę, jak

powiedział Rambert doktorowi z odcieniem goryczy, że maskowało prawdziwą sytuację. Praktycznie biorąc, rozwój dżumy wymykał się jego uwadze. Nie mówiąc już o tym, że w ten sposób dni upływały szybciej, w sytuacji zaś, w której znajdowało się całe miasto, każdy miniony dzień zbliżał każdego, pod warunkiem, że pozostał przy życiu, do kresu jego próby. Rieux musiał przyznać, że ten stan odpowiadał prawdzie, ale że prawda ta była nieco ogólna.

W pewnej chwili Rambert poczuł nadzieję. Otrzymał z prefektury ankietę in blanco z prośbą, by wypełnił ją dokładnie. Ankieta interesowała się jego tożsamością, sytuacją rodzinną, dawnymi i obecnymi środkami utrzymania oraz tym, co nazywano *curriculum vitae*. Wydało mu się, że chodzi tu o ankietę mającą na celu spis osób, które można odesłać do ich stałych miejsc zamieszkania. Kilka chaotycznych informacji, zebranych w jakimś biurze, potwierdziło to wrażenie. Ale gdy Rambert zabrał się do tego poważnie i znalazł biuro, które wysłało mu ankietę, powiedziano mu, że te informacje zbiera się "na wypadek".

— Na wypadek czego? — zapytał Rambert.

Wyjaśniono mu, że na wypadek, gdyby zachorował i umarł na dżumę, aby, z jednej strony, uprzedzić rodzinę, z drugiej zaś wiedzieć, czy należy koszty szpitala wliczyć do budżetu miasta, czy spodziewać się zwrotu od krewnych. Dowodziło to oczywiście, że nie był całkowicie oddzielony od tej, która na niego czekała, społeczność zajmowała się nim. Ale nie było to pocieszeniem. Rzecz jednak godna uwagi, jak mógł stwierdzić Rambert, że w pełni katastrofy urzędy pracowały nadal i działały tak samo jak w innym czasie, często bez wiedzy najwyższych władz i tylko dlatego, że zostały do tego stworzone.

Następny okres był dla Ramberta zarazem najłatwiejszy i najtrudniejszy. Był to okres odrętwienia. Odwiedził już wszystkie urzędy, poczynił wszelkie kroki, od tej strony wyjścia były na razie zamknięte. Błąkał się więc od kawiarni do kawiarni. Siadał rano na tarasie przy szklance letniego piwa, czytał gazetę z nadzieją, że znajdzie w niej jakiś znak bliskiego końca choroby, patrzył na przechodniów ulicznych, odwracał się z niesmakiem od wyrazu smutku na ich twarzach i przeczytawszy po raz setny szyldy sklepów z przeciwnika, reklamy znanych aperitifów, których już nie podawano, wstawał i szedł żółtymi ulicami miasta. Przenosząc się samotnie z kawiarni do kawiarni, a stamtąd do restauracji, mógł dobrnąć do wieczoru. Pewnego wieczoru właśnie Rieux zauważył dziennikarza przed drzwiami kawiarni: Rambert wahał się, czy wejść. Wreszcie

zdecydował się i usiadł w głębi sali. Była to godzina, kiedy w kawiarniach, na skutek rozporządzenia z góry, opóźniano możliwie najdłużej zapalenie świateł. Zmierzch ogarniał salę jak szara woda, różowość zachodu odbijała się w szybach i marmur stolików połyskiwał słabo w nadciągającej ciemności. Pośrodku pustej sali Rambert wyglądał jak zagubiony cień i Rieux pomyślał, że jest to godzina, kiedy Rambert nie broni się przed rozpaczą. Ale była to godzina, kiedy wszyscy więźniowie tego miasta odczuwali rozpacz, i trzeba było coś zrobić, by przyspieszyć moment wyzwolenia. Rieux odwrócił się.

Rambert spędzał też długie chwile na dworcu. Wstęp na perony był zabroniony, ale poczekalnie, do których wchodziło się od zewnątrz, zostawiano otwarte, i w dni upalne siadywali tu czasem żebracy, były one bowiem cieniste i chłodne. Rambert czytał stare rozkłady jazdy, wywieszki zabraniające płuć i przepisy policji kolejowej. Potem siadał w kącie. Sala była mroczna. Stary piec stygł od miesięcy obok zwiniętego starego szlauchu. Na ścianie kilka plakatów zachęcało do szczęśliwego życia w Bondol czy Cannes. Rambert dotykał tu owej strasznej wolności, jaką odnajduje się na dnię opuszczenia. Obrazy, które najtrudniej było mu wówczas udźwignąć, przynajmniej tak mówił doktor Rieux, były obrazami Paryża. Pejzaż ze starych kamieni i wody, gołębice z Palais-Royal i Gare du Nord, puste ulice wokół Panteonu i kilka innych miejsc w tym mieście, o którym nie wiedział, że tak je kocha, prześladowały Ramberta i nie pozwalały mu zabrać się do czegokolwiek określonego. Rieux myślał jedynie, że dziennikarz utożsamiał te obrazy z obrazami swej miłości. I tego dnia, kiedy Rambert powiedział mu, że lubi się budzić o czwartej nad ranem i myśleć o swoim mieście, doktor bez trudu, z głębi własnego doświadczenia, zrozumiał to tak, że Rambert lubi wyobrazić sobie wówczas kobietę, którą zostawił. Była to bowiem godzina, kiedy mógł ją pochwycić. O czwartej nad ranem człowiek na ogół nic nie robi, śpi, nawet jeśli noc była nocą zdrady. Tak, o tej godzinie śpi się i to uspokaja, skoro wielkim pragnieniem niespokojnego serca jest posiadać wciąż istotę, którą on kocha, albo, gdy nadszedł czas nieobecności, pograć tę istotę we śnie bez snów, który może skończyć się dopiero w dniu połączenia.

Niedługo po kazaniu rozpoczęły się upały. Był koniec czerwca. Nazajutrz po spóźnionych deszczach, które upamiętniły niedzielę kazania, lato wybuchnęło nagle na niebie i nad domami. Najpierw zerwał się wielki, palący wiatr; wiał przez cały dzień i wysuszył mury. Pogoda ustaliła się. Fale żaru i światła nieprzerwanie zalewały miasto.

Zdawało się, że prócz ulic z arkadami i mieszkań nie ma w mieście żadnego miejsca wolnego od oślepiającego blasku. Słońce prześladowało naszych współobywateli we wszystkich zakątkach ulic i jeśli zatrzymywali się choć na chwilę, dosięgało ich natychmiast. Ponieważ te pierwsze upały zbiegły się z gwałtownym wzrostem liczby ofiar, która dochodziła do siedmiuset tygodniowo, przygnębienie ogarnęło miasto. Na przedmieściach, pomiędzy ulicami ciągnącymi się płasko i domami, które miały tarasy, ożywienie zmalowało i w tej dzielnicy, gdzie ludzie mieszkali zawsze na progach swych domów, wszystkie drzwi i okiennice były zamknięte; nie wiadomo, czy chronili się w ten sposób przed dżumą, czy przed słońcem. Jednakże z kilku domów dobiegały jęki. Dawniej, kiedy się to zdarzało, na ulicach widywano często ciekawskich, którzy pilnie nasłuchiwali. Ale po tylu alarmach serca stały się nieczułe i wszyscy przechodzili lub żyli obok skarg, jak gdyby były one naturalnym jękiem człowieka. Tłok przy bramach zmusił żandarmów do użycia broni, co wywołało głuchoe wzburzenie. Byli na pewno ranni, ale w mieście, gdzie przesadzano we wszystkim na skutek upału i strachu, mówiono o zabitych. W każdym razie jest prawdą, że niezadowolenie wciąż rosło, że nasze władze obawiały się najgorszego i poważnie zastanawiały się nad środkami, jakie należałoby zastosować, gdyby ludność, nad którą władzę sprawowała zaraza, posunęła się do buntu. Dzienniki drukowały dekrety, które ponawiały zakaz opuszczania miasta i groziły karami więzienia przestępcom. Patrole krążyły po mieście. Na pustych i przegrzanych ulicach, poprzedzani uderzeniami kopyt o bruk, pojawiali się często strażnicy na koniach i przejeżdżali pomiędzy rzędami zamkniętych okien. Kiedy patrol zniknął, ciężka i nieufna cisza spadała na zagrożone miasto. Czasem rozlegały się wystrzały patroli specjalnych; zgodnie z niedawnym zarządzeniem miały one zabijać psy i koty, które mogły przenosić pchły. Te suche detonacje przyczyniały się do stworzenia w mieście atmosfery alarmu.

Dla przerażonych serc naszych współobywateli wszystko zresztą w tym upale i ciszy nabierało większego znaczenia. Po raz pierwszy wszyscy stali się wrażliwi na barwy nieba i zapachy ziemi, które znaczą zmiany pór roku. Każdy rozumiał z trwogą, że upały wspomagają epidemię, i każdy wiedział zarazem, że lato się zadomawia. Krzyk jerzyków w wieczornym niebie wątpił nad miastem, nie był już na miarę tych czerwonych zmierzchów, które oddalają horyzont w naszych stronach. Na targi nie przywożono już kwiatów w pękach, były otwarte, i po rannej sprzedaży ich płatki pokrywały zakurzone chodniki. Nie ulegało wątpliwości, że wiosna się wyczerpała, roztrwoniła w tysiącach kwiatów rozkwitłych wszędzie wokół i że teraz uśnie, miażdżona powoli podwójnym

ciężarem dżumy i upału. Dla wszystkich naszych współobywateli to letnie niebo, te ulice blednące od kurzu i nudy miały ten sam groźny sens co stu zmarłych, którzy co dzień przydawali ciężaru miastu. Nieustanne słońce, godziny o smaku snu i wakacji nie zapraszały już jak dawniej na święta wody i ciała. Przeciwnie, dźwięczały pusto w zamkniętym i milczącym mieście. Straciły miedziany blask szczęśliwych pór roku. Słońce dżumy gasiło wszystkie barwy i zmuszało do ucieczki każdą radość.

Była to jedna z wielkich rewolucji choroby. Wszyscy nasi współobywatele przyjmowali zazwyczaj lato z radością. Miasto otwierało się wówczas ku morzu i wyrzucało młodzież na plażę. Tego lata natomiast dostęp do bliskiego morza był zabroniony i ciało nie miało już praw do swych radości. Co robić w takich warunkach? Tarrou znów daje najwierniejszy obraz naszego życia podówczas. Rzecz oczywista, że śledził ogólny rozwój dżumy, zapisując mianowicie, iż pewien zwrot w epidemii podkreślało radio, które nie informowało już o setkach zgonów tygodniowo, ale o dziewięćdziesięciu dwóch, stu siedmiu i stu dwudziestu zmarłych dziennie. "Dzienniki i władze chcą przechytryć dżumę. Wyobrażają sobie, że odbiorą jej punkty, ponieważ sto trzydzieści jest mniejszą liczbą od dziewięćuset dziesięciu". Ukazywał również stronę patetyczną czy wizualną epidemii, pisząc o owej kobiecie, która w pustej dzielnicy z zamkniętymi okiennicami otworzyła nagle okno i krzyknęła dwukrotnie głośno, po czym zamknęła okiennice nad gęstym cieniem pokoju. Ale gdzie indziej notował, że pastylki mentolowe zniknęły z aptek, ponieważ wielu ludzi ssało je, by zabezpieczyć się przed ewentualnym zarażeniem.

Nadal też obserwował swoje ulubione postaci. Dowiadujemy się więc, że mały staruszek od kotów przeżywał również tragedię. Pewnego ranka rozległy się wystrzały i, jak pisał Tarrou, kilka ołowianych splunień zabiło większość kotów i sterroryzowało inne, które opuściły ulicę. Tego samego dnia o zwykłej godzinie mały staruszek wyszedł na balkon, okazał pewne zdumienie, pochylił się, zbadał wyloty ulic i zrezygnowany czekał. Jego ręka uderzała lekko o kraty balkonu. Poczekał jeszcze, rozdrobnił nieco papieru, wrócił do pokoju, wyszedł znowu, wreszcie, po pewnym czasie, znikł nagle, zamykając za sobą drzwi balkonowe ze złością. Ta sama scena powtórzyła się w następnych dniach, ale na twarzy małego staruszka można było wyczytać coraz bardziej widoczny niepokój i smutek. Po tygodniu Tarrou na próżno czekał na codzienny widok; uparcie zamknięte okna kryły zrozumiałe zmartwienie. "W czasie dżumy zabrania się pluć na koty" – taki wniosek zawierały notatki.

Kiedy Tarrou wracał wieczorem do hotelu, zawsze był pewien, że spotka w hallu ponurą postać nocnego stróża, który przechadzał się tam i z powrotem. Stróż nieustannie przypominał każdemu wchodzącemu, że przewidział to, co się stało. Tarrou przyznawał mu, że przewidział nieszczęście, ale przypominał, że stróż mówił o trzęsieniu ziemi; stary odpowiadał: "Ach, gdybyż to było trzęsienie ziemi! Mocny wstrząs, o którym nie mówi się więcej... Liczy się zmarłych, żywych, i sprawa załatwiona. Ale ta łajdacka choroba! Nawet ci, których nie tknęła, noszą ją w sercu".

Dyrektor był równie przygnębiony. Z początku podróżni, nie mogąc opuścić zamkniętego miasta, pozostawali w hotelu. Ale epidemia się przedłużała i wielu z nich wolało zamieszkać u przyjaciół. Tak więc, z tych samych powodów, z których przedtem wszystkie pokoje były zajęte, teraz były one puste, skoro nowi podróżni nie przyjeżdżali już do naszego miasta. Tarrou był jednym z nielicznych gości i dyrektor przy każdej okazji zwracał mu uwagę, że gdyby nie to, że chciał wyświadczyć uprzejmość ostatnim klientom, od dawna już zamknąłby swój hotel. Często pytał Tarrou, jak długo może potrwać epidemia. "Podobno — mówił Tarrou — chłody stanowią przeszkodę dla chorób tego rodzaju". Dyrektor wpadał w zdenerwowanie: "Ale tu nigdy nie jest naprawdę zimno, proszę pana. W każdym razie to zanoszą się jeszcze na wiele miesięcy". Był zresztą pewien, że podróżni długo nie będą przyjeżdżać do miasta. Dżuma była ruiną turystyki.

Po krótkiej nieobecności w restauracji znów zjawił się pan Othon, człowiek-sowa, ale jedynie w towarzystwie dwóch tresowanych psów. Jak wynikało ze zdobytych wiadomości, jego żona pielęgnowała, a następnie pochowała swoją matkę i teraz przechodziła kwarantannę.

— Nie lubię takich rzeczy — powiedział dyrektor do Tarrou. — Z kwarantanną czy bez, jest to osobnik podejrzany, a na skutek tego i cała jego rodzina.

Tarrou zwracał mu uwagę, że z tego punktu widzenia wszyscy są podejrzani. Ale dyrektor był stanowczy i miał w tej sprawie zdecydowane poglądy.

— Nie, proszę pana, ani pan, ani ja nie jesteśmy podejrzani. A oni tak.

Ale pan Othon nie zmienił się z powodu takiej drobnostki i tym razem dżuma była wystrychnięta na dudka. Wchodził w taki sam sposób do sali restauracyjnej, siadał, a potem siadały dzieci, do których wygłaszał niezmiennie dystyngowane i nieprzyjazne zdania. Tylko chłopiec się zmienił. Ubrany na czarno jak jego siostra, ale nieco bardziej skupiony, wyglądał niby mały cień swego ojca. Stróż nocny, który nie lubił pana Othona, powiedział do Tarrou:

— O, ten zdechnie kompletnie ubrany. Nie trzeba go będzie stroić. Pójdzie od razu.

W notatniku znalazło się także sprawozdanie z kazania ojca Paneloux, ale z następującym komentarzem: "Rozumiem ten sympatyczny zapach. Gdy zaczyna się plaga i kiedy się już skończyła, uprawia się zawsze nieco retoryki. W pierwszym wypadku trwają jeszcze dawne przyzwyczajenia, w drugim powracają znowu. W chwili nieszczęścia człowiek oswaja się z prawdą, to znaczy z ciszą. Czekajmy".

Tarrou notował wreszcie, że miał długą rozmowę z doktorem Rieux. Mówił o niej tylko tyle, że dała dobre rezultaty, i przy tej okazji wspomniał o jasnobrązowych oczach pani Rieux-matki, dodając przy tym uwagę dość dziwną, że spojrzenie, w którym czyta się tyle dobroci, będzie zawsze mocniejsze od dżumy; po czym poświęcił dość długie ustępy staremu astmatykowi, którego leczył Rieux.

Był u niego z doktorem po ich spotkaniu. Stary przyjął Tarrou szyderczym śmiechem i zacieraniami rąk. Był w łóżku, oparty o poduszkę, przed sobą miał dwa garnki z grochem.

— Ach, jeszcze jeden — powiedział na widok Tarrou. — Świat się przewrócił, więcej teraz lekarzy niż chorych. Szybko idzie, co? Proboszcz ma rację, to dobrze zasłużone.

Nazajutrz Tarrou przyszedł bez uprzedzenia.

Jeśli wierzyć jego notatkom, stary astmatyk, z zawodu kramarz, mając pięćdziesiąt lat doszedł do wniosku, że dosyć już zrobił. Położył się i odtąd nie wstał więcej, choć pozycja stojąca nie pogarszała choroby. Za pomocą niewielkiej renty dożył siedemdziesięciu pięciu lat, które dźwigał wesoło. Nie znosił widoku zegarków i w całym domu nie było ani jednego. "Zegarek jest rzeczą drogą i głupią" — mawiał. Obliczał czas, zwłaszcza zaś godziny posiłków — jedyne, jakie go obchodziły — za pomocą dwóch garnków, z których jeden był pełen grochu, kiedy się budził. Napełniał drugi, ziarnko po ziarnku, uważnym i regularnym ruchem. W ten sposób odnajdywał punkty orientacyjne w dniu mierzonym garnkiem. "Po piętnastu garnkach — mówił — należy mi się przekąska. To całkiem proste".

Według tego zresztą, co mówiła jego żona, za młodu już znać było powołanie kramarza. Nic go naprawdę nie interesowało, ani praca, ani przyjaciele, ani kawiarnia, ani muzyka, ani kobiety, ani spacer. Opuścił miasto tylko jeden raz, kiedy musiał



pojechać do Algieru w sprawach rodzinnych: wysiadł na najbliższej stacji, nie czując się na siłach zapuszczać się dalej. Wrócił do domu pierwszym pociągiem.

Tarrou dziwił się trochę zamkniętemu życiu, jakie prowadził; astmatyk wytłumaczył mu z grubsza, że według religii pierwsza połowa życia człowieka jest wstępująca, druga zstępująca, że w drugiej dni człowieka nie należą już do niego, że można mu je odebrać w każdej chwili, nic tu zrobić nie jest w mocy, najlepiej więc nic nie robić. Sprzeczność zresztą nie przerażała go wcale, powiedział bowiem w chwilę potem do Tarrou, że Bóg na pewno nie istnieje, w przeciwnym bowiem razie księża byłiby niepotrzebni. Ale po kilku następnych uwagach Tarrou zrozumiał, że ta filozofia była ściśle związana z kiepskim humorem, jaki w astmatyku wywołały częste kwesty jego parafii. Żeby dopełnić portretu starca, trzeba dodać, że żywił głębokie pragnienie, które wielokrotnie wyrażał swemu rozmówcy: miał nadzieję, że umrze bardzo stary.

“Czy jest to święty?” — zapytywał siebie Tarrou. I odpowiadał: “Tak, jeśli świętość jest zespołem przyzwyczajień”.

Jednocześnie jednak Tarrou opisywał dość dokładnie dzień w zadzumionym mieście, dając w ten sposób właściwe wyobrażenie o zajęciach i życiu naszych obywateli podczas tego lata: “Śmieją się tylko pijacy — mówił Tarrou — ci zaś za bardzo się śmieją”. I czym rozpoczynał opis:

“Wczesnym rankiem lekkie powiewy przebiegają przez puste jeszcze miasto. O tej godzinie, pomiędzy zgonami w nocy i agoniami poranka, wydaje się, że dżuma ustała na chwilę w swym wysiłku i nabiera oddechu. Wszystkie sklepy są zamknięte. Ale napis na niektórych: «Zamknięte z powodu dżumy», świadczy o tym, że nie zostaną otwarte wkrótce, podobnie jak inne. Sprzedawcy gazet śpią jeszcze i nie wykrzykują nowin; wsparci o mur na rogu ulicy podają latarniom swój towar gestem somnambulików. Wkrótce, obudzeni pierwszymi tramwajami, rozbiegają się po całym mieście, wyciągając końcem palców arkusze, na których wybucha słowo «Dżuma». «Czy dżuma potrwa do jesieni? Profesor B... odpowiada: Nie». «Stu dwudziestu czterech zmarłych — oto bilans dziewięćdziesiątego czwartego dnia choroby.»

Mimo wciąż zastrzających się trudności z papierem, na skutek czego pewne periodyki musiały zmniejszyć ilość stron, powstał nowy dziennik «Kurier Epidemii», który stawia sobie za zadanie: «informować naszych współobywateli o postępie lub cofaniu się choroby, dbając o największą obiektywność; dostarczać im świadectw najbardziej autorytatywnych o perspektywach epidemii; życzyć swych kolumn

wszystkim ludziom znanym i nieznanym, którzy chcą walczyć z plagą; podtrzymywać ducha ludności, przekazywać zarządzenia władz, słowem, skupić dobrą wolę do skutecznej walki ze złem, które w nas godzi». W rzeczywistości ten dziennik ograniczył się bardzo szybko do publikowania ogłoszeń nowych preparatów, niezawodnie zapobiegających dżumie.

Około szóstej zaczyna się sprzedaż tych wszystkich gazet w ogonkach, ustawiających się u drzwi sklepów na godzinę z górą przed ich otwarciem, a potem w tramwajach, które przepełnione przyjeżdżają z przedmieść. Tramwaje są teraz jedynym środkiem komunikacji i posuwają się z trudem, stopnie i barierki trzeszczą z przeciążenia. Rzecz ciekawa jednak, wszyscy jadący w miarę możliwości odwracają się do siebie plecami, żeby uniknąć wzajemnego zarażenia. Na przystankach tramwaj wyrzuca ładunek mężczyzn i kobiet, spieszących, żeby znaleźć się wreszcie daleko od innych. Często wybuchają sceny wynikające jedynie ze złego humoru, który staje się chroniczny.

Po przejeździe pierwszych tramwajów miasto budzi się powoli, pierwsze lokale otwierają się, nad kontuarami widać napisy: «Nie ma kawy», «Przynieś swój cukier» itd. Potem otwierają się sklepy, ożywiają ulice. Tymczasem słońce idzie do góry i żar z wolna powleka ołowiem niebo lipcowe. Jest to godzina, kiedy ci, co nic nie robią, wychodzą na bulwary. Wydaje się, że większość postawiła sobie za zadanie zażegnać dżumę pokazem swego zbytku. Co dzień, około jedenastej, odbywa się na głównych ulicach defilada młodych mężczyzn i kobiet, i można tu odczuć ową namiętność życia, która rośnie w łonie wielkich nieszczęść. Jeśli epidemia się rozszerzy, swobodniejsze staną się również obyczaje. Ujrzymy mediolańskie saturnalia na skraju grobów.

W południe restauracje zapełniają się w mgnieniu oka. Bardzo szybko przy drzwiach formują się małe grupy ludzi, którzy nie mogli znaleźć miejsca. Niebo od nadmiernego żaru zaczyna tracić światło. W cieniu wielkich markiz, na skraju ulicy trzaskającej od słońca, kandydaci do posiłku czekają na swoją kolej. Restauracje są przepełnione, ponieważ upraszczają znacznie problem zaopatrzenia w żywność. Ale nie uwalniają od lęku przed zarażeniem. Biesiadnicy tracą długie chwile na cierpliwe wycieranie nakryć. Niedawno w niektórych restauracjach wywieszono napisy: «Tu myje się nakrycia wrzątkiem». Ale powoli zrezygnowano z wszelkiej reklamy, skoro klienci i tak muszą przyjść. Klient zresztą chętnie wydaje pieniądze. Szlachetne wina albo takie, które za szlachetne uchodzą, i najdroższe przystawki to początek wyścigu rozpasania.

Zdaje się również, że w pewnej restauracji wybuchła panika, ponieważ jakiś klient poczuł się niedobrze, zbladł, wstał i chwiejąc się na nogach skierował ku wyjściu.

Około drugiej miasto pustoszeje powoli i jest to chwila, kiedy cisza, kurz, słońce i dzuma spotykają się na ulicy. Wzdłuż wielkich szarych domów żar płynie nieustannie. Są to długie uwięzione godziny, które kończą się płonącym wieczorem, spadającym na tłumne i rozgadane miasto. Podczas pierwszych dni upału, nie wiadomo dlaczego, wieczorami było niekiedy pusto. Ale teraz pierwsza świeżość przynosi odprężenie, jeśli nie nadzieję. Wszyscy wychodzą wtedy na ulice, zagłuszają się rozmowami, kłócą się albo pożądamy, i pod czerwonym niebem lipca miasto, ciężkie od miłosnych par i krzyku, odpływa ku dyszącej nocy. Na próżno co wieczór na bulwarach natchniony starzec w kapeluszu i fantazyjnym krawacie idzie przez tłum, powtarzając bez wytchnienia: «Bóg jest wielki, przyjdźcie do Niego», wszyscy, na odwrót, spieszą ku czemuś, co znają źle i co wydaje im się bardziej naglące niż Bóg. Na początku, kiedy wierzyli, że jest to choroba jak wszystkie inne, religia była na swoim miejscu. Ale kiedy zobaczyli, że to rzecz poważna, przypomnieli sobie o rozkoszy. Wszelka obawa, która w ciągu dnia maluje się na twarzach, w gorącym i zakurzonym zmierzchu zamienia się w dzikie podniecenie, w niezdarną wolność, która rozplómiła cały lud. I ja także jestem jak oni. Ale cóż! Śmierć jest niczym dla ludzi takich jak ja. Przyznaje im słusność".

To Tarrou poprosił Rieux o spotkanie, o którym mówi w swoich notatkach. Tego wieczoru, czekając na niego, doktor patrzył na matkę siedzącą spokojnie na krześle w kącie jadalni. Tutaj spędzała czas, kiedy skończyła się już krzątania domowa. Złożywszy ręce na kolanach, czekała. Rieux nie był nawet pewien, czy to na niego czekała. Jednakże coś zmieniało się w twarzy jego matki, gdy się zjawiał. Wszystko, co pracowite życie pozostawiło w niej niemego, ożywiało się wówczas. Potem zapadała w ciszę. Tego wieczoru patrzyła przez okno na pustą teraz ulicę. Oświetlenie nocne zmniejszono o dwie trzecie. Tu i ówdzie palące się słabo latarnie rzucały trochę blasku w ciemność miasta.

— Czy oświetlenie będzie ograniczone przez cały czas trwania dżumy? — spytała pani Rieux.

— Prawdopodobnie.

— Byle tylko nie zimą. Wtedy byłoby smutno.

— Tak — rzekł Rieux.

Zauważył, że spojrzenie matki spoczęło na jego czole. Wiedział, że niepokój i przepracowanie ostatnich dni porżyły mu twarz.

— Niedobry dzień był dzisiaj? — zapytała pani Rieux.

— Cóż, taki sam jak zazwyczaj.

Jak zazwyczaj! To znaczy, że nowe serum przysłane z Paryża wydawało się mniej skuteczne niż poprzednie i że statystyki poszły w górę. Najczęściej zapobiegawcze szczepienia z serum można było zrobić tylko rodzinom dotkniętym już chorobą. Trzeba by ogromnej produkcji, żeby upowszechnić zastosowanie serum. Dymienice nie otwierały się przy nakłuciu, jak gdyby nadszedł czas ich twardnienia, i torturowały chorych. Poprzedniego dnia zanotowano w mieście dwa wypadki nowej formy epidemii. Była to dżuma płucna. Tego samego dnia odbyło się zebranie, w czasie którego umęczeni lekarze zmusili zdezorientowanego prefekta do zastosowania nowych środków, by uniknąć zarażenia z ust do ust w przypadkach dżumy płucnej. Jak zwykle nic nie wiadziiano.

Popatrzył na matkę. Jej piękne brązowe spojrzenie cofnęło go ku latom czułości.

— Czy boisz się, matko?

— W moim wieku nie zna się wielkich obaw.

— Dni są długie i nigdy mnie tu nie ma.

— Nic mi to nie przeszkadza, że na ciebie czekam, skoro wiem, że przyjdiesz. A kiedy cię nie ma, myślę o tym, co robisz. Czy masz wiadomości?

— Tak, wszystko dobrze, jeśli wierzyć ostatniemu telegramowi. Ale wiem, że ona tak mówi, żeby mnie uspokoić.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach. Doktor uśmiechnął się do matki i poszedł otworzyć. W półmroku klatki schodowej Tarrou wyglądał jak wielki, szaro ubrany niedźwiedź. Rieux poprosił gościa, by usiadł przy biurku. Sam stanął za swoim fotelem. Byli rozdzieleni jedyną palącą się w pokoju lampą, która stała na biurku.

— Wiem — powiedział Tarrou bez wstępów — że mogę mówić z panem wprost.

Rieux zgodził się w milczeniu.

— Za dwa tygodnie czy za miesiąc nie przyda się pan już na nic, wypadki wezmą górę nad panem.

— To prawda — rzekł Rieux.

— Organizacja służby sanitarnej jest kiepska. Brak panu ludzi i czasu.

Rieux znowu przyznał, że to prawda.

— Dowiedziałem się, że prefektura zamierza stworzyć coś w rodzaju służby cywilnej, by ludzie zdrowi wzięli udział w ratowaniu miasta.

— Pan jest dobrze poinformowany. Ale niezadowolenie jest wielkie i prefekt waha się.

— Dlaczego nie pomyśli się o ochotnikach?

— Zrobiono to już, ale z niewielkim skutkiem.

— Tak, drogą oficjalną i nie bardzo wierząc w rezultaty. Tym ludziom brak wyobraźni. Nigdy nie są na wysokości zarazy, środki zaś, jakie wymyślają, są zaledwie na miarę kataru. Jeśli pozwolimy im działać, zginą, a my wraz z nimi.

— Prawdopodobnie — rzekł Rieux. — Muszę jednak powiedzieć, że pomyśleli również o więźniach, jeśli idzie o to, co nazwałbym czarną robotą.

— Wolałbym, żeby to byli wolni ludzie.

— Ja również. Ale właściwie dlaczego?

— Mam wstręt do wyroków śmierci.

Rieux spojrzał na Tarrou.

— A więc? — powiedział.

— A więc mam plan organizacji ochotniczych oddziałów sanitarnych. Niech mnie pan upoważni, bym mógł się tym zająć, i zostawmy administrację na boku. Zresztą są i tak przeciążeni. Mam wszędzie trochę przyjaciół i od nich zaczniemy. Rzecz prosta, że sam wezmę w tym udział.

— Nie wątpi pan oczywiście, że zgadzam się z radością — powiedział Rieux. — Trzeba pomocy zwłaszcza w naszym zawodzie. Postaram się uzyskać zgodę prefektury. Zresztą, oni nie mają wyboru. Ale...

Rieux się zamyślił.

— Ale ta praca może skończyć się śmiercią, pan wie o tym dobrze. W każdym razie muszę pana uprzedzić. Czy pan się dobrze zastanowił?

Tarrou patrzył na niego szarymi i spokojnymi oczami.

— Co pan myśli o kazaniu Paneloux, doktorze?

Pytanie było postawione w sposób naturalny i Rieux odpowiedział na nie tak samo:

— Zbyt długo przebywałem w szpitalach, by sympatyzować z ideą kolektywnej kary. Ale pan wie, że chrześcijanie czasem tak mówią, myśląc inaczej. Są lepsi, niż się wydają.

— Jednak uważa pan, jak Paneloux, że dżuma ma swoje dobre strony, że otwiera oczy, że zmusza do myślenia.

Doktor skinął niecierpliwie głową.

— Jak wszystkie choroby na tym świecie. Ale to, co odnosi się do wszelkiego zła na tym świecie, odnosi się również do dżumy. Pozwala urosnąć niektórym. Kiedy się jednak widzi biedę i cierpienie, jakie przynosi, trzeba być szaleńcem, ślepcem lub łajdakiem, żeby się na nią zgodzić.

Rieux ledwie dostrzegalnie podniósł głos. Ale Tarrou zrobił ruch ręką, jakby po to, żeby go uspokoić. Uśmiechnął się.

— Tak — powiedział Rieux, wzruszając ramionami. — Ale pan mi nie odpowiedział. Czy pan się zastanowił?

Tarrou usiadł wygodniej w fotelu i zwrócił głowę w stronę światła.

— Czy pan wierzy w Boga, doktorze?

Pytanie znów było postawione w sposób naturalny. Tym razem jednak Rieux się zawahał.

— Nie, ale cóż to znaczy? Jestem w ciemności i próbuję widzieć jasno. Już od dawna przestałem to uważać za oryginalne.

— Czy nie to dzieli pana od Paneloux?

— Nie sądzę. Paneloux jest człowiekiem nauki. Nie dość napatrzył się śmierci i dlatego mówi w imieniu jakiejś prawdy. Ale najskromniejszy ksiądz wiejski, który zajmuje się swoimi parafianami i słyszał oddech umierającego, myśli jak ja. Będzie próbował leczyć z nieszczęścia, zanim zechce wykazać jego doskonałość.

Rieux wstał, jego twarz była teraz w cieniu.

— Zostawmy to — rzekł — skoro pan nie chce odpowiedzieć.

Tarrou uśmiechnął się, nie ruszając się z fotela.

— Czy mogę odpowiedzieć pytaniem?

Doktor uśmiechnął się z kolei.

— Lubi pan tajemniczość — rzekł. — Proszę.

— A więc — powiedział Tarrou — dlaczego okazuje pan tyle poświęcenia, jeśli nie wierzy pan w Boga? Może dzięki pańskiej odpowiedzi sam potrafię odpowiedzieć.

Nie wychodząc z cienia doktor odparł, że dał już odpowiedź: gdyby wierzył we wszechmogącego Boga, przestałby leczyć ludzi, zostawiając Bogu tę troskę. Ale ponieważ nikt na świecie, nawet Paneloux, choć sądzi, że w Boga wierzy, nie wierzy w niego w taki

sposób, ponieważ nikt nie poddaje się całkowicie, on, Rieux, myśli, że tu przynajmniej jest na drodze prawdy, skoro walczy przeciw światu takiemu, jaki jest.

— Ach — powiedział Tarrou — więc jest pan lekarzem dla idei?

— Mniej więcej — odparł doktor, powracając do światła.

Tarrou gwizdnął cicho i doktor spojrzął na niego.

— Tak — rzekł — pan sobie powiada, że trzeba do tego pychy. Ale mam tylko tyle pychy, ile jest konieczne, niech mi pan wierzy. Nie wiem, co mnie czeka i co nastąpi po tym wszystkim. Na razie są chorzy i trzeba ich leczyć. Potem oni zastanowią się i ja także. Ale najpilniejszą sprawą jest ich leczyć. Bronię ich, jak mogę, oto wszystko.

— Przed czym?

Rieux odwrócił się ku oknu. Ciemna gęstość horyzontu pozwalała odgadnąć w dali morze. Czuł jedynie zmęczenie i walczył jednocześnie z nagłym i nierozsądnym pragnieniem, by zwierzyć się trochę temu szczególnemu człowiekowi, który wydawał mu się przecież tak bliski.

— Nie wiem, przysięgam panu, że nie wiem. Kiedy wybrałem ten zawód, był to wybór w pewien sposób abstrakcyjny; bo chciałem być lekarzem, bo jest to zawód jak każdy inny, jeden z tych, który wybierają młodzi ludzie. Może także dlatego, że nastęczał szczególnych trudności dla syna robotnika jak ja. A potem zobaczyłem, jak się umiera. Czy pan wie, że są ludzie, którzy nie zgadzają się na śmierć? Czy słyszał pan kiedy kobietę krzyczącą "Nigdy!" w chwili śmierci? Ja słyszałem. I zrozumiałem wtedy, że nie będę mógł się do tego przyzwyczaić. Byłem wówczas młody i zdawało mi się, że moja niechęć godzi w porządek świata. Potem stałem się bardziej skromny. Po prostu nie jestem wciąż przyzwyczajony do widoku śmierci. Nie wiem nic więcej. Ale w końcu...

Rieux zamilkł i usiadł. Czuł suchość w ustach.

— Ale w końcu? — powiedział łagodnie Tarrou.

— W końcu... — podjął doktor i zawahał się jeszcze, patrząc na Tarrou z uwagą — jest to sprawa, którą człowiek taki jak pan potrafi zrozumieć; skoro jednak śmierć ustanawia porządek świata, może lepiej jest dla Boga, że nie wierzy się w niego i walczy ze wszystkich sił ze śmiercią, nie wznosząc oczu ku temu niebu, gdzie on milczy.

— Tak — potwierdził Tarrou — rozumiem. Ale pańskie zwycięstwa zawsze będą tymczasowe, tylko tyle.

Rieux jakby się zasepił.

— Zawsze, wiem o tym! Ale to nie powód, żeby zaniechać walki.

— Nie, to nie powód. Ale wyobrażam sobie teraz, czym ta dzuma jest dla pana.

— Tak — powiedział Rieux. — Nie kończąca się klęską.

Tarrou patrzył przez chwilę na doktora, potem wstał i ciężko ruszył ku drzwiom. Rieux poszedł za nim. Stał obok niego, kiedy Tarrou, patrząc na swoje nogi, powiedział:

— Kto pana tego wszystkiego nauczył, doktorze?

Odpowiedź padła natychmiast:

— Bieda.

Rieux otworzył drzwi gabinetu i w przedpokoju powiedział do Tarrou, że wybiera się do jednego ze swych chorych na przedmieściu. Tarrou zaproponował, że pójdzie z nim razem, i doktor się zgodził. Przy końcu korytarza spotkali panią Rieux, której doktor przedstawił Tarrou.

— Mój przyjaciel — rzekł.

— Jestem bardzo rada, że pana poznaję — powiedziała pani Rieux.

Kiedy wyszła, Tarrou odwrócił się jeszcze za nią.

Na podeście doktor na próżno próbował zapalić światło. Schody były pogrążone w mroku. Doktor zapytywał siebie, czy to wskutek nowych środków oszczędności. Ale nic nie było wiadomo. Od pewnego czasu wszystko psuło się w mieszkaniach i na mieście. Może po prostu dozorczy i nasi współobywatele w ogóle nie dbali już o nic. Ale doktor nie miał czasu zastanawiać się dłużej, gdyż głos Tarrou zabrzmiał za nim:

— Jeszcze jedno słowo, doktorze, nawet jeśli wyda się to panu dziwne: ma pan zupełną rację.

Rieux wzruszył ramionami w ciemności, do siebie samego.

— Doprawdy nie wiem. Ale co pan wie o tym?

— O — powiedział tamten spokojnie — niewiele mogę się jeszcze nauczyć.

Doktor przystanął i noga Tarrou ześliznęła się z tyłu ze stopnia schodów. Tarrou chwycił się ramienia Rieux.

— Czy sądzi pan, że poznał pan wszystko w życiu? — zapytał.

Odpowiedź w ciemności zabrzmiała tak samo spokojnie:

— Tak.

Kiedy znaleźli się na ulicy, zrozumieli, że jest dość późno, może godzina jedenasta. Miasto było nieme, zaludnione jedynie szelestami. Daleko rozległ się dzwonek ambulansu. Wsiedli do samochodu i Rieux zapuścił motor.



— Niech pan przyjdzie jutro do szpitala na zapobiegawcze szczepienie — powiedział. — Ale żeby z tym skończyć, zanim jeszcze wmieszal się pan w tę całą historię, niech pan sobie powie, że ma pan jedną szansę na trzy, by wyjść cało.

— Te obliczenia nie mają sensu, doktorze, wie pan o tym tak samo jak ja. Przed stu laty epidemia zabiła wszystkich mieszkańców w pewnym perskim mieście prócz człowieka, który mył trupy i który ani na chwilę nie zaprzestał swej pracy.

— To ta trzecia szansa, tylko tyle — rzekł Rieux głosem nagle bardziej głuchym. — Co prawda, dowiemy się dopiero wszystkiego.

Wjeżdżali teraz na przedmieście. Latarnie połyskiwały na pustych ulicach. Zatrzymali się. Stojąc przed samochodem, Rieux zapytał Tarrou, czy chce wejść, i tamten odparł, że tak. Odblask na niebie oświetlił ich twarze. Rieux roześmiał się nagle przyjaźnie.

— No więc — powiedział — co pana skłania do zajmowania się tym wszystkim?

— Nie wiem. Może moja postawa.

— To znaczy?

— Zrozumienie.

Tarrou odwrócił się w stronę domu i Rieux nie widział już jego twarzy aż do chwili, gdy znaleźli się u starego astmatyka.

Nazajutrz Tarrou wziął się do pracy i zebrał pierwszą grupę, za którą miało pójść wiele innych.

Jednakże nie jest intencją narratora przydawać tym formacjom sanitarnym więcej znaczenia, niż miały w istocie. Co prawda, wielu naszych współobywateli uległoby dziś pokusie, by wyolbrzymiać ich rolę. Ale narrator jest raczej skłonny wierzyć, że przypisując zbyt wielkie znaczenie pięknym czynom, składa się pośrednio hołd złu. Pozwala się bowiem wówczas przypuszczać, że piękne czyny mają tak wysoką cenę dlatego, że są rzadkie, gdy niegodziwość i obojętność bywają znacznie częściej motorami działań ludzkich. Jest to pogląd, którego nie podziela narrator. Zło na świecie płynie niemal zawsze z niewiedzy, dobra zaś wola może wyrządzić tyleż szkód co niegodziwość, jeśli nie jest oświecona. Ludzie są raczej dobrzy niż źli, i w gruncie rzeczy nie o to chodzi. Ale nie wiedzą w mniejszym lub w większym stopniu; jeśli zaś mowa o tym, co nazywa się cnotą lub występkiem, najbardziej rozpaczliwym występkiem jest niewiedza, która mniema, że wie wszystko, i czuje się wówczas upoważniona do zabijania. Dusza

mordercy jest ślepa i bez największej jasności widzenia nie ma prawdziwej dobroci ani miłości.

Dlatego nasze formacje sanitarne, które powstały dzięki Tarrou, powinno się oceniać z obiektywną satysfakcją. Dlatego narrator nie będzie opiewał woli i bohaterstwa, które ceni w granicach rozsądku. Ale będzie nadal historykiem rozdartych i wymagających serc, jakimi dżuma obdarzyła wszystkich naszych współobywateli.

Ci, którzy weszli do formacji sanitarnych, nie mieli tak wielkiej zasługi, wiedzieli bowiem, że była to jedyna rzecz do zrobienia: nie wejść do nich to dopiero byłoby niewiarygodne. Te formacje pomagały naszym obywatelom poznać lepiej dżumę i przekonywały ich częściowo, że jeśli choroba jest faktem, trzeba zrobić, co trzeba, by z nią walczyć. Ponieważ dżuma stała się w ten sposób obowiązkiem pewnych ludzi, ukazywała się w swej prawdziwej postaci, to znaczy jako sprawa wszystkich.

To jest w porządku. Ale nie gratuluje się nauczycielowi, jeśli uczy, że dwa i dwa to cztery. Można by mu pogratulować może, że wybrał ten piękny zawód. Powiedzmy więc, iż godny pochwały był wybór, jakiego dokonali Tarrou i inni wykazując, że dwa i dwa to cztery, i że nie chcieli wykazać czegoś odwrotnego, ale powiedzmy również, że ta dobra wola jest wspólna im, nauczycielowi i tym wszystkim, którzy mają tyleż odwagi co nauczyciel i którzy, ku chwale człowieka, są liczniejsi, niż się przypuszcza; takie jest przynajmniej przekonanie narratora. Narrator widzi zresztą doskonale zarzut, jaki można mu postawić, a mianowicie, że ci ludzie narażali swoje życie. Ale zawsze nadchodzi godzina w historii, kiedy ten, co ośmiela się powiedzieć, że dwa i dwa to cztery, jest karany śmiercią. Nauczyciel wie o tym dobrze. I rzecz nie w tym, żeby wiedzieć, jaka nagroda lub kara czeka go za takie rozumowanie. Rzecz w tym, by wiedzieć, czy dwa i dwa to cztery: tak lub nie. Ci nasi współobywatele, którzy narażali swoje życie, musieli rozstrzygnąć, czy mają wokół siebie dżumę i czy należy walczyć przeciw niej: tak lub nie.

Wielu nowych moralistów w naszym mieście twierdziło wówczas, że nic tu nie pomoże i że trzeba paść na kolana. Tarrou, Rieux i ich przyjaciele mogli powiedzieć lub owo, ale wniosek był zawsze jeden: trzeba walczyć w taki czy inny sposób i nie padać na kolana. Cała rzecz polegała na tym, by nie pozwolić umrzeć i zaznać ostatecznej rozłąki możliwie wielkiej liczbie ludzi, a jedynym środkiem była walka z dżumą. Nie jest to prawda godna podziwu, lecz prawda logiczna.

Dlatego jest naturalne, że stary doktor Castel całą swą ufność i energię włożył w przygotowanie surowicy na miejscu, z materiału, jaki miał pod ręką. Rieux i on mieli nadzieję, że surowica z hodowli mikroba, który napastował miasto, będzie miała bardziej bezpośrednie działanie niż surowica przywożona z zewnątrz, skoro mikrobia różnił się nieco od bakcyli dżumy znanego z klasycznych opisów. Castel spodziewał się, że szybko uda mu się wyprodukować pierwszą surowicę.

Dlatego jest rzeczą równie naturalną, że Grand, który nie miał w sobie nic z bohatera, był teraz czymś w rodzaju sekretarza formacji sanitarnych. Część drużyn zorganizowanych przez Tarrou zajęta była pracami zapobiegawczymi w przeludnionych dzielnicach. Próbowano tu wprowadzić konieczną higienę, obliczano ilość nie zdezynfekowanych strychów i piwnic. Inna część drużyn towarzyszyła lekarzom w wizytach domowych, troszczyła się o transport zadżumionych, a nawet, w braku specjalnego personelu, przewoziła chorych i zmarłych. Wszystko to wymagało rejestracji i statystyk, które prowadził Grand.

Z tego punktu widzenia narrator uważa, że Grand bardziej niż Rieux i Tarrou ucieleśniał milczącą cnotę ożywiającą formacje sanitarne. Powiedział "tak" bez wahania, z właściwą sobie dobrą wolą. Poprosił tylko, żeby zlecono mu niewielkie zadania. Był zbyt stary do innych. Mógł ofiarować swój czas od osiemnastej do dwudziestej. Zdumiał się, kiedy Rieux dziękował mu gorąco: "To nie jest najtrudniejsze. Mamy dżumę, trzeba się bronić, to jasne. Ach, gdyby wszystko było tak proste!" I wracał do swego zdania. Czasami wieczorem, kiedy kartki rejestracyjne były już wypełnione, Rieux rozmawiał z Grandem. Potem Tarrou przyłączył się do tych rozmów i Grand, z coraz bardziej widoczną przyjemnością, zwierzał się swoim dwóm towarzyszom. Tamci śledzili z zainteresowaniem cierpliwą pracę, której Grand nie przerywał wśród dżumy. W końcu i oni znajdowali w niej odprężenie.

"Jak miewa się amazonka?" — pytał często Tarrou. I Grand uśmiechając się z wysiłkiem odpowiadał niezmiennie: "Kłusuje, kłusuje". Pewnego wieczora Grand powiedział, że ostatecznie rozstał się z przymiotnikiem "wytworna" i że odtąd będzie nazywał amazonkę "smukłą". "To bardziej konkretne" — dodał. Innym razem przeczytał swoim dwóm słuchaczom zdanie w takiej postaci: "W piękny ranek majowy smukła amazonka, siedząc na wspaniałej kasztance, jechała kwitnącymi alejami Lasku Bulońskiego".

— Prawda — powiedział Grand — że tak widać ją lepiej, i wolę "ranek majowy", ponieważ "poranek majowy" wydłuża nieco kłus.

Następnie pochłonął go przymiotnik "wspaniała". Sądził, że nie jest dosyć wymowny, i szukał słowa określającego lepiej pyszną klacz, którą sobie wyobrażał. "Tłusta" nie pasowało, przymiotnik był konkretny, ale nieco pogardliwy. "Lśniąca" kusilo go przez chwilę, ale nie godziło się z rytmem. Pewnego wieczoru oznajmił triumfalnie, że znalazł. "Czarna kasztanka". Uważał, że czerń dyskretnie mówi o elegancji.

— To niemożliwe — powiedział Rieux.

— Dlaczego?

— Kasztanka to nie rasa konia, ale kolor.

— Jaki kolor?

— W każdym razie nie czarny.

Grand był bardzo wzruszony.

— Dziękuję — powiedział — na szczęście jest pan blisko. Ale pan widzi, jakie to trudne.

— Co myśli pan o "okazałej"? — zapytał Tarrou.

Grand spojrział na niego. Zastanawiał się.

— Tak — powiedział — tak. I uśmiech wracał mu powoli.

Po pewnym czasie wyznał, że ma kłopot ze słowem "kwitnące". Ponieważ znał tylko Oran i Montelimar, prosił czasem przyjaciół, by opowiedzieli mu, jak wyglądają kwitnące aleje Lasku. Prawdę mówiąc, te aleje nigdy nie wydawały się kwitnące Rieux i Tarrou, ale czuli się zachwiani przekonaniem urzędnika. Dziwił się ich niepewności: "Tylko artyści umieją patrzeć". Ale kiedyś doktor zastał go bardzo podnieconego. Zamiast "kwitnące" dał "pełne kwiatów". Zacierał ręce. "Nareszcie widać te aleje, czuje się je. Kapelusze z głów, panowie!" Przeczytał triumfalnie zdanie: "W piękny ranek majowy smukła amazonka, siedząc na okazałej kasztance, jechała pełnymi kwiatów alejami Lasku Bulońskiego". Ale gdy przeczytał zdanie głośno, zakończenie zabrzmiało mu zbyt ciężko i Grand się zająknął. Usiadł z przygnębioną miną. Potem zapytał doktora, czy może pójść. Musiał się trochę zastanowić.

Dowiedziano się później, że w tym właśnie czasie zachowywał się w biurze z roztargnieniem, które uznano za godne pożałowania, zwłaszcza teraz, kiedy merostwo, mając zmniejszony personel, musiało stawić czoło przytłaczającym zadaniom. Jego praca ucierpiała na tym i szef biura zwrócił urzędnikowi surowo uwagę, przypominając,

że płaci mu się za pracę, której właśnie nie wypełnia. "Podobno — powiedział szef biura — zaciągnął się pan dobrowolnie do formacji sanitarnych. To mnie nie obchodzi. Obchodzi mnie natomiast pańska praca. Jeśli chce pan być pożyteczny w tej strasznej sytuacji, musi pan dobrze pracować. W przeciwnym razie reszta nie przyda się na nic."

— Ma rację — powiedział Grand do Rieux.

— Tak, ma rację — zgodził się doktor.

— Ale jestem roztargniony i nie wiem, jak poradzić sobie z zakończeniem mego zdania.

Myślał o tym, żeby wyrzucić "Buloński", sądząc, że i tak każdy zrozumie. Ale wówczas równowaga zdania była zachwiana. Rozważył też możliwość napisania: "Aleje Lasku pełne kwiatów". Ale "Lasek" sterczący w środku był dla niego niby cierń w ciele. Doprawdy, że w pewne wieczory wydawał się bardziej zmęczony niż Rieux.

Tak, był zmęczony tym poszukiwaniem słów, które pochłaniało go bez reszty, ale niemniej robił nadal rachunki i statystyki potrzebne formacjom sanitarnym. Co wieczór cierpliwie doprowadzał kartki do porządku, sporządzał na nich wykresy i starał się, żeby wykazy były możliwie dokładne. Często też szedł do Rieux, do jednego ze szpitali, i prosił o stół w jakimś gabinecie czy izbie chorych. Rozkładał papiery równie starannie jak na swoim stole w merostwie, i w powietrzu, ciężkim od środków dezynfekcyjnych i choroby, poruszał kartkami, by szybciej wysechł atrament. Usiłował wówczas uczciwie nie myśleć o swojej amazonce i robić to tylko, co należało.

Tak, jeśli to prawda, że ludziom zależy na tym, by brać za przykład i wzór tych, których nazywają bohaterami, i jeśli trzeba koniecznie, by jakiś bohater znalazł się w tym opowiadaniu, narrator proponuje właśnie tego nieefektownego i skromnego bohatera, który miał tylko dobre serce i pozornie śmieszny ideał. W ten sposób prawda otrzyma to, co jej się należy, rachunek dwa plus dwa swoją sumę cztery, a bohaterstwo miejsce drugorzędne, które jest jego miejscem tuż po, ale nigdy przed wielkodusznym żądaniem szczęścia. Nada to również tej kronice właściwy charakter, to znaczy sprawozdania napisanego z życzliwymi uczuciami, a więc z uczuciami, które nie są ani ostentacyjnie niedobre, ani egzaltowane na pokaz.

Takie było przynajmniej zdanie doktora Rieux, kiedy czytał w gazetach lub słyszał przez radio wołania i słowa otuchy, które świat przekazywał zadżumionemu miastu. Razem z pomocą przysyланą powietrzem i lądem, co wieczór, litujące się czy pełne podziwu komentarze radia lub prasy spadały na samotne miasto. I za każdym razem ton

epicki czy pochwalny niecierpliwił doktora. Wiedział na pewno, że nie była to troskliwość udawana. Ale mogła się wyrazić jedynie w konwencjonalnym języku, jakim ludzie starają się mówić o swoich związkach z ludzkością. Ten język nie mówił nic o codziennych wysiłkach Granda na przykład, nie potrafił bowiem wyrazić, co znaczył Grand wśród dżumy.

Czasem o północy, w wielkiej ciszy pustego miasta, gdy doktor kładł się do łóżka, by zasnąć snem zbyt krótkim, obracał gałkę radia. Z zakątków świata nieznane braterskie głosy, odległe o tysiące kilometrów, próbowały niezręcznie wyrazić swoją solidarność i wyrażały ją w istocie, okazując jednak zarazem straszliwą niemoc, w jakiej znajduje się każdy człowiek, jeśli chce dzielić naprawdę cierpienie, którego nie może widzieć: "Oran! Oran!" Na próżno wołanie przebiegało morza, na próżno Rieux czekał w pogotowiu, wymowne słowa pogłębiały jeszcze zasadniczą różnicę czyniącą z Granda i mówcy obcych sobie ludzi. "Oran! Tak, Oran!" "Ale nie — myślał doktor — kochać albo umierać razem, nie ma innego sposobu. Oni są zbyt daleko".

Ale zanim przejdziemy do szczytowego punktu dżumy, kiedy zaraza gromadziła wszystkie swe siły, by rzucić je na miasto i zapanować nad nim ostatecznie, trzeba jeszcze opisać długotrwałe, rozpaczliwe i monotonne wysiłki nielicznych jednostek, jak Ramberta na przykład, zmierzających do odnalezienia swego szczęścia i odebrania dżumie tej części siebie samych, której bronili przed wszelką napaścią. Był to ich sposób niezgadzania się na grożącą niewolę i choć na pozór nie zdawał się tak skuteczny jak inny, narrator uważa, że miał swój sens i nawet w swej pysze i sprzecznościach świadczył o godności każdego z nas.

Rambert walczył, nie chcąc dopuścić, by dżuma wzięła nad nim górę. Upewniwszy się, że legalnym sposobem nie wyjdzie z miasta, postanowił spróbować innych, jak to powiedział doktorowi Rieux. Dziennikarz zaczął od kelnerów z kawiarni. Kelner wie wszystko. Ale pierwsi, do których się zwrócił, wiedzieli przede wszystkim o ciężkich karach grożących za takie przedsięwzięcia. Raz nawet wzięto go za prowokatora. Dopiero spotkawszy u Rieux Cottarda, dziennikarz ruszył z martwego punktu. Tego dnia rozmawiał z doktorem o daremnych krokach w urzędach. W kilka dni potem Cottard spotkał Ramberta na ulicy i powitał go z naturalnością, jaką okazywał teraz wszystkim.

— Wciąż nic? — spytał.

— Nic.

— Nie można liczyć na biura. Nie po to są, żeby rozumieć.

— To prawda. Ale szukam czego innego. To trudne.

— Ach — rzekł Cottard — już wiem.

Znał drogę i wytłumaczył zdumionemu Rambertowi, że od dawna bywa we wszystkich kawiarniach Oranu, że ma przyjaciół i wie o istnieniu pewnej organizacji, która zajmuje się sprawami tego rodzaju. Rzecz w tym, że Cottard, którego wydatki od pewnego czasu przewyższały dochody, zajął się kontrabandą produktów podlegających ograniczeniom. Odprzedawał więc papierosy i kiepski alkohol, którego ceny wciąż szły w górę, co przyniosło mu małą fortunę.

— Czy jest pan tego pewien? — zapytał Rambert.

— Tak, skoro mi proponowano.

— I pan nie skorzystał?

— Niech pan nie będzie nieufny — powiedział Cottard z dobroduszną miną — nie skorzystałem, ponieważ nie mam ochoty wyjechać. Mam swoje powody.

Dodał po chwili milczenia:

— Pan mnie nie pyta, jakie są te powody?

— Przypuszczam — rzekł Rambert — że to nie moja rzecz.

— W pewnym sensie to rzeczywiście nie pańska rzecz. Ale w innym... Tak czy inaczej, jedno jest pewne: czuję się tu znacznie lepiej, odkąd dzuma jest z nami.

Tamten przeciął wywód.

— Jak porozumieć się z tą organizacją?

— O — rzekł Cottard — to nie jest łatwe, ale niech pan pójdzie ze mną.

Była czwarta po południu. Pod ciężkim niebem miasto piekło się powoli. Rolety we wszystkich witrynach były opuszczone. Jezdnie puste. Cottard i Rambert skręcili w ulicę z arkadami i szli długo bez słowa. Była to jedna z tych godzin, kiedy dzuma stawała się niewidoczna. Ta cisza, ta śmierć barw i ruchów mogła być równie dobrze ciszą i śmiercią lata jak zarazy. Nie wiadomo, czy powietrze było ciężkie od gróźb, czy od kurzu i spiekoty. Trzeba by obserwacji i namysłu, żeby dotrzeć do dżumy. Zdradzała się bowiem tylko znakami negatywnymi. Spoufalcony z nią Cottard zwrócił na przykład uwagę Ramberta na nieobecność psów, które leżą zazwyczaj zziębnięte na progu sieni, szukając nieosiągalnej ochłody.

Skręcili na bulwar des Palmiers, przecięli plac d'Armes i zeszli ku dzielnicy de la Marine. Z lewej strony pomalowana na zielono kawiarnia chroniła się pod ukośną

markizą z grubego żółtego płótna. Wchodząc, Rambert i Cottard otarli czoła. Zajęli miejsca na składanych krzesłach ogrodowych przy stołach z zielonej blachy. Sala była całkowicie pusta. Muchy brzęczały w powietrzu. W żółtej klatce, stojącej na koślawym kontuarze, papuga z opuszczonymi piórami tkwiła na swojej żerdce. Stare obrazy przedstawiające sceny wojskowe, pokryte brudem i pajęczyną, wisiały na ścianach. Na wszystkich blaszanych stołach, także na stole Ramberta, schły kurze kupki, których pochodzenia nie umiał sobie wytłumaczyć, aż do chwili kiedy rozległ się hałas i z ciemnego kąta wyszedł podskakując wspaniały kogut.

W tej chwili zdawało się, że upał wzmógł się jeszcze. Cottard zdjął marynarkę i uderzył w blachę stołu. Mały człowiek, zagubiony w długim niebieskim fartuchu, wyszedł z głębi, przywitał Cottarda z daleka, zaledwie go ujrzał, zbliżył się, odsuwając koguta tęgim kopnięciem, i wśród wrzasku skrzydlatego ptaka zapytał, czego panowie sobie życzą. Cottard zamówił białe wino i zapytał o niejakiego Garcie. Według słów karzelka nie widziano go już od kilku dni w kawiarni.

— Czy myśli pan, że zjawi się dziś wieczór?

— Phi — odparł tamten — nie siedzę w jego skórze. Pan zna jego godziny?

— Tak, ale nie o to chodzi. Chcę tylko przedstawić mu przyjaciela.

Kelner wycierał wilgotne ręce o fartuch.

— O, ten pan również zajmuje się interesami?

— Tak — odparł Cottard.

Kelner sapnął:

— W takim razie proszę przyjść wieczorem. Poślę po niego chłopca.

Wychodząc Rambert zapytał, o jakie interesy chodzi.

— O kontrabandę, rzecz prosta. Przewożą towar przez bramy miasta. Sprzedają po wysokich cenach.

— Tak — rzekł Rambert. — Mają wspólników?

— Właśnie.

Wieczorem stora była podniesiona, papuga gadała w klatce, a wokół blaszanych stołów siedzieli mężczyźni bez marynarek. Jeden z nich, w słomkowym kapeluszu zsuniętym do tyłu, w białej koszuli otwartej na piersi koloru palonej glinki, wstał na widok Cottarda. Twarz miał regularną i ogorzałą, małe i czarne oczy, białe zęby, kilka pierścionków na palcach; wyglądał na jakie trzydzieści lat.

— Cześć! — powiedział. — Wypijemy przy kontuarze.



Wypili trzy kolejki w milczeniu.

— Może by wyjść? — rzekł Garcia.

Zeszli w stronę portu i Garcia zapytał, czego chcą od niego. Cottard powiedział, że chce mu przedstawić Ramberta, nie chodzi jednak o interesy, ale o to, co nazywał "wyjściem". Garcia szedł prosto przed siebie, paląc papierosa. Zadawał pytania i mówił "on" o Rambercie, nie dostrzegając jak gdyby jego obecności.

— Po co? — zapytał.

— Ma żonę we Francji.

— A!

I po chwili:

— Jaki jest jego zawód?

— Dziennikarz.

— W tym zawodzie dużo się gada.

Rambert milczał.

— To przyjaciel — rzekł Cottard.

Szli dalej w milczeniu. Byli teraz na bulwarach nadbrzeżnych, do których dostępu broniły wielkie kraty. Skierowali się jednak ku małemu szynckowi, gdzie sprzedawano smażone sardynki; ich zapach dobiegał aż do nich.

— W każdym razie to nie moja sprawa, ale Raoula — odrzekł Garcia. — Muszę go znaleźć. To nie będzie łatwe.

— Ach — zapytał Cottard z ożywieniem — Raoul się ukrywa?

Garcia nie odpowiedział. Przy szyncku zatrzymał się i zwrócił do Ramberta po raz pierwszy:

— Pojutrze, o jedenastej, przy Urzędzie Celnym w górze miasta.

Zdawało się, że chce odejść, ale odwrócił się ku dwóm mężczyznom:

— To będzie kosztowało — powiedział.

Było to stwierdzenie.

— Oczywiście — zgodził się Rambert.

Po chwili dziennikarz dziękował Cottardowi.

— Cóż znowu — rzekł tamten jowialnie. — Miło mi oddać panu przysługę. Zresztą pan jest dziennikarzem, odwzajemni pan mi się kiedyś.

Oznaczonego dnia Rambert i Cottard wspinali się, wielkimi ulicami bez cienia, prowadzącymi w górę naszego miasta. Część budynków celnych zamieniono na izby chorych i przed wielką bramą wystawali ludzie, spodziewając się, że uzyskają zgodę na wizytę, na co nie można było zezwolić, lub oczekując nowin, które z godziny na godzinę stawały się przedawnione. W każdym razie ludzie się tu zbierali, przychodzili i odchodzili, i można było przypuszczać, że Garcia wziął to pod uwagę, ustalając spotkanie z Rambertem.

— Ten upór, żeby wyjechać — powiedział Cottard. — Ciekawe. W gruncie rzeczy to, co się dzieje, jest bardzo interesujące.

— Nie dla mnie — odparł Rambert.

— Oczywiście, coś się ryzykuje. Ale w końcu ryzykowało się tyle samo przed dżumą, przechodząc przez ruchliwe skrzyżowanie ulic.

W tej samej chwili samochód Rieux zatrzymał się przy nich. Prowadził Tarrou, zdawało się, że Rieux na wpół śpi. Ocknął się, by dokonać prezentacji.

— My się znamy — rzekł Tarrou — mieszkamy w tym samym hotelu.

Zaproponował Rambertowi, że zawiezie go do miasta.

— Nie, jesteśmy tu umówieni.

Rieux spojrział na Ramberta.

— Tak — powiedział Rambert.

— O — zdumiał się Cottard — doktor wie, o co chodzi?

— Idzie sędzia śledczy — uprzedził Tarrou, patrząc na Cottarda.

Cottard zmienił się na twarzy. Pan Othon schodził rzeczywiście ulicą i zbliżał się do nich żwawym, lecz spokojnym krokiem. Zdjął kapelusz, mijając małą grupę.

— Dzień dobry, panie sędzio! — powiedział Tarrou.

Sędzia odpowiedział "dzień dobry" siedzącym w aucie i patrząc na Cottarda i Ramberta, którzy zostali z tyłu, pozdrowił ich poważnym skinieniem głowy. Tarrou przedstawił mu rentiera i dziennikarza. Sędzia spoglądał przez sekundę w niebo, westchnął i powiedział, że to bardzo smutny okres.

— Słyszałem — zwrócił się do Tarrou — że zajmuje się pan stosowaniem środków profilaktycznych. Pochwalam to w najwyższym stopniu. Czy myśli pan, doktorze, że choroba się rozszerzy?

Rieux powiedział, iż należy mieć nadzieję, że nie, i sędzia powtórzył, iż należy zawsze mieć nadzieję, zamiary Opatrzności są nieprzeniknione. Tarrou zapytał sędziego, czy wypadki przysporzyły mu pracy.

— Przeciwnie, spraw z zakresu przestępstw pospolitych, jak je nazywamy, jest coraz mniej. Zajmuję się teraz jedynie poważnymi wykroczeniami, naruszającymi nowe zarządzenia. Nigdy tak bardzo nie szanowano starych praw.

— To dlatego — rzekł Tarrou — że przez porównanie wydają się siłą rzeczy dobre.

Sędzia dał spokój zamyślanej minie i spojrzenie jego nie było już zawieszona w niebie. Chłodno popatrzył na Tarrou.

— Cóż to znaczy? — powiedział. — Nie prawo się liczy, liczy się wyrok. Nie możemy nic na to poradzić.

— To wróg numer jeden — rzekł Cottard, gdy sędzia się oddalił.

Auto ruszyło z miejsca.

W chwilę potem Rambert i Cottard ujrzeli Garcie. Zbliżał się ku nim nie dając znaku i rzekł zamiast powitania: "Trzeba czekać".

Tłum wokół nich, w którym przeważały kobiety, czekał w zupełnej ciszy. Niemal wszystkie przyniosły koszyki w złudnej nadziei, że będą mogły przekazać je chorym krewnym, i żywiąc jeszcze bardziej szaleńczą myśl, że ci chorzy skosztują jedzenia. Bramy strzegli uzbrojeni żołnierze; od czasu do czasu dziwaczny krzyk rozlegał się na dziedzińcu dzielącym koszary od bramy. Zebrani zwracali wówczas niespokojne twarze w stronę izby chorych.

Trzej mężczyźni przyglądali się temu widowisku, kiedy powiedziane za ich plecami wyraźne i poważne "dzień dobry" kazało im się odwrócić. Mimo upału Raoul był ubrany nienagannie. Wielki i silny, miał na sobie ciemny garnitur w prążki i filcowy kapelusz z podwiniętym rondem. Twarz dość blada, oczy brązowe, zaciśnięte usta; mówił szybko i zwięźle.

— Zejdźmy w stronę miasta — powiedział. — Garcia, możesz nas zostawić.

Garcia zapalił papierosa i został na miejscu. Szli szybko, dostosowując swój krok do kroku Raoula, który znajdował się pomiędzy nimi.

— Garcia powiedział mi, o co chodzi. To da się zrobić. W każdym razie to będzie pana kosztowało dziesięć tysięcy franków.

Rambert odparł, że się zgadza.

— Niech pan jutro zje ze mną obiad w restauracji hiszpańskiej, dzielnica de la Marine.

Rambert przystał i Raoul uściśnął mu rękę, uśmiechając się po raz pierwszy. Po jego odejściu Cottard przeprosił dziennikarza, że nie ma jutro czasu, zresztą nie będzie mu już potrzebny.

Kiedy nazajutrz dziennikarz wszedł do hiszpańskiej restauracji, wszystkie głowy obróciły się w jego stronę. W tej mrocznej piwnicy, znajdującej się w dole żółtej uliczki wysuszonej przez słońce, bywali tylko mężczyźni, przeważnie w typie hiszpańskim. Ale kiedy Raoul, siedzący przy stole w głębi sali, skinął w stronę Ramberta i dziennikarz skierował się ku niemu, zaciekawienie znikło z twarzy, które powróciły do swych talerzy. Przy stole Raoula siedział wielki, chudy i źle ogolony facet o nieproporcjonalnie szerokich ramionach, końskiej twarzy i rzadkich włosach. Jego długie, szczupłe ręce, pokryte czarnym włosiem, wystawały z koszuli o podwiniętych rękawach. Potrząsnął trzykrotnie głową, kiedy przedstawiano mu Ramberta. Jego nazwisko nie zostało wymienione i Raoul mówił o nim tylko "nasz przyjaciel".

— Nasz przyjaciel przypuszcza, że będzie mógł panu pomóc. Skomunikuje pana...

Raoul przerwał, zbliżała się bowiem kelnerka po zamówienie Ramberta.

— Skomunikuje pana z dwoma naszymi przyjaciółmi, którzy zapoznają pana z oddanymi nam strażnikami. Nie wszystko jeszcze będzie wówczas skończone. Strażnicy muszą sami wybrać sprzyjający moment. Najprościej byłoby, żeby pan spędził kilka nocy u jednego z nich, który mieszka blisko bram. Ale przedtem jeszcze nasz przyjaciel musi pana skontaktować, z kim trzeba. Kiedy wszystko będzie załatwione, z nim ureguluje pan rachunek.

Przyjaciel potrząsnął znów swoją końską głową, nie przestając przeżuwać sałatki z papryki i pomidorów, którą chciwie połykał. Potem przemówił z lekkim akcentem hiszpańskim. Zaproponował Rambertowi, żeby spotkali się pojutrze, o ósmej rano, w przedsionku katedry.

— Znowu dwa dni — zauważył Rambert.

— Bo to nie jest łatwe — rzekł Raoul. — Trzeba znaleźć ludzi.

Koń przytaknął raz jeszcze i Rambert zgodził się bez zapału. Dalsza część obiadu upłynęła na poszukiwaniu tematu. Ale wszystko stało się bardzo łatwe od chwili, kiedy Rambert odkrył, że koń jest graczem w piłkę nożną. Dziennikarz uprawiał również ten sport. Mówiono więc o mistrzostwach Francji, o wartości zawodowych drużyn

angielskich, o systemie W. Pod koniec obiadu koń całkiem się rozruszał i mówił "ty" do Ramberta, chcąc go przekonać, że najlepsze miejsce w drużynie ma środkowy napastnik. "Rozumiesz — mówił — środkowy decyduje o piłce. A na tym właśnie polega gra". Rambert był tego samego zdania, chociaż zawsze grał jako skrzydłowy. Dyskusję przerwało dopiero radio, które po ściszonych, powtarzających się w kółko sentymentalnych melodiach ogłosiło komunikat, że poprzedniego dnia dżuma zabrała sto trzydzieści siedem ofiar. Nikt z obecnych nie zareagował. Mężczyzna z końską głową wzruszył ramionami i wstał. Raoul i Rambert poszli za jego przykładem.

Wychodząc, środkowy napastnik uściśnął energicznie rękę Ramberta.

— Nazywam się Gonzales — powiedział.

Te dwa dni ciągnęły się dla Ramberta w nieskończoność. Wybrał się do Rieux i opowiedział mu szczegółowo o swych poczynaniach. Potem odprowadził doktora na wizytę. Pożegnał go przy bramie domu, gdzie czekał na niego pacjent o podejrzanych objawach. W korytarzu hałas kroków i głosów: uprzedzano rodzinę o przybyciu doktora.

— Mam nadzieję, że Tarrou się nie spóźni — mruknął Rieux.

Miał zmęczoną twarz.

— Epidemia rozwija się zbyt szybko? — zapytał Rambert.

Rieux powiedział, że nie w tym rzecz, krzywa statystyczna idzie nawet w górę mniej szybko. Po prostu środki zwalczania dżumy są niewystarczające.

— Brak nam materiału. We wszystkich armiach świata brak materiału wyrównują na ogół ludzie. Ale nam brak również i ludzi.

— Przyjechali lekarze i personel sanitarny z zewnątrz.

— Tak — powiedział Rieux. — Dziesięciu lekarzy i sto osób personelu pomocniczego. Na pozór to dużo. Ale zaledwie wystarczy przy obecnym stanie choroby. Będzie za mało, jeśli epidemia się rozszerzy.

Rieux nasłuchiwał odgłosów z zewnątrz, po czym uśmiechnął się do Ramberta.

— Tak — rzekł — powinien się pan pospieszyć, żeby dopiąć swego.

Cień przemknął po twarzy Ramberta.

— Pan wie — powiedział głuchym głosem — że nie dlatego wyjeżdżam.

Rieux odparł, że wie o tym, ale Rambert ciągnął dalej:

— Sądzę, że nie jestem tchórzem, przynajmniej na ogół. Miałem okazję to sprawdzić. Ale pewnych myśli nie mogę znieść.

Doktor spojrzał mu w twarz.

— Pan ją odzyska — rzekł.

— Być może, nie mogę jednak znieść myśli, że to będzie trwać, a ona przez ten czas się zestarzeje. Mając trzydzieści lat, człowiek zaczyna się starzeć i trzeba korzystać ze wszystkiego. Nie wiem, czy pan potrafi to zrozumieć.

Rieux szepnął, że chyba rozumie, kiedy zjawił się Tarrou, bardzo ożywiony.

— Zaproponowałem Paneloux, żeby przyłączył się do nas.

— I cóż? — zapytał doktor.

— Zastanowił się i powiedział, że dobrze.

— Cieszę się — powiedział doktor. — Cieszę się, że jest lepszy od swego kazania.

— Wszyscy są tacy — powiedział Tarrou. — Trzeba im tylko dać okazję.

Uśmiechnął się i mrugnął okiem do Rieux.

— Dostarczanie okazji to moja specjalność.

— Przepraszam — rzekł Rambert — muszę już iść.

W umówiony czwartek Rambert pięć minut przed ósmą znalazł się w przedsionku katedry. Powietrze było jeszcze dość świeże. Po niebie przesuwały się białe i okrągłe obłoczki, które rosnący upał połknie za chwilę jednym haustem. Niewyraźny zapach wilgoci unosił się jeszcze z trawników, choć były już wyschnięte. Słońce za domami na wschodzie nagrzewało jedynie hełm złożonej Joanny d'Arc, która zdobiła plac. Zegar wybił ósmą. Rambert przeszedł się po pustej kruchcie. Z wewnątrz dobiegał niewyraźny śpiew psalmów wraz z odwiecznym zapachem piwnicy i kadzidła. Nagle śpiewy ucichły. Dwanaście małych czarnych kształtów wyszło z kościoła i podreptało w stronę miasta. Rambert zaczął się niecierpliwić. Inne czarne kształty wchodziły wielkimi schodami i kierowały się ku kruchcie. Zapalił papierosa, potem uświadomił sobie, że może w tym miejscu nie wolno palić.

O ósmej piętnaście organy z katedry zaczęły grać cicho. Rambert wszedł pod ciemne sklepienie. Po chwili mógł dostrzec w nawie małe czarne kształty, które weszły przed nim. Wszystkie zgromadziły się w kącie, pod czymś w rodzaju zaimprovizowanego ołtarza, gdzie stał św. Roch, wykonany naprędce w jednej z pracowni naszego miasta. Klęcząc, kształty wydawały się jeszcze bardziej skurczone, zagubione w szarości niby zakrzepłe kawałki cienia, ledwo grubsze od mgły, która je spowijała. W górze organy wygrywały nie kończące się wariacje.

Kiedy Rambert wszedł, Gonzales schodził już schodami i kierował się w stronę miasta.

— Myślałem, żeś poszedł — powiedział do dziennikarza. — To byłoby zrozumiałe.

Wyjaśnił, że czekał na przyjaciół w umówionym miejscu, niedaleko stąd, za dziesięć ósma. Ale czekał dwadzieścia minut na próżno.

— Na pewno coś im przeszkodziło. Nie wszystko układa się gładko w naszej branży.

Zaproponował następne spotkanie nazajutrz, przy pomniku poległych, o tej samej godzinie. Rambert westchnął i zsunął kapelusz do tyłu.

— To nic — powiedział Gonzales ze śmiechem. — Pomyśl o wszystkich kombinacjach i podaniach, zanim wyceluje się w bramkę.

— Oczywiście — powiedział znów Rambert. — Ale mecz trwa tylko półtorej godziny.

Pomnik poległych Oranu znajduje się w jedynym miejscu, skąd można ujrzeć morze; jest to rodzaj promenady ciągnącej się na dość niewielkiej przestrzeni, wzdłuż skał górujących nad portem. Nazajutrz Rambert, który przyszedł pierwszy, odczytywał uważnie listę poległych na polu chwały. W kilka minut potem zbliżyli się dwaj mężczyźni, spojrzeli na niego obojętnie, oparli się o parapet i zdawało się, że są całkowicie pochłonięci oglądaniem pustych i wyludnionych bulwarów nadbrzeżnych. Obaj byli jednakowego wzrostu, obaj w granatowych spodniach i marynarskich trykotach z krótkimi rękawami. Dziennikarz oddalił się nieco, potem usiadł na ławce, skąd mógł ich obserwować do woli. Zauważył, że na pewno nie mają więcej jak po dwadzieścia lat. W tej samej chwili ujrzał Gonzalesa, który szedł ku niemu, przepraszając.

— Oto nasi przyjaciele — powiedział i zbliżył się wraz z dziennikarzem do dwóch młodych ludzi, których przedstawił mu jako Marcela i Louisa. Z twarzy bardzo byli do siebie podobni i Rambert doszedł do wniosku, że to bracia.

— Dobra — rzekł Gonzales. — Już się znacie. A teraz do rzeczy. Marcel czy Louis powiedział, że rozpoczynają służbę za dwa dni, że będą na straży przez tydzień i że trzeba wybrać dzień najbardziej dogodny. Jest ich czterech przy bramie zachodniej, tamci dwaj to zawodowi wojskowi. Nie ma mowy o tym, żeby ich wtajemniczać. Nie są pewni, a zresztą to powiększyłoby koszt. Zdarza się jednak czasem, że tamci koledzy spędzają część nocy w tylnej sali baru, który oni znają. Marcel czy Louis proponuje więc Rambertowi, żeby przeniósł się do ich mieszkania, niedaleko od bram, i poczekał, aż po

niego przyjdą. Trzeba się pospieszyć, ponieważ od pewnego czasu mówi się o tym, że straże na zewnątrz miasta zostaną podwojone.

Rambert zgodził się i podał im kilka ze swych ostatnich papierosów. Ten z nich, który jeszcze nic nie mówił, zapytał Gonzalesa, czy sprawa kosztów jest uregulowana i czy można dostać zaliczkę.

— Nie — rzekł Gonzales — nie ma potrzeby, to przyjaciel. Koszta zostaną pokryte przy wyjeździe.

Umówiono się na nowe spotkanie. Gonzales zaproponował kolację w hiszpańskiej restauracji, pojutrze. Stamtąd można się będzie udać do domu strażników.

— Pierwszej nocy — rzekł do Ramberta — dotrzymam ci towarzystwa.

Nazajutrz Rambert, idąc do swego pokoju, spotkał Tarrou na hotelowych schodach.

— Mam spotkać się z Rieux — powiedział Tarrou. — Czy chce pan pójść ze mną?

— Nie jestem nigdy pewien, czy mu nie przeszkadzam — powiedział Rambert po chwili wahania.

— Nie sądzę, dużo mi mówił o panu.

Dziennikarz zastanawiał się.

— Proszę pana — powiedział — jeśli będziecie mieli wolną chwilę po kolacji, nawet późno, przyjdźcie obaj do hotelowego baru.

— To zależy od niego i od dżumy — odparł Tarrou.

Jednakże o jedenastej wieczór Rieux i Tarrou weszli do małego i ciasnego baru. Ze trzydzieści osób tłoczyło się tutaj, rozmawiając bardzo głośno. Przyszedłszy z cizy zadżumionego miasta, dwaj przybysze zatrzymali się trochę ogłuszeni. Zrozumieli to ożywienie widząc, że w barze podają alkohol. Rambert znajdował się u końca kontuaru i dawał im znaki ze swego wysokiego taboretu. Tarrou odsunął spokojnie jakiegoś hałaśliwego sąsiada i znaleźli się po obu stronach dziennikarza.

— Alkohol nie przeraża pana?

— Nie — powiedział Tarrou — przeciwnie.

Rieux wciągnął zapach gorzkich ziół ze swego kieliszka. Było trudno rozmawiać w tym zgiełku, ale zdawało się, że Ramberta interesuje przede wszystkim alkohol. Doktor nie miał jeszcze pewności, czy dziennikarz jest pijany. Przy jednym z dwóch stołów, które zajmowały resztę ciasnego lokalu, oficer marynarki, z dwiema kobietami uwieszonymi u jego ramion, opowiadał grubemu czerwonemu mężczyźnie o epidemii



tyfusu w Kairze. "Obozy — mówił — założono obozy dla krajowców, z namiotami dla chorych; dokoła kordon straży, które strzelały do rodzin, jeśli usiłowały przemycić domowe lekarstwa. Było to okrutne, ale słuszne". Rozmowa przy drugim stole, zajęтым przez eleganckich młodych ludzi, była niezrozumiała i gubiła się w rytmie *Saint James Infirmary*, płynącym z wysoko umieszczonego głośnika.

— Czy jest pan zadowolony? — powiedział Rieux, podnosząc głos.

— Już niedługo — rzekł Rambert. — Może za tydzień.

— Szkoda! — krzyknął Tarrou.

— Dlaczego?

Tarrou spojrzał na Rieux.

— Och — powiedział doktor — Tarrou tak mówi, bo myśli, że pan mógłby nam się tu przydać. Ale ja rozumiem aż nadto dobrze pańskie pragnienie wyjazdu.

Tarrou postawił nową kolejkę. Rambert zeszedł ze swego taboretu i spojrzał mu po raz pierwszy w twarz.

— Jak mógłbym się wam przydać?

— No cóż — powiedział Tarrou, wyciągając bez pośpiechu rękę po swój kieliszek — w naszych formacjach sanitarnych.

Na twarzy Ramberta pojawił się zwykły mu wyraz upartego namysłu; usiadł z powrotem na swoim taborecie.

— Te formacje nie wydają się panu potrzebne? — powiedział Tarrou, który właśnie wypił i patrzył na Ramberta uważnie.

— Bardzo potrzebne — odparł dziennikarz i wypił.

Rieux zauważył, że drży mu ręka. Pomyślał, że na pewno jest zupełnie pijany.

Nazajutrz Rambert wszedł po raz drugi do hiszpańskiej restauracji. Przechodził pomiędzy niewielką grupą mężczyzn, którzy ustawili krzesła przed wejściem i delektowali się zielonym i złotym wieczorem; żar dopiero zaczął słabnąć. Palili tytoń o cierpkim zapachu. Wewnątrz restauracja była niemal pusta. Rambert usiadł przy stole w głębi, gdzie za pierwszym razem spotkał Gonzalesa. Powiedział do kelnerki, że poczeka. Była dziewiętnasta trzydzieści. Ludzie wracali powoli do sali i siadali przy stołach. Zaczęto podawać i niskie sklepienie wypełnił brzęk nakryć i przytłumione rozmowy. O dwudziestej Rambert czekał wciąż jeszcze. Zapalono światło. Nowi goście usiedli przy jego stole. Zamówił kolację. O dwudziestej trzydzieści skończył jeść, nie doczekawszy się Gonzalesa i dwóch młodych ludzi. Palił papierosy. Sala opróżniała się powoli. Na ulicy

noc zapadała bardzo szybko. Ciepławy powiew, idący od morza, unosił lekko zasłony na oknach. O dwudziestej pierwszej Rambert spostrzegł się, że sala jest pusta i że kelnerka spogląda na niego ze zdziwieniem. Zapłacił i wyszedł. Naprzeciw; restauracji była otwarta kawiarnia. Rambert usiadł przy kontuarze i patrzył na wejście do restauracji. O dwudziestej pierwszej trzydzięci skierował się w stronę hotelu, zastanawiając się na próżno, jak znaleźć Gonzalesa, którego adresu nie miał, z sercem zrozpaczonym na myśl o wszystkich krokach, jakie trzeba będzie podjąć na nowo.

W owej chwili, w nocy, którą przecinały pędzące ambulanse, zdał sobie sprawę, jak to miał powiedzieć doktorowi Rieux, że przez cały ten czas w pewien sposób zapomniał o swojej żonie, by poświęcić się całkowicie poszukiwaniu szczeliny w murach oddzielających go od niej. Ale również w tej chwili, kiedy wszystkie drogi na nowo były zamknięte, znalazł ją znów w środku swego pragnienia, i to z tak nagłym wybuchem bólu, że zaczął biec w stronę hotelu, by uciec od tej okrutnej oparzelizny, którą nosił przecież ze sobą i która zżerała mu skronie.

Nazajutrz bardzo wcześnie udał się jednak do Rieux, by go zapytać, jak znaleźć Cottarda.

— Pozostaje mi tylko zacząć wszystko od początku — powiedział.

— Niech pan przyjdzie jutro wieczorem — rzekł Rieux.

— Tarrou chciał, żebym zaprosił Cottarda, nie wiem po co. Ma przyjść o dziesiątej. Niech pan przyjdzie o wpół do jedenastej.

Kiedy następnego dnia Cottard zjawił się u doktora, Tarrou i Rieux rozmawiali o niespodziewanym wyzdrowieniu pacjenta w szpitalu Rieux.

— Jeden na dziesięciu. Miał szczęście — mówił Tarrou.

— Tak — rzekł Cottard — ale to nie była dżuma.

Zapewniono go, że to była jednak dżuma.

— Niemożliwe, skoro wyzdrowiał. Pan wie równie dobrze jak ja, dżuma nie przebacza.

— Na ogół nie — powiedział Rieux. — Ale przy odrobinie uporów mogą się zdarzyć niespodzianki.

Cottard śmiał się.

— Nie wygląda na to. Zna pan dzisiejsze cyfry?

Tarrou, który spoglądał na rentiera życzliwie, powiedział, że zna cyfry, sytuacja jest poważna, ale czego to dowodzi? Że należy zastosować jeszcze bardziej wyjątkowe środki.

— Ech, jużście je zastosowali.

— Tak, ale każdy musi to zrobić na własny rachunek.

Cottard patrzył na Tarrou, nie rozumiejąc. Tarrou powiedział, że zbyt wielu ludzi jest wciąż nieaktywnych, że epidemia to sprawa każdego i każdy powinien spełnić swój obowiązek. Formacje ochotnicze są otwarte dla wszystkich.

— Słusznie — rzekł Cottard — ale to nie przyda się na nic. Dżuma jest zbyt silna.

— Będziemy to wiedzieć — powiedział Tarrou cierpliwym tonem — kiedy wszystko wypróbujemy.

Rieux wypełniał kartki przy biurku. Tarrou patrzył wciąż na rentiera, który kręcił się na krześle.

— Dlaczego nie przyłączy się pan do nas? — zapytał Cottarda.

Tamten wstał z obrażoną miną i wziął swój okrągły kapelusz.

— To nie dla mnie.

Potem z przechwałką w głosie:

— Zresztą dobrze mi z dżumą i nie wiem, dlaczego miałbym się wtrącać, żeby się skończyła.

Tarrou uderzył się w czoło, jakby olśniony nieoczekiwaną prawdą.

— Ach, rzeczywiście, zapomniałem. Gdyby nie dżuma, aresztowano by pana.

Cottard zadrzał i chwycił się krzesła, jakby miał upaść. Rieux przestał pisać i patrzył na niego z poważnym, pełnym zaciekawienia wyrazem.

— Kto panu o tym powiedział? — krzyknął rentier.

Tarrou odparł ze zdziwieniem:

— Ależ pan. Albo tak przynajmniej mogliśmy z doktorem wywnioskować.

A ponieważ Cottard ogarnięty nagle wściekłością, jak na niego zbyt silną, bełkotał niezrozumiałe słowa, Tarrou dodał:

— Niech się pan nie denerwuje. Ani doktor, ani ja nie zadenuncjujemy pana. Pańska sprawa nas nie dotyczy. Poza tym nie lubimy policji. No, niech pan siada.

Rentier spojrział na krzesło i usiadł po chwili wahania. Po minucie westchnął.

— Wyciągnęli tę starą historię — przyznał. — Sądziłem, że o niej zapomniano. Ale był jeden taki, co gadał. Wezwali mnie i powiedzieli, że mam być do ich dyspozycji aż do końca śledztwa. Zrozumiałem, że potem mnie aresztują.

— To poważna sprawa? — zapytał Tarrou.

— Zależy, co pan przez to rozumie. W każdym razie nie jest to morderstwo.

— Więzienie czy roboty przymusowe?

Cottard wydawał się bardzo przybity.

— Więzienie, jeśli będę miał szczęście... Ale po chwili ciągnął nadal gwałtownie:

— To pomyłka. Wszyscy robią pomyłki. Nie mogę znieść myśli, że zabiorą mnie, pozbawią mieszkania, przyzwyczajęń, oddzielą od tych wszystkich, których znam.

— Ach — powiedział Tarrou — i dlatego wymyślił pan, żeby się powiesić?

— Tak, ale to oczywiście głupie.

Rieux przemówił po raz pierwszy i powiedział Cottardowi, że rozumie jego niepokój, ale może wszystko się ułożyć.

— Och, na razie wiem, że nie mam się czego obawiać.

— Widzę — powiedział Tarrou — że nie wstąpi pan do naszych formacji.

Rentier, który obracał w rękach kapelusz, podniósł na Tarrou niepewne spojrzenie.

— Nie trzeba mi mieć tego za złe.

— Na pewno. Ale niech pan przynajmniej nie propaguje dżumy — rzekł Tarrou z uśmiechem.

Cottard zaprotestował: nie chciał dżumy, przysłała sama; to nie jego wina, że chwilowo mu pomaga. I kiedy Rambert zjawił się w drzwiach, rentier dodał z wielką energią w głosie:

— Zresztą myślę, że nic nie osiągniecie.

Rambert dowiedział się, że Cottard nie zna adresu Gonzalesa, ale można pójść znowu do kawiarenki. Umówili się na jutro. Ponieważ zaś Rieux chciał znać szczegóły, Rambert zaprosił go wraz z Tarrou do swego pokoju — z końcem tygodnia, o dowolnej godzinie w nocy.

Rano Cottard i Rambert udali się do kawiarenki i wyznaczyli Garcii spotkanie na wieczór albo nazajutrz, jeśliby nie mógł wieczorem. Wieczorem czekali na próżno. Garcia zjawił się następnego dnia. Wysłuchał w milczeniu historii Ramberta. Nie był poinformowany, ale wiedział, że zamykano całe dzielnice, by sprawdzić zameldowania.

Możliwe, że Gonzales i dwaj młodzi ludzie nie mogli przekroczyć rogatek. Wszystko, co mógł zrobić, to znów skontaktować Ramberta z Raoulem. Oczywiście nie wcześniej jak pojutrze.

— Widzę — rzekł Rambert — że trzeba wszystko zacząć od nowa.

Raoul potwierdził przypuszczenie Garcii; dzielnice położone w dole były zamknięte. Trzeba skontaktować się znów z Gonzalesem. W dwa dni potem Rambert jadł obiad z graczem w piłkę nożną.

— To idiotyczne — mówił Gonzales. — Trzeba było ustalić, w jaki sposób można się znaleźć.

Było to również zdanie Ramberta.

— Jutro rano pójdziemy do chłopców i spróbujemy wszystko załatwić.

Nazajutrz chłopców nie było w domu. Wyznaczono im spotkanie na placu du Lycée następnego dnia w południe. Rambert wrócił do domu i wyraz jego twarzy uderzył Tarrou, kiedy spotkał dziennikarza po południu.

— Źle idzie? — zapytał Tarrou.

— Trzeba zacząć na nowo — rzekł Rambert.

I powtórzył swoje zaproszenie:

— Przyjdźcie wieczorem.

Wieczorem, kiedy dwaj mężczyźni weszli do pokoju Ramberta, dziennikarz leżał. Wstał, napełnił przygotowane kieliszki. Rieux biorąc swój zapytał go, czy jest na dobrej drodze. Dziennikarz odpowiedział, że zaczął wszystko od początku, doszedł do tego samego punktu i że wkrótce czeka go ostatnie spotkanie. Wypił i powiedział:

— Oni oczywiście nie przyjdą.

— Nie trzeba z tego robić zasady — powiedział Tarrou.

— Pan jeszcze nie zrozumiał — odparł Rambert wzruszając ramionami.

— Czego?

— Dżumy.

— O! — powiedział Rieux.

— Nie, pan nie zrozumiał, że to polega na zaczynaniu od nowa.

Rambert otworzył mały patefon.

— Co to za płyta? — zapytał Tarrou. — Znam ją.

Rambert odpowiedział, że to *Saint James Infirmary*.

Gdy płyta była w połowie, usłyszeli odgłos dwóch odległych wystrzałów.

— Pies albo ucieczka — rzekł.

W chwilę potem płyta się skończyła i sygnał ambulansu zabrzmiał wyraźnie, wzrósł, przepłynął pod oknami hotelowego pokoju, ścichł i zgasł wreszcie.

— Ta płyta nie jest zabawna — powiedział Rambert. — A poza tym słyszę ją dziś po raz dziesiąty.

— Tak pan to lubi?

— Nie, ale mam tylko tę jedną.

I po chwili:

— Powiadam panu, że to polega na zaczynaniu od nowa.

Zapytał Rieux, jak tam z formacjami. Było dziesięć ekip roboczych. Spodziewano się, że powstaną inne. Dziennikarz usiadł na łóżku, cały pochłonięty swymi paznokciami. Rieux przyglądał się jego krótkiej i mocnej sylwetce na brzegu łóżka. Zauważył nagle, że Rambert na niego patrzy.

— Wie pan, doktorze — powiedział — dużo myślałem o waszej organizacji. Jeśli nie jestem z wami, to dlatego że mam swoje powody. Zresztą sądzę, że potrafiłbym jeszcze zapłacić swoją osobą, byłem na wojnie w Hiszpanii.

— Po której stronie? — zapytał Tarrou.

— Po stronie zwyciężonych. Ale potem zastanowiłem się trochę.

— Nad czym? — rzekł Tarrou.

— Nad odwagą. Teraz wiem, że człowiek jest zdolny do wielkich czynów. Ale jeśli nie jest zdolny do wielkiego uczucia, nie interesuje mnie.

— Zdaje się, że jest zdolny do wszystkiego — powiedział Tarrou.

— Ależ nie, nie potrafi ani cierpieć, ani być długo szczęśliwym. Nie jest więc zdolny do niczego, co się liczy. Patrzył na nich i potem:

— Proszę, Tarrou, czy potrafi pan umrzeć dla miłości?

— Nie wiem, ale wydaje mi się, że teraz nie.

— Otóż właśnie. Ale potrafi pan umrzeć dla idei, to widać gołym okiem. Ja zaś mam dosyć ludzi umierających dla idei. Nie wierzę w bohaterstwo, wiem, że jest łatwe, a zrozumiałem, że było zabójcze. Żyć i umierać dla tego, co się kocha, tylko to mnie interesuje.

Rieux słuchał dziennikarza uważnie. Wciąż na niego patrząc, powiedział łagodnie:

— Człowiek to nie idea, Rambert.

Tamten podskoczył na łóżku, twarz miał rozpaloną namiętnością.

— To jest idea i idea mizerna od chwili, kiedy odwraca się od miłości. W tym rzecz, że nie jesteśmy już zdolni do miłości. Poddajmy się, doktorze. Czekajmy, aż się staniemy zdolni do miłości, a jeśli to naprawdę niemożliwe, czekajmy rozwiązania ogólnego, nie bawiąc się w bohaterów. Ja poprzestaję na tym.

Rieux wstał z wyrazem nagłego zmęczenia.

— Pan ma rację, pan ma zupełną rację, i za nic w świecie nie chciałbym pana odwieść od tego, co pan chce zrobić i co wydaje mi się słuszne i dobre. Muszę jednak panu powiedzieć: w tym wszystkim nie chodzi o bohaterstwo. Chodzi o uczciwość. Ta myśl może się wydać śmieszna, ale jedyny sposób walki z dżumą to uczciwość.

— Cóż to jest uczciwość? — powiedział Rambert, poważniejąc nagle.

— Nie wiem, czym uczciwość jest w ogóle. Ale w moim przypadku polega na wykonywaniu zawodu.

— Ach — powiedział Rambert z wściekłością — nie wiem, jaki jest mój zawód. Może rzeczywiście jestem w błędzie, wybierając miłość.

Rieux odwrócił się w jego stronę.

— Nie — powiedział z mocą — pan nie jest w błędzie.

Rambert patrzył na nich w zamyśleniu.

— Przypuszczam, że wy dwaj nie macie nic do stracenia w tym wszystkim. Wtedy łatwiej być po dobrej stronie.

Rieux wychylił swój kieliszek.

— Chodźmy — powiedział — mamy robotę.

Wyszedł.

Tarrou ruszył za nim, ale gdy miał wyjść, jakby się rozmyślił, odwrócił się i powiedział do dziennikarza:

— Czy pan wie, że żona Rieux znajduje się w sanatorium, kilkaset kilometrów stąd?

Rambert okazał gestem zdumienie, ale Tarrou już nie było.

Nazajutrz o wczesnej godzinie Rambert telefonował do doktora.

— Czy zgodzi się pan, żebym pracował z wami, aż znajdę sposób opuszczenia miasta?

Na drugim końcu przewodu trwała przez chwilę cisza i potem:

— Tak. Dziękuję panu.



Tak więc, przez całe tygodnie, więźniowie walczyli, jak mogli. Widać, że niektórzy z nich, jak Rambert, wyobrażali sobie jednak, że działają jako wolni ludzie, że mogą jeszcze wybierać. W istocie jednak wówczas, w połowie sierpnia, dżuma przysłoniła wszystko. Nie było już losów indywidualnych, ale wspólna historia, to znaczy dżuma i uczucia, których doznawali wszyscy. Najsilniejszym z nich była świadomość rozłąki i wygnania wraz ze strachem i buntem, jakie niosła w sobie. Dlatego narrator uważa, że u szczytu upałów i dżumy należy opisać dla przykładu zachowanie się ogółu, gwałtowne czyny naszych współobywateli, pogrzeby zmarłych i cierpienia rozłączonych kochanków.

W środku owego roku zerwał się wiatr i wiał przez wiele dni w zadżumionym mieście. Mieszkańcy Oranu szczególnie obawiają się wiatru, ponieważ, nie napotykając żadnej naturalnej przeszkody na płaskowzgórzu, gdzie leży miasto, wpada na ulice z całą gwałtownością. Po długich miesiącach, kiedy ani jedna kropla wody nie odświeżyła miasta, mury pokrył szary tynk, odpadający pod tchnieniem wiatru. Wiatr wzbijał fale kurzu i papierów, które uderzały po nogach coraz to rzadszych przechodniów. Można było ich ujrzeć, jak spieszą ulicami, pochyleni do przodu, z chustką lub ręką na ustach.

Wieczorem ludzie już nie zbierali się, by możliwie najbardziej przedłużyć te dni, z których każdy mógł być ostatnim; małymi grupami szli szybko do domów lub kawiarni, tak że przez kilka dni o zmierzchu, który podówczas zapadał szybciej, ulice były puste, i tylko wiatr wydawał nieustanne skargi. Od wzburzonego i wciąż niewidzialnego morza szedł zapach wodorostów i soli. To puste miasto ubielone kurzem, nasycone zapachem morza, dźwięczące krzykami wiatru, jęczało wówczas jak nieszczęśliwa wyspa.

Aż dotąd dżuma zabrała najwięcej ofiar z dzielnic zewnętrznych, bardziej zaludnionych i nędzniejszych aniżeli dzielnice w centrum miasta. Ale nagle podeszła bliżej i rozgościła się w dzielnicach handlowych. Mieszkańcy powiadali, że to wiatr roznosi zarodki infekcji. "Wiatr miesza karty" – mówił dyrektor hotelu. Tak czy inaczej, dzielnice w centrum wiedziały, że nadeszła ich kolej, gdy w nocy, z bliska i coraz częściej, rozlegały się pod oknami sygnały ambulansów, śląc ponure i beznamiętne wezwanie dżumy.

W samym centrum miasta władze wpadły na myśl, żeby odizolować pewne szczególnie doświadczone przez dżumę dzielnice; mogli je opuszczać tylko ci ludzie, których praca była niezbędna. Mieszkańcy tych dzielnic uważali, że zrobiono to, by im umyślnie dokuczyć, a w każdym razie, prawem kontrastu, myśleli o mieszkańcach innych dzielnic jak o wolnych ludziach. Ci ostatni natomiast; w trudnych chwilach

znajdowali pocieszenie w myśli, że inni są jeszcze mniej wolni niż oni sami. "Zawsze znajdzie się ktoś, kto bardziej jest więźniem niż ja" – to zdanie streszczało wówczas jedyną dostępną nadzieję.

Mniej więcej w tym czasie wzrosła również liczba pożarów, zwłaszcza w dzielnicach willowych, u zachodnich bram miasta. Dowiedziano się, że ludzie, którzy wrócili z kwarantanny, doprowadzeni do szaleństwa żalobą i nieszczęściem, podpalali swe domy w złudzeniu, że zabiją w nich dżumę. Wiele było trudu ze zwalczaniem tych pożarów, których częstość narażała całe dzielnice na nieustanne niebezpieczeństwo, wiał bowiem gwałtowny wiatr. Kiedy wyjaśnienie, że dezynfekcja domów przeprowadzona przez władze wyklucza wszelkie ryzyko zarażenia, nie przydawało się już na nic, trzeba było ogłosić surowe kary dla niewinnych podpalaczy. I jest rzeczą jasną, że nie myśl o więzieniu powstrzymywała wówczas tych nieszczęśników, ale pewność, wspólna wszystkim mieszkańcom, że kara aresztu równa się karze śmierci, ze względu na nadmierną śmiertelność, jaką zanotowano w miejskim więzieniu. Ta pewność miała naturalnie swoje podstawy. Z przyczyn oczywistych zdawało się, że dżuma rzuca się ze szczególną zaciekłością na tych, którzy zwykle żyją pospół, jak żołnierze, zakonnicy czy więźniowie. Mimo bowiem izolacji niektórych aresztantów więzienie jest społecznością, czego dowodzi fakt, że w naszym miejskim więzieniu strażnicy, tak samo jak aresztanci, płacili daninę chorobie. Z wyższego punktu widzenia, który był punktem widzenia dżumy, wszyscy, od dyrektora do ostatniego więźnia, byli skazani, i może po raz pierwszy w więzieniu panowała absolutna równość.

Na próżno władze usiłowały wprowadzić hierarchię w tym ujednostajnieniu, powziąwszy myśl, by nadawać odznaczenia strażnikom więziennym zmarłym podczas wykonywania swych obowiązków. Ponieważ ogłoszono stan oblężenia, a strażników więziennych w pewien sposób można było uważać za zmobilizowanych, odznaczono ich pośmiertnie medalami wojskowymi. Ale jeśli aresztanci nie protestowali w najmniejszym stopniu, w kołach wojskowych nie przyjęto tego życzliwie i słusznie zauważono, że pożałowania godny zamęt może się zrodzić; w umysłach ludności. Władze uznały te racje i doszły do wniosku, że najprościej będzie przyznawać zmarłym strażnikom medal za epidemię. Jeśli jednak idzie o pierwszych dekorowanych, zło już się stało, nie można było cofnąć odznaczeń i koła wojskowe nadal podtrzymywały swój punkt widzenia. Z drugiej strony, medal za epidemię o tyle był gorszy, że nie mógł wyrzeć efektu moralnego, jaki uzyskano nadając odznaczenia wojskowe, ponieważ w

czasie epidemii otrzymać odznaczenie tego rodzaju jest i rzeczą banalną. Wszyscy byli niezadowoleni.

Co więcej, władze karne nie mogły postąpić jak władze zakonne ani jak władze wojskowe. Zakonnicy z dwóch klasztorów miasta opuścili je i zamieszkali na razie przy pobożnych rodzinach. Podobnie, za każdym razem, kiedy to było możliwe, zabierano niewielkie grupy z koszar i umieszczano jako garnizony w szkołach czy gmachach publicznych. W ten sposób choroba, która na pozór; zmusiła oblężonych do solidarności, łamała zarazem tradycyjne zrzeszenia i odsyłała ludzi z powrotem do samotności. Powstał więc zamęt.

Można przypuszczać, że wszystkie te okoliczności oraz wiatr rozplomieniły również pewne umysły. Bramy miasta atakowano znów wielokrotnie w nocy, ale tym razem były to niewielkie uzbrojone grupy. Nastąpiła wymiana strażaków, byli ranni i kilka ucieczek. Straże wzmocniono i te próby ustały dość nagle. Było ich jednak dosyć, by pomieścić przeszedł wiew rewolucji i wywołał pewne rozruchy. Domy podpalone lub zamknięte ze względów sanitarnych zostały obrabowane. Prawdę mówiąc, trudno przypuszczać, że te akty były zamierzone. Najczęściej; nagła okazja doprowadzała czcigodnych dotychczas ludzi do nagannych czynów, które natychmiast naśladowano. Trafiali się więc szaleńcy, którzy wpadali do płonącego domu jeszcze w obecności ogłupiałego z bólu właściciela. Na widok jego obojętności za przykładem pierwszych szli liczni widzowie, i po ciemnej ulicy, w świetle pożaru, ze wszystkich stron mknęły uciekające cienie, zniekształcone przez zamierający ogień oraz przedmioty i meble, które niosły na ramionach. Te wypadki zmusiły władze, by prócz stanu dżumy ogłosiły stan oblężenia i wprowadziły odpowiednie prawa. Rozstrzelano dwóch złodziei, ale jest rzeczą wątpliwą, czy podziało to na innych, ponieważ wśród tylu zmarłych te dwie egzekucje minęły nie zauważone; była to kropla wody w morzu. Prawdę mówiąc, podobne sceny powtarzały się dość często i władze nie udawały nawet, że interweniują. Jedyna rzecz, która wywarła wrażenie na wszystkich mieszkańcach, to wprowadzenie zaciemnienia. Od godziny jedenastej miasto, pogrążone w całkowitej ciemności, stawało się kamienne.

Pod księżycowym niebem wystawiało rzędami swe białawe mury i proste ulice, nie skażone nigdzie czarną plamą drzewa, nie zaniepokojone nigdy krokiem przechodnia czy głosem psa. Wielkie ciche miasto było wówczas tylko zbiorowiskiem masywnych i nieruchomych sześcianów, pomiędzy którymi milczące wizerunki zapomnianych dobroczyńców czy wielkich ludzi przeszłości, na wieki wciśnięte w brąz, usiłowały swymi

nieprawdziwymi twarzami z kamienia czy żelaza wywołać zniekształconą wizję tego, czym był kiedyś człowiek. Te poślednie bóstwa panowały pod gęstym niebem na martwych skrzyżowaniach ulic, niewrażliwe i prostackie, dość wiernie wyobrażając nieruchome królestwo, do którego wkroczyliśmy, lub przynajmniej jego ład ostateczny, ład cmentarza, gdzie dzuma, kamień i noc zmusiły wreszcie wszelki głos do milczenia.

Ale noc była również we wszystkich sercach, i prawda oraz legendy, jakie powtarzano sobie na temat pogrzebów, nie były tego rodzaju, żeby podnieść na duchu naszych współobywateli. Należy bowiem mówić o pogrzebach i narrator za to przeprasza. Czuje dobrze, jaki zarzut można by mu postawić, lecz ma jedno tylko usprawiedliwienie, a mianowicie, że przez cały ten czas były pogrzeby i że w pewien sposób, jak wszystkich współobywateli, zmuszono go do zajmowania się pogrzebami. W każdym razie nie czyni tego z upodobania; do ceremonii tego rodzaju; przeciwnie, woli społeczeństwo żywych i na przykład kąpiele morskie. Ale zniesiono kąpiele morskie, a społeczeństwo żywych lękało się i przez cały dzień, że będzie musiało zrzec się swych praw na rzecz społeczeństwa umarłych. Taka była oczywistość. Naturalnie, można się zmusić, żeby jej nie widzieć, zasłonić oczy i odmówić na nią zgody, ale i oczywistość ma straszną siłę, która w końcu zawsze odnosi zwycięstwo. W jaki sposób na przykład nie zgodzić się na pogrzeb w dniu, kiedy tym, których kochacie, trzeba pogrzebu?

Z początku ceremonie pogrzebowe cechował pośpiech. Uproszczone wszystkie formalności i zniesiono w ogóle uroczyste pogrzeby. Chorzy umierali z dala od swych rodzin, nie wolno było czuwać przy nich zgodnie z rytuałem, tak że ten, kto zmarł wieczorem, spędzał noc sam, tego zaś, co zmarł w ciągu dnia, grzebano bezzwłocznie. Zawiadamiano oczywiście krewnych, ale najczęściej nie mogli oni ruszyć się z miejsca, ponieważ odbywali kwarantannę, jeśli mieszkali razem z chorym. Jeśli rodzina nie mieszkała z nim uprzednio, zjawiała się o oznaczonej godzinie, to znaczy o godzinie wyruszenia na cmentarz, gdy ciało było już umyte i złożone do trumny.

Przypuśćmy, że miejscem, gdzie dopełnia się tych formalności, jest pomocniczy szpital doktora Rieux. Szkoła miała wejście z tyłu, za głównym budynkiem. Trumny mieściły się w rupieciarni wychodzącej na korytarz. W tym właśnie korytarzu rodzina znajdowała zamkniętą już trumnę. Natychmiast przystępowano do rzeczy najważniejszej, to znaczy, głowa rodziny składała podpis na papierach. Następnie ładowano ciało na samochód, który albo był prawdziwym samochodem przewozowym, albo przerobionym wielkim ambulansem. Krewni wsiadali do taksówek, jeszcze wówczas

kursujących, i samochody z największą szybkością jechały zewnętrznymi ulicami na cmentarz. Przy bramie żandarmi zatrzymywali kondukt, stemplowali oficjalną przepustkę, bez której nie można było mieć tego, co nasi współobywatele nazywali ostatnim mieszkaniem, usuwali się z drogi i auta zatrzymywały się przy kwaterze, gdzie liczne doły czekały na wypełnienie. Ksiądz przyjmował ciało, zniesiono bowiem nabożeństwa żałobne w kościołach. Wśród modlitw wyjmowano trumnę, związywano ją sznurem, wleczono, trumna ześlizgiwała się, uderzała o dno, ksiądz machał kropidłem i już pierwsze grudki ziemi odskakiwały od wieka. Ambulans odjeżdżał nieco wcześniej do dezynfekcji i podczas gdy glina z łopat spadała coraz bardziej głucho, rodzina szybko wsiadała do taksówki. W kwadrans później była już w domu.

W ten sposób wszystko odbywało się rzeczywiście z maksimum szybkości i minimum ryzyka. Rzecz jasna, że przynajmniej z początku rodzina czuła się w swych sentymentach urażona. Ale są to względy, z którymi w czasie dżumy niepodobna się liczyć: wszystko poświęcono skuteczności. Zresztą, jeśli z początku poczucie moralne ludności cierpiało z powodu tych praktyk, gdyż pragnienie, by zostać pochowanym przyzwoicie, jest bardziej rozpowszechnione, niż się przypuszcza, później, na szczęście, problem wyżywienia stał się drażliwy i zainteresowanie mieszkańców skierowało się ku pilniejszym troskom. Ludzie, którzy chcąc jeść musieli wystawać w kolejkach, czynić starania i wypełniać formularze, nie mieli czasu myśleć o tym, jak umiera się wokół nich i jak oni umrą pewnego dnia. Tak więc te trudności materialne, które powinny były stać się nieszczęściem, w konsekwencji okazały się dobrodziejstwem. I wszystko szłoby doskonale, gdyby epidemia nie rozszerzyła się, jak to już widzieliśmy.

Trumien bowiem było wciąż mniej, brakowało płótna na całuny i miejsca na cmentarzu. Trzeba się było zastanowić. Rzeczą najprostszą, wciąż ze względu na skuteczność, wydało się połączenie obrzędów w koniecznych wypadkach, zwiększenie ilości przejazdów między szpitalem a cmentarzem. Jeśli idzie o teren Rieux, szpital dysponował wówczas pięciu trumnami. Trumny wypełniano i ładowano do ambulansu. Na cmentarzu opróżniano skrzynie, ciała koloru żelaza składano na noszach i trupy czekały w specjalnie przygotowanej szopie. Trumny skrapiano płynem antyseptycznym, odwożono z powrotem do szpitala i zabieg powtarzano tyle razy, ile było trzeba. Organizacja była więc bardzo dobra i prefekt okazał zadowolenie. Powiedział nawet Rieux, że lepsze to w końcu od wózków ze zmarłymi ciągniętych przez Murzynów, jak to opisują kroniki dawnych dżum.

— Tak — odparł Rieux — to ten sam pogrzeb, tylko my prowadzimy karty kontrolne. Postęp jest bezsporny.

Mimo tych sukcesów administracji nieprzyjemny teraz charakter formalności skłonił prefekturę do usunięcia krewnych z ceremonii. Tolerowano jedynie ich obecność u bram cmentarza, ale też nieoficjalnie. Jeśli bowiem chodzi o ostatni obrządek, rzecz się nieco zmieniła. Przy końcu cmentarza, na nagiej przestrzeni porośniętej drzewami mastykowymi, wykopano dwa olbrzymie doły. Jeden dół był dla mężczyzn, drugi dla kobiet. Pod tym względem administracja szanowała konwenanse i dopiero znacznie później ten ostatni wstyd znikł siłą rzeczy i grzebano jak popadło, jednych na drugich, mężczyzn i kobiety, nie troszcząc się o przyzwoitość. Na szczęście ów ostateczny zamęt towarzyszył tylko ostatnim chwilom zarazy. W okresie, którym się zajmujemy, doły były oddzielne i prefekturze bardzo na tym zależało. W głębi każdego z nich dymiła i kipiła gruba warstwa niegaszonego wapna. Na brzegu dołu znajdował się pagórek tego samego wapna, pęcherzyki rozpryskiwały się w powietrzu. Kiedy ambulans zakończył już swoje podróże, wychodził orszak z noszami, zsuwano w głąb obnażone i poskręcane ciała, jedne obok drugich, i natychmiast pokrywano je niegaszonym wapnem, potem ziemią, ale tylko do pewnego poziomu, by oszczędzić miejsca dla przyszłych gości. Nazajutrz proszono krewnych o złożenie podpisu w rejestrze, co świadczyło o różnicy między ludźmi a na przykład psami: kontrola zawsze była możliwa.

Do wszystkich tych operacji trzeba było personelu i wciąż groziło niebezpieczeństwo, że nazajutrz go zabraknie. Wielu sanitariuszy i grabarzy, wpiętych zawodowych, potem przygodnych, zmarło na dżumę. Choć stosowano środki ostrożności, nie sposób było uniknąć zarażenia. Ale, rzecz najbardziej zdumiewająca, jeśli się nad tym dobrze zastanowić: nigdy, przez cały czas trwania epidemii, nie zabrakło ludzi do wykonywania tych usług. Okres krytyczny nastąpił nieco przedtem, zanim dżuma osiągnie swój szczyt, i niepokoje doktora Rieux były uzasadnione. Nie wystarczało rąk ani jeśli idzie o kadry, ani o to, co doktor nazywał czarną robotą. Ale gdy dżuma rzeczywiście zapanowała nad całym miastem, konsekwencje jej rozmiarów były nawet dogodne, ponieważ epidemia zdeorganizowała życie ekonomiczne i spowodowała znaczne bezrobocie. W większości wypadków bezrobotni nie uzupełniali kadr, ale o pracowników niewykwalifikowanych było teraz łatwiej. Od tej chwili bowiem nędza okazała się silniejsza od strachu, tym bardziej że za pracę płacono w stosunku do ryzyka. Służba sanitarna dysponowała listą petentów i gdy zwalniało się miejsce, zawiadamiała

pierwszych z listy, którzy zjawiali się bezzwłocznie, chyba że w przerwie oni również zwolnili miejsce. Tak więc prefekt, który długo wahał się, czy użyć do tych prac więźniów skazanych czasowo lub dożywotnio, mógł uniknąć tej ostateczności. Uważał, że jak długo istnieją bezrobotni, należy czekać.

Aż do końca sierpnia nasi współobywatele docierali więc jako tako do swego ostatecznego mieszkania, jeśli nie przyzwoicie, to przynajmniej w wystarczającym porządku, żeby administracja zachowała poczucie spełnionego obowiązku. Ale trzeba wyprzedzić nieco bieg wypadków, by opisać ostatnie sposoby, do jakich musiano się uciec. Od sierpnia dżuma trzymała się na takim poziomie, że, nagromadzenie ofiar przewyższało znacznie możliwości jakimi dysponował nasz mały cmentarz. Na próżno zburzono część muru i otwarto dla martwych wolne miejsce na otaczających terenach, trzeba było szybko wymyślić co innego. Najpierw postanowiono grzebać nocą, co tym samym zwalniało od pewnych względów. Można było załadowywać coraz więcej ciał do ambulansów. I zapóźnieni przechodnie, którzy wbrew wszelkim przepisom znajdowali się po zaciemnieniu w odległych od centrum dzielnicach (lub ci, których sprowadziły tam zajęcia), napotykali niekiedy długie białe ambulanse, mknące z największą szybkością, ich matowe dzwonki rozbrzmiewały na opustoszałych ulicach. Ciała wrzucano pospiesznie do dołów. Jeszcze nie doleciały do dna, gdy łopaty wapna spadały na twarze i ziemia pokrywała je anonimowo w owych jamach, które drążono coraz głębiej.

Jednakże nieco później wypadło szukać czego innego i posunąć się jeszcze dalej. Zarządzenie prefektury wywłaszczyło posiadaczy koncesji na wieczność, ekshumowane szczątki poszły do krematoryjnego pieca. Wkrótce zmarłych na dżumę trzeba było odwozić do krematorium. Ale teraz musiano użyć starego pieca do spopielenia zwłok, który znajdował się we wschodniej stronie miasta, za bramami. Posterunek straży przesunięto dalej, a pewien urzędnik merostwa ułatwił znacznie zadanie władz, radząc użyć tramwajów, które dawniej obsługiwały skalną drogę nadmorską i stały teraz bezużyteczne. W tym celu przystosowano wnętrza wozów motorowych i przyczep, usuwając siedzenia; linia zawracała przy piecu, który w ten sposób stał się stacją krańcową.

Pod koniec lata, podobnie jak podczas deszczów jesiennych, co noc skalną drogą wspinały się dziwne orszaki tramwajów bez pasażerów, kołysząc się nad morzem. Mieszkańcy dowiedzieli się w końcu, co to jest. I mimo patroli broniących wejścia na

drogę ludzie dość często przedostawali się na skały sterczące nad falami i gdy przejeżdżały tramwaje, rzucali kwiaty do środka. Słychać było wówczas, jak tramwaje poskrzypują w letniej nocy, dźwigając ładunek kwiatów i trupów.

W każdym razie przez pierwsze dni ciężki i mdlący opar unosił się z rana nad wschodnimi dzielnicami miasta. Według opinii lekarzy, te wyziewy, choć nieprzyjemne, nie mogły zaszkodzić nikomu. Ale mieszkańcy owych dzielnic zagrozili, że je natychmiast opuszczą, przekonani, iż tym razem dżuma spadnie na nich z wysokości nieba; musiano więc skierować dym w inną stronę, stosując system skomplikowanych przewodów, i mieszkańcy się uspokoili. Tylko w dni gdy wiał wielki wiatr, nieokreślony zapach idący od wschodu przypominał im, że zapanował nowy porządek i że płomienie dżumy pożerają co wieczór złożoną sobie daninę.

Były to ostateczne konsekwencje epidemii. Na szczęście nie rozszerzyła się już potem, wolno bowiem przypuszczać, że pomysłowość naszych urzędów, dyspozycje prefektury, a nawet chłonność pieca mogłyby temu nie poddać. Rieux wiedział, że obmyślano rozpaczliwe sposoby, jak wrzucanie trupów do morza, i wyobrażał sobie z łatwością straszliwą pianę na niebieskiej wodzie. Wiedział również, że jeżeli statystyki będą szły w górę, żadna, najdoskonalsza nawet organizacja nie potrafi przeszkodzić temu, by ludzie wbrew prefekturze umierali gromadnie i gnili na ulicach i że miasto zobaczy, jak na placach publicznych umierający będą się czepiać żywych, słuszną nienawiść łącząc z głupią nadzieją.

Ta właśnie rzeczywistość czy lęk utrzymywały w naszych współobywatelach poczucie wygnania i rozłąki. Jeśli idzie o te sprawy, narrator żałuje ogromnie, że nie może przytoczyć tu nic, co byłoby naprawdę efektowne, jak krzepiący przykład jakiegoś bohatera czy olśniewający czyn, podobny do tych, które znajdujemy w starych opowiadaniach. Rzecz w tym, że nic nie jest mniej efektowne niż plaga; wielkie nieszczęścia, już dzięki swemu trwaniu, są monotonne. We wspomnieniu ludzi, którzy je przeżyli, straszne dni dżumy nie ukazują się jako wielkie i okrutne płomienie, lecz raczej jako nie kończące się dreptanie, miażdżące wszystko po drodze.

Nie, dżuma nie miała nic wspólnego z wielkimi, pełnymi egzaltacji obrazami, które prześladowały doktora Rieux na początku epidemii. Przede wszystkim była przezorną i nienaganną, dobrze funkcjonującą administracją. Biorąc to pod uwagę, powiedzmy to nawiasem, narrator, żeby niczemu się nie sprzeniewierzyć, a zwłaszcza żeby nie sprzeniewierzyć się samemu sobie, dążył do obiektywności. Nie chciał niemal



nie zmieniać efektami artystycznymi prócz tego, co wynika z elementarnych potrzeb relacji mającej zachować jakąś ciągłość. I właśnie obiektywność każe mu teraz powiedzieć, że choć wielkim cierpieniem tego okresu, najpowszechniejszym i najgłębszym, była rozłąka, choć trzeba koniecznie dać jej nowy opis w tym stadium dżumy, niemniej jest prawdą, że to cierpienie traciło wówczas swój patos.

Czy nasi współobywatele, a przynajmniej ci, którzy najbardziej cierpieli wskutek tej rozłąki, przyzwyczaili się do sytuacji? Nie byłoby zupełnie słusznie tak twierdzić. Dla dokładności należałoby powiedzieć, że zarówno moralnie, jak i fizycznie cierpieli, ponieważ stracili poczucie wszelkiej cielesności. Na początku dżumy pamiętali bardzo dobrze istotę, którą stracili, i czuli żal. Ale jeśli pamiętali wyraźnie kochaną twarz, jej śmiech, dzień, który wydawał im się teraz szczęśliwy, wyobrażali sobie z trudem, co ów drugi może robić o tej godzinie, kiedy go przywołują, i w miejscach teraz tak odległych. Słowem, w owych chwilach mieli dość pamięci, ale nie wystarczającą wyobraźnię. W drugim stadium dżumy stracili również pamięć. Nie zapomnieli tej twarzy, ale, co wychodzi na jedno, twarz stawała się bezcielesna, nie dostrzegali jej w sobie. I kiedy w pierwszych tygodniach skłonni byli się skarżyć, że w sprawach swej miłości mają do czynienia tylko z cieniami, spostrzegli się później, że te cienie mogą się stać jeszcze bardziej bezcielesne, tracąc najbliższą barwę, jakiej przydawało im wspomnienie. U końca tego długiego czasu rozłąki nie wyobrażali już sobie owej intymności, która była ich udziałem, ani tego, jak mogła żyć obok nich istota, której w każdej chwili mogli dotknąć ręką.

W tym względzie przyjęli porządek dżumy, tym bardziej skuteczny, im bardziej był przeciętny. Nikt u nas nie miał już wielkich uczuć. Ale wszyscy doznawali uczuć monottonnych. "Czas, żeby się to skończyło" — mówili nasi współobywatele, ponieważ podczas dżumy jest rzeczą normalną życzyć sobie końca cierpienia zbiorowych i ponieważ rzeczywiście życzyli sobie, żeby się one skończyły. Wszystko to mówiono jednak bez ognia czy goryczy, jak na początku, ale opierając się na kilku argumentach, które były dla nas jeszcze oczywiste i które były ubogie. Po wielkim, dzikim porywie pierwszych tygodni nastąpiło przygnębienie, które błędem byłoby brać za rezygnację, było ono jednak rodzajem prowizorycznej zgody.

Nasi współobywatele weszli w ten rytm, przystosowali się, jak to się powiada, nie sposób bowiem było postąpić inaczej. Naturalnie, zachowali jeszcze postawę nieszczęścia i cierpienia, lecz nie czuli już ich ostrza. Zresztą doktor Rieux uważał, na przykład, że to

właśnie było nieszczęściem i że przyzwyczajenie się do rozpacz jest gorsze niż sama rozpacz. Dawniej rozłączeni kochankowie nie byli naprawdę nieszczęśliwi, ich cierpienie miało w sobie światło, które teraz zgasło. Teraz widywano ich na rogu ulicy, w kawiarni lub u przyjaciół, spokojnych, roztargnionych i z tak bardzo znudzonym spojrzeniem, że dzięki nim całe miasto przypominało poczekalnię. Ci, którzy mieli jakieś zajęcie, wykonywali je w tempie dzumy, skrupulatnie i bez hałasu. Wszyscy byli skromni. Po raz pierwszy rozłączeni nie czuli wstrętu do rozmów o nieobecnych, do używania języka wszystkich, do rozpatrywania rozłąki tak samo jak statystyki epidemii. Jeśli aż dotąd zaciekle oddzielali swoje cierpienie od wspólnego nieszczęścia, teraz zgadzali się na ich pomieszanie. Pozbawieni pamięci i nadziei, ulokowali się w terażniejszości. Doprawdy wszystko stało się dla nich terażniejszością. Dżuma odebrała wszystkim siłę miłości, a nawet przyjaźni, trzeba to powiedzieć. Miłość bowiem żąda odrobiny przyszłości, a myśmy mieli tylko chwile.

Oczywiście, nic tu nie jest absolutne. Jeśli bowiem jest prawdą, że wszyscy rozłączeni doszli do tego stanu, należy dodać, że nie wszyscy w tym samym czasie, i jeśli przyjęli tę nową postawę, błyski, nawroty, nagłe oprzytomnienia wiodły ich ku odmłodzonej i bardziej bolesnej wrażliwości. Trzeba było do tego owych chwil nieuwagi, kiedy układali jakiś projekt, z którego wynikało, że dżuma ustała. Trzeba było, żeby poczuli niespodzianie, dzięki jakiejś łasce, ukąszenie bezprzedmiotowej zazdrości. Inni doświadczali również nagłego odrodzenia, otrząsali się z odrętwienia w pewne dni tygodnia, naturalnie w niedzielę i w sobotę po południu, ponieważ w czasach nieobecnego te dni były poświęcone pewnym rytuałom. Albo też jakaś melancholia, ogarniająca ich u schyłku dnia, dawała znać, co nie zawsze potwierdzało się zresztą, że wróci im pamięć. Ta godzina wieczorna, dla wierzących godzina rachunku sumienia, jest ciężka dla więźnia lub wygnańca, którzy mogą jedynie sprawdzać próżnię. Trzymała ich przez chwilę w zawieszeniu, potem znowu tępieli, zamykali się w dżumie.

Jest więc jasne, że rzecz polegała na wyrzeczeniu się tego, co najbardziej osobiste. Jeśli w pierwszych okresach dzumy odczuwali boleśnie drobnostki, które liczyły się tylko dla nich, nie istniejące dla innych, i w ten sposób doświadczali życia osobistego, teraz, na odwrót, interesowali się tym, co interesowało innych, ich myśli były myślami ogólnymi i nawet miłość przybrała dla nich twarz najbardziej abstrakcyjną. Tak bardzo byli wydani dżumie, że niekiedy nadzieje odnajdowali tylko we śnie i przyłapywali się na myśli: "Dymienice, i niech się to już skończy!" Ale spali już naprawdę i cały ten czas był tylko

długim snem. Miasto zaludniali ludzie śpiący z otwartymi oczyma, którzy wymykali się swemu losowi tylko w tych rzadkich chwilach, kiedy ich rana z pozoru zamknięta otwierała się nagle w nocy. Wyrwani ze snu dotykali jej z niejakim roztargnieniem, z irytacją na ustach, odnajdując w nagłym błysku swoje nagle odmłodzone cierpienie, a wraz z nim wstrząsającą twarz swej miłości. Rano wracali do zarazy, to znaczy do rutyny.

Ale powie ktoś, jak wyglądali ci rozłączeni? Cóż, to proste, wyglądali nijako. Albo, jeśli kto woli, wyglądali tak jak wszyscy. Podzielali spokój i dziecinne rozdrażnienie miasta. Stracili pozory krytycyzmu, zdobywając pozory zimnej krwi. Można było widzieć, na przykład, jak najbardziej inteligentni spośród nich udawali, że w gazetach lub audycjach radiowych szukają, jak wszyscy, racji, aby uwierzyć w rychły koniec dżumy; i jak doznawali złudnych nadziei czy nieuzasadnionych obaw przy lekturze rozważań, które jakiś dziennikarz napisał na chybił trafił, ziewając z nudy. Poza tym pili piwo lub pielęgowali swoich chorych, próżnowali lub padali ze znużenia, porządkowali karty kontrolne lub słuchali płyt, niczym poza tym nie różniąc się od siebie. Inaczej mówiąc, nie dokonywali już żadnego wyboru. Dżuma zniosła sądy wartościujące. Było to widoczne, nikogo bowiem nie interesowała na przykład jakość ubrań czy jedzenia, które kupował. Akceptowano wszystko hurtem. Można powiedzieć na koniec, że rozłączeni nie mieli już tego szczególnego przywileju, który ich chronił na początku. Stracili egoizm miłości i płynące stąd korzyści. Teraz przynajmniej sytuacja była jasna, zaraza dotyczyła wszystkich. My wszyscy, pośród detonacji rozlegających się u bram miasta, stawianych pieczętek, które skandowały nasze życie lub zgon, pośród pożarów i kart kontrolnych, grozy i formalności, wydani śmierci haniebnej, lecz zarejestrowanej, wśród okropnych dymów i spokojnych dzwonek ambulanсів, żywiliśmy się tym samym chlebem wygnania, czekając nieświadomie na to samo wstrząsające pojednanie i pokój. Nasza miłość na pewno wciąż trwała, ale po prostu była bezużyteczna, ciężka do udźwignięcia, bezwładna w nas, jałowa jak zbrodnia lub potępienie: Była tylko cierpliwością bez przyszłości i upartym czekaniem. Tu postawa niektórych naszych współobywateli przywodziła na myśl owe długie kolejki przed sklepami z żywnością we wszystkich stronach miasta. Była to ta sama rezygnacja i ta sama pobłażliwość, nieograniczona i bez złudzeń zarazem. Trzeba było tylko, jeśli idzie o rozłąkę, podnieść to uczucie na szczebel tysięcy razy wyższy, wtedy bowiem rzecz dotyczyła innego głodu, który mógł wszystko pochłonąć.

W każdym razie, jeśli chcemy mieć właściwe wyobrażenie o stanie ducha, w jakim znajdowali się ludzie rozłączeni w naszym mieście, należy znów przywołać owe niezmiennie wieczory, złożone i pełne kurzu, które spadały na miasto bez drzew, gdy mężczyźni i kobiety wychodzili na ulicę. Rzecz bowiem osobliwa, że ku nasłonecznionym jeszcze tarasom zamiast zgiełku pojazdów i motorów — zwykłej mowy miast — wznosił się ogromny huk głuchych kroków i głosów, bolesne szuranie tysiąca podeszew zrytmizowanych gwizdem zarazy w ciężkim niebie, nie kończące się stłumione dreptanie, które wypełniało powoli całe miasto i które, wieczór po wieczorze, wyrażało w sposób wierny i posepny ślepy upór, w naszych sercach zastępujący wówczas miłość.

## IV

Przez wrzesień i październik dżuma trzymała miasto zgięte w swym uścisku. Ponieważ rzecz polegała na dreptaniu, setki tysięcy ludzi dreptały podczas nie kończących się tygodni. Mgła, upał i deszcz następowały po sobie na niebie. Milczące chmury ptaków, drozdów ciągnących z południa, przelatywały bardzo wysoko, ale omijały miasto, jak gdyby maczuga Paneloux, dziwaczny kawał drewna obracający się z gwizdem nad domami, trzymała je na uboczu. Z początkiem października wielkie deszcze wymiotły ulice. I przez cały ten czas nie zdarzyło się nic ważniejszego od tego ogromnego dreptania.

Rieux i jego przyjaciele zrozumieli wówczas, jak bardzo byli zmęczeni. Doprawdy, ludzie z formacji sanitarnych nie trawili już tego zmęczenia. Doktor Rieux zdał sobie z tego sprawę, obserwując u swych przyjaciół i siebie samego postępy szczególnej obojętności. Ci ludzie na przykład, którzy aż dotąd okazywali tak żywe zainteresowanie dla wszystkich nowin dotyczących dżumy, nie zwracali już na nie żadnej uwagi. Rambert, któremu powierzono na razie jedną ze stacji kwarantanny, od niedawna znajdującą się w jego hotelu, znał doskonale liczbę ludzi, których miał pod obserwacją. Znał najdrobniejsze szczegóły systemu natychmiastowej ewakuacji, który zorganizował dla tych, u których można było zauważyć nagłe objawy choroby. Statystyki działania serum podczas kwarantanny wryły mu się w pamięć. Nie potrafił jednak podać tygodniowej liczby ofiar dżumy, nie wiedział w istocie, czy choroba rozwija się, czy cofa. I mimo wszystko, spodziewał się rychłej ucieczki.

Inni natomiast, pochłonięci pracą w dzień i w noc, nie czytali dzienników i nie słuchali radia. Kiedy oznajmiano im jakiś wynik, udawali, że to ich interesuje, ale naprawdę przyjmowali wiadomość z owym rodzajem roztargnionej obojętności, jaką przypisujemy uczestnikom wielkich wojen, którzy wyczerpani pracą, zajęci tylko tym, by nie osłabnąć w codziennych obowiązkach, nie spodziewają się już rozstrzygającej operacji ani zawieszenia broni.

Grand, nadal wykonujący obliczenia, jakich wymagała dżuma, na pewno nie potrafiłby podać ogólnych rezultatów choroby. W przeciwieństwie do Tarrou, Ramberta i Rieux, wyraźnie odpornych na zmęczenie, zawsze był słabego zdrowia. Teraz łączył funkcje urzędnika w merostwie z sekretarzowaniem u Rieux i swymi pracami nocnymi.

Znajdował się więc w stanie ciągłego wyczerpania, podtrzymywany kilkoma urojeniami, na przykład, że gdy dzuma się skończy, zafunduje sobie prawdziwe wakacje przynajmniej na tydzień i zajmie się wówczas na serio, "kapelusze z głów, panowie", tym, co miał w robocie. Ogarniały go też nagle rozrzewnienia i wówczas chętnie opowiadał doktorowi Rieux o Jeanne, zadając sobie pytanie, gdzie ona może być teraz i czy myśli o nim, gdy czyta gazety. Rieux pochwycił się pewnego dnia na tym, że jemu właśnie mówi o swojej żonie, i to w sposób najbardziej banalny, co nie zdarzało się nigdy dotychczas. Niepewny, czy należy ufać pocieszającym telegramom od żony, postanowił zadesperzować do naczelnego lekarza sanatorium, w którym się leczyła. W odpowiedzi otrzymał wiadomość o pogorszeniu i zapewnienie, że zostanie zrobione wszystko, żeby nie dopuścić do dalszego rozwoju choroby. Zachował te nowiny dla siebie i nie potrafił sobie wytłumaczyć czym innym jak zmęczeniem, że zwierzył się Grandowi. Urzędnik wprawdzie mówił o Jeanne, potem zapytał Rieux o jego żonę i doktor odpowiedział.

— Pan wie — rzekł Grand — te rzeczy leczy się teraz doskonale.

Rieux zgodził się, dodając jedynie, że rozłaka staje się zbyt długa i że pomógłby może żonie zwalczyć chorobę, gdy teraz musi się czuć całkiem samotna. Potem zamilkł i odpowiadał już tylko wymijająco na pytania Granda.

Inni znajdowali się w tym samym stanie. Tarrou był bardziej odporny, jego notatki wskazują jednak na to, że jeśli jego zainteresowania nie straciły na głębi, stały się mniej różnorodne. Przez cały ten okres pozornie zajmował się tylko Cottardem. Wieczorem u Rieux, do którego się przeniósł, odkąd hotel zamieniono na dom kwarantanny, ledwo słuchał Granda czy doktora oznajmiającego wyniki. Natychmiast skierowywał rozmowę na drobne szczegóły życia orańskiego, które interesowały go najbardziej.

Jeśli mowa o Castelu, to w dniu kiedy oznajmił on doktorowi Rieux, że serum jest gotowe, i kiedy postanowili dokonać pierwszej próby na synku pana Othona, którego przywieziono do szpitala (jego wypadek wydawał się Rieux beznadziejny), doktor przytaczał właśnie staremu przyjacielowi ostatnie statystyki; nagle zauważył, że Castel śpi głębokim snem w swym fotelu. I widząc tę twarz, tak zawsze młodą dzięki wyrazowi łagodności i ironii, twarz nagle bezsilną, zużytą, starą, z pasemkiem śliny spływającej z na wpół otwartych ust, Rieux poczuł, jak ściska mu się gardło.

Te słabości pozwoliły Rieux ocenić własne zmęczenie. Nie panował nad swoją wrażliwością. Ta wrażliwość, najczęściej stłumiona, stwardniała i wyschnięta, pękała

niekiedy i wydawała go wzruszeniom, nad którymi nie miał już władzy. Jediną obroną było schronić się w tej stwardniałości, zacisnąć węzeł, który się w nim uformował. Wiedział, że to dobry sposób, żeby nie ustawać. Co do reszty nie miał wielkich złudzeń, a zmęczenie odebrało mu te, które zachował jeszcze. Wiedział bowiem, że na okres, którego końca nie dostrzegał, jego rola nie polegała już na leczeniu. Jego rola polegała na stawianiu diagnozy. Stwierdzić, zobaczyć, opisać, zarejestrować, potem skazać, takie było jego zadanie. Żony chwytaly go za przegub ręki, krzycząc: "Doktorze, niech go pan uratuje!" Ale nie po to był tutaj, żeby ratować, był po to, żeby zarządzić izolację. Do czego służyła nienawiść, którą czytał na twarzach? "Pan nie ma serca" — powiedziano mu pewnego dnia. Ależ tak, miał serce. Służyło mu do tego, by mógł wytrzymać dwadzieścia godzin na dobę, podczas których widział, jak umierają ludzie stworzeni do życia. Służyło mu do tego, by mógł rozpoczynać każdego dnia na nowo. Na to miał dość serca. Jak to serce mogło dać życie? Nie, w ciągu dnia nie udzielał pomocy, ale informacji. Oczywiście tego nie można nazwać zawodem człowieka. Lecz w końcu, komu z tego sterroryzowanego i zdziętkowanego tłumu pozostawiono wolny czas na zawód człowieka? I tak, na szczęście, było jeszcze zmęczenie. Gdyby Rieux czuł się lepiej, ten wszędzie obecny zapach śmierci mógłby go uczynić sentymentalnym. Ale człowiek, który śpi tylko cztery godziny, nie jest sentymentalny. Widzi rzeczy takimi, jakimi są, to znaczy wedle sprawiedliwości, ohydnej i śmiechu wartej sprawiedliwości. I tamci, skazani, czują to również. Przed dzumą przyjmowali go jak zbawcę. Załatwiał wszystko za pomocą trzech pigułek i zastrzyku; ściskano go za ramię, odprowadzając korytarzem. Było to pochlebne, ale niebezpieczne. Teraz natomiast zjawiał się w towarzystwie żołnierzy, trzeba było walić kolbą, żeby rodzina zdecydowała się otworzyć. Chcieliby zawlec go ze sobą, zawlec w śmierć całą ludzkość. Ach, to prawda, że ludzie nie mogą obejść się bez ludzi, że był równie wyzutny jak ci nieszczęśliwi i zasługiwał na ten sam dreszcz litości, który czuł w sobie, narastający, kiedy ich opuścił.

Takie były w każdym razie myśli, jakie roztrząsał doktor Rieux podczas tych nie kończących się tygodni wraz z myślami odnoszącymi się do jego sytuacji — człowieka rozłączonego z drugą istotą. Były to również myśli, których refleksy czytał na twarzach przyjaciół. Ale najniebezpieczniejszym skutkiem wyczerpania, powoli ogarniającym tych wszystkich, którzy nadal prowadzili walkę z zarazą, nie była owa obojętność na wypadki zewnętrzne i przeżycia innych, ale zaniedbanie, na jakie sobie pozwalali. Nabrali bowiem wówczas skłonności do unikania wszelkich gestów, które nie były najbardziej konieczne i

które zawsze wydawały im się ponad siły. Tak więc ci ludzie doszli do tego, że lekceważyli coraz częściej reguły higieny, które ustalili, zapominali o licznych zabiegach dezynfekcyjnych, jeśli szło o nich samych, i nie zabezpieczywszy się przeciw zarażeniu, spieszyli niekiedy do chorych dotkniętych dżumą płucną; uprzedzeni bowiem w ostatniej chwili, że trzeba się udać do zakażonych domów, nie potrafili zdobyć się na powrót do jakiegoś miejsca, gdzie mogli zaaplikować sobie niezbędne wkraplania. Tu kryło się prawdziwe niebezpieczeństwo, ponieważ właśnie walka z dżumą czyniła ich wówczas najbardziej podatnymi na chorobę. Stawiali na przypadek, a przypadek nie jest niczyją własnością.

Jednakże był w mieście człowiek, który nie zdawał się wyczerpany ani zniechęcony i który pozostał żywym wizerunkiem zadowolenia. Był to Cottard. Nadal trzymał się na uboczu, zachowując wszakże stosunki z innymi. Ale wybrał Tarrou i widywał się z nim tak często, jak praca Tarrou na to pozwalała, z jednej strony dlatego, że Tarrou dobrze znał jego sprawę, z drugiej zaś dlatego, że przyjmował rentiera z niezmierną serdecznością. Był to nieustający cud: Tarrou, mimo uciążliwej pracy, wciąż zachowywał się życzliwie i uważnie. Nawet jeśli w niektóre wieczory padał ze zmęczenia, nazajutrz odnajdywał znów energię. "Z nim można rozmawiać — powiedział Cottard do Ramberta — bo to jest człowiek. Zawsze cię zrozumie". Dlatego notatki Tarrou z owego okresu skupiają się z wolna na postaci Cottarda. Tarrou spróbował dać obraz reakcji i myśli Cottarda w tej formie, w jakiej ów o nich mówił, albo we własnej interpretacji. Ten obraz pod tytułem "Stosunki Cottarda z dżumą" zajmuje kilka stron notatnika i narrator uważa, że należy tu przytoczyć ich streszczenie. Ogólna opinia Tarrou o rentierze zamyka się w sądzie: "To człowiek, który rośnie". Najwidoczniej zresztą rósł jego dobry humor. Nie był niezadowolony z obrotu wypadków. Niekiedy zwierzał Tarrou swój pogląd w uwagach tego rodzaju: "Oczywiście, nie jest lepiej. Ale przynajmniej wszyscy są w tym samym sosie". "Naturalnie — dodawał Tarrou — Cottard jest tak samo zagrożony jak inni, ale rzecz w tym, że razem z innymi. Zresztą jestem pewien, że nie myśli poważnie o tym, by mógł zachorować na dżumę. Wygląda mi na to, że żyje myślą, niegłupią zresztą, iż człowiek wydany na pastwę wielkiej choroby czy głębokiego lęku jest tym samym wolny od wszystkich innych chorób czy lęków. «Czy zauważył pan — powiedział — że nie można łączyć chorób? Przypuśćmy, że jest pan chory na chorobę ciężką czy nieuleczalną, raka czy zaawansowaną gruźlicę, nie złapie pan nigdy dżumy czy tyfusu, to niemożliwe. Co więcej, nigdy nie zdarza się, żeby człowiek chory na raka zginął



w wypadku samochodowym». Ta myśl, prawdziwa czy fałszywa, wprawia Cottarda w dobry humor. Jednego tylko nie chce: oddzielenia od innych. Woli być obleżony wraz ze wszystkimi niż sam zostać więźniem. Podczas dżumy nie ma sekretnych ankiet, aktów, kartotek, tajemniczych przesłuchiwań i bliskiego aresztowania. Prawdę mówiąc, nie ma policji, nie ma zbrodni dawnych lub nowych, nie ma winowajców, są tylko skazani, którzy oczekują najbardziej arbitralnej z łask, a do nich należą również policjanci". Tak więc Cottard według interpretacji Tarrou miał podstawy, żeby patrzeć na objawy lęku lub zamętu u naszych współobywateli z tą pobłażliwą i rozumiejącą satysfakcją, która wyraża się w słowach: "Mówcie, co chcecie, znałem to przed wami".

"Na próżno powiedziałem mu, że jedyny sposób, by nie być oddzielonym od innych, to czyste sumienie; spojrział na mnie złośliwie i rzekł: «W takim razie nikt nie jest nigdy z nikim». I potem: «Może pan być tego pewien, powiadam panu. Jedyny sposób, żeby ludzie byli razem, to zesłać im dżumę. Niech pan rozejrzy się wokół siebie». Doprawdy, rozumiem doskonale, co ma na myśli i o ile życie obecne powinno mu się wydawać wygodniejsze. Jakże nie rozpoznałby reakcji, które były jego reakcjami; starań, żeby zjednać sobie wszystkich; uprzejmości, z jaką informuje się niekiedy zabłąkanego przechodnia, innym razem okazując mu zły humor; pośpiechu, z jakim ludzie biegną do luksusowych restauracji, zadowolenia, kiedy się w nich znajdują i mogą rozgościć; bezładnej ciżby stojącej co dzień w kolejkach do kina, wypełniającej sale widowisk i dansingów, która jak rozszalały przypływ zalewa wszystkie miejsca publiczne; ucieczki przed wszelkim kontaktem, pragnienie ciepła ludzkiego, które mimo wszystko popycha ludzi ku sobie, łokcie ku łokciom, płeć ku płci? Cottard znał to wszystko przed nimi, to jasne. Prócz kobiet, bo z jego twarzą... I przypuszczam, że kiedy miał ochotę pójść na dziewczynki, odmawiał sobie tego, żeby nie być w złym stylu, co mogłoby mu potem zaszkodzić.

Słowem, dżuma mu dogadza. Z człowieka samotnego, który samotnym być nie chciał, czyni współwinowajcę. Jest to bowiem najwyraźniej współwinowajca, i to współwinowajca, który się delektuje. Jest współwinowajcą wszystkiego, co widzi, przesądów, nieuzasadnionych obaw, podejrzliwości tych zaalarmowanych dusz; ich manii, żeby mówić możliwie najmniej o dżumie i zarazem nie przestawać o niej mówić; ich oszalałego niepokoju i bladości przy najmniejszym bólu głowy, odkąd wiedzą, że choroba zaczyna się od bólów głowy; ich wrażliwości rozdrażnionej, podejrzliwości

niestajej, która z zapomnienia czyni obrazę i która zamartwia się utratą guzika od spodni".

Często zdarzało się, że Tarrou wychodził wieczorem z Cottardem. Opowiadał później w swoich notatkach, jak o zmierzchu czy w nocy zanurzali się w ciemnym tłumie, ramię przy ramieniu, pogrążając się w biało-czarnej masie, na którą jakaś lampa z rzadka rzucała blask, i towarzysząc trzodzie ludzkiej w wędrówce ku przyjemnościom pełnym żaru, chroniącym ją przed chłodem dżumy. Cały lud zdązał ku temu, czego przed kilku miesiącami szukał Cottard w miejscach publicznych, ku zbytowski i szerokiemu życiu, ku temu, o czym marzył, nie mogąc swego pragnienia zaspokoić, to znaczy ku wyuzdanej rozkoszy. Ceny wszystkiego niepoohamowanie szły w górę, ale nigdy nie trwoniono tyle pieniędzy, i gdy większości ludzi brakło rzeczy koniecznych, w najlepsze marnowano bogactwa. Mnożyły się zabawy próżniactwa, które było przecież bezrobociem. Tarrou i Cottard szli niekiedy długą chwilę za jedną z tych par, które dawniej usiłowały ukryć to, co je łączy; teraz przyciśnięci jedno do drugiego, kroczyli uparcie przez miasto, nie widząc otaczającego ich tłumu, z nieodmiennym roztargnieniem, które towarzyszy wielkim namiętnościom. Cottard rozczulał się: "Ach, zuchy!" Mówił głośno, wśród powszechnej gorączki cieszył się królewskimi napiwkami, które pobrzękiwały wokoło, i intrygami, które zawiązywały się na ich oczach.

Jednakże Tarrou uważał, że w postawie Cottarda niewiele jest złośliwości. Jego: "Znałem to przed wami", świadczyło bardziej o nieszczęściu niż o triumfie. "Wydaje mi się — mówił Tarrou — że on zaczyna kochać tych ludzi uwięzionych pomiędzy niebem a murami miasta. Gdyby mógł, wytłumaczyłby im na przykład chętnie, że to nie takie straszne: «Słyszysz pan, co mówią: po dżumie zrobię to, po dżumie zrobię tamto... Zatrzuwają sobie życie zamiast zachować spokój. Nie zdają sobie nawet sprawy ze swych korzyści. Czy mógłbym powiedzieć: po moim aresztowaniu zrobię to lub tamto? Aresztowanie to początek, a nie koniec. Podczas gdy dżuma... Chce pan znać moje zdanie? Są nieszczęśliwi, ponieważ nie zgadzają się na swój los. Wiem, co mówię».

Rzeczywiście wie, co mówi — dodawał Tarrou. Ocenia we właściwy sposób sprzeczności mieszkańców Oranu; czując głęboką potrzebę ciepła, które ich ku sobie zbliża, nie pozwalają sobie jednak na nie, ponieważ nieufność z kolei oddala jednych od drugich. Wiedzą zbyt dobrze, że nie wolno mieć zaufania do sąsiada, który bez twojej wiedzy może ci przynieść dżumę i skorzystać z twojej nieuwagi, by cię zarazić. Kiedy ktoś, jak Cottard, spędzał czas na upatrywaniu potencjalnych donosicieli we wszystkich,

których towarzystwa mimo to szukał, może zrozumieć to uczucie. Rozumie doskonale ludzi, którzy żyją z myślą, że dzuma może im nagle położyć rękę na ramieniu i że w chwili kiedy człowiek cieszy się, iż jest jeszcze zdrów i cały, ona szykuje się może, żeby to zrobić. O ile to jest możliwe, dogadza mu strach. Ponieważ jednak czuł to wszystko przed nimi, sądzę, że nie może z nimi doświadczać w pełni okrucieństwa tej niepewności. Słowem, wraz z nami wszystkimi, którzy nie zmarliśmy jeszcze na dżumę, czuje, że jego wolność i życie są co dzień u progu unicestwienia. Ponieważ sam żył w strachu, uważa za normalne, że inni go zaznają z kolei. Dokładniej mówiąc, strach wydaje mu się mniej ciężki do udźwignięcia, niż wówczas gdy odczuwał go zupełnie sam. Tu właśnie nie ma racji i trudniej go zrozumieć niż innych. Ale w końcu z tego względu zasługuje bardziej niż inni, żeby go zrozumieć".

Te stronice kończą opowiadanie ilustrujące ową szczególną świadomość, którą Cottard zdobywał razem z zadżumionymi. Opowiadanie odtwarza w przybliżeniu trudną atmosferę tego okresu i dlatego narrator przywiązuje do niego wagę.

Wybrali się do Opery Miejskiej, gdzie grano *Orfeusza i Eurydykę*. Cottard zaprosił Tarrou. Była to trupa, która na wiosnę przyjechała na występy do naszego miasta. Zatrzymana przez chorobę, musiała dawać jedno przedstawienie w tygodniu, zgodnie z umową zawartą z naszą Operą. Od miesięcy więc w naszym teatrze miejskim rozbrzmiewały co piątek melodyjne skargi Orfeusza i bezsilne wołania Eurydyki. Spektakl podobał się jednak publiczności i stale przynosił duże dochody. Cottard i Tarrou, siedząc na najdroższych miejscach, górowali nad parterem wypełnionym po brzegi przez naszych najelegantszych współobywateli. Wchodzący na salę najwyraźniej chcieli zaprezentować się jak najlepiej. W olśniewającym świetle proscenium, podczas gdy muzycy stroili dyskretnie instrumenty, sylwetki odcinały się wyraźnie, przechodziły z jednego rzędu do drugiego, kłaniały się z wdziękiem. Przy lekkim gwarze rozmów w dobrym tonie ludziom wracała pewność, której brak im było kilka godzin przedtem na czarnych ulicach miasta. Frak wypędzał dżumę.

Przez cały pierwszy akt Orfeusz skarżył się z łatwością, kilka kobiet w tunikach komentowało z wdziękiem jego nieszczęście i opiewało miłość w ariach. Sala reagowała z dyskretnym ciepłem. Zaledwie zauważono, że do arii z drugiego aktu Orfeusz dodał kilka tremolów, których tam nie było, i z nadmiernym nieco patosem prosił władcę piekieł, by dał się wzruszyć jego łzom. Jego gesty, chwilami gwałtowne, najbardziej świadomym rzeczy wydały się efektem stylizacyjnym, który wzbogacał tylko interpretację śpiewaka.

Dopiero w wielkim duecie Orfeusza i Eurydyki w trzecim akcie (moment, kiedy Eurydyka wymyka się swemu kochankowi) niejaki zdumienie ogarnęło salę. I jak gdyby śpiewak czekał tylko na to poruszenie się publiczności albo, co pewniejsze jeszcze, jak gdyby hałas idący z parteru upewnił go w tym, co czuł, wybrał tę chwilę, i w swym antycznym stroju, z rękami odsuniętymi od ciała i nogami rozkraczonymi w sposób groteskowy, podszedł do rampy i runął pośrodku sielankowej dekoracji, zawsze anachronicznej, która w tej postaci ukazała się jednak oczom widzów po raz pierwszy, i to w straszny sposób. W tej samej chwili bowiem orkiestra zamilkła, ludzie z parteru wstali i zaczęli powoli opuszczać salę, naprzód w ciszy, tak jak po skończonym nabożeństwie wychodzi się z kościoła lub po wizycie z pokoju zmarłego, kobiety przytrzymując spódnice, z głową opuszczoną, mężczyźni prowadząc swe towarzyski za łokieć, żeby nie uderzyły się o straponteny. Ale po chwili ludzie zaczęli się spieszyć, szepty przeszły w wołania i tłum szybko popłynął ku wyjściom, by w końcu przepychać się z krzykiem. Cottard i Tarrou, którzy tylko podnieśli się z miejsc, pozostali sami, twarzą w twarz z jednym z obrazów ich ówczesnego życia: dzuma na scenie pod postacią wyjącego histriona, na sali zaś, gdzie cały przepych stał się bezużyteczny, zapomniane wachlarze i koronki porzucone na czerwieni foteli.

Przez pierwsze dni września Rambert pracował bez przerwy u boku Rieux. Prosił tylko o zwolnienie na dzień, kiedy miał się spotkać z Gonzalesem i dwoma młodymi ludźmi przed liceum męskim.

Tego dnia, w południe, Gonzales i dziennikarz ujrzeli dwóch chłopców zbliżających się do nich ze śmiechem. Powiedzieli, że nie poszczęściło się poprzednim razem, ale należało się tego spodziewać. W każdym razie w tym tygodniu nie mają służby. Trzeba poczekać do przyszłego tygodnia. Zaczną na nowo. Gonzales zaproponował spotkanie w następnym poniedziałek. Ale tym razem Rambert zamieszka u Marcela i Louisa.

— Umówmy się zatem. Jeśli nie stawię się, pójdziesz prosto do nich. Wytłumaczę ci, gdzie mieszkają.

Ale Marcel czy Louis oświadczył, że najprościej będzie zaprowadzić tam kolegę od razu. Jeśli nie jest wymagający, wystarczy jedzenia dla wszystkich czterech. W ten sposób będzie mógł się zorientować. Gonzales powiedział, że to dobry pomysł, i zeszli w stronę portu.

Marcel i Louis mieszkali u końca dzielnicy de la Marine, niedaleko bram, które wychodziły na drogę skalną. Był to mały hiszpański dom o grubych murach, okiennicach z malowanego drewna i nagich cienistych pokojach. Na obiad był ryż, który podała matka młodzieńców, stara uśmiechnięta Hiszpanka o twarzy pełnej zmarszczek. Gonzales zdziwił się, ryżu brakło już bowiem w mieście. "Zawsze można to załatwić, kiedy pracuje się przy bramach" — rzekł Marcel.

Rambert jadł i pił, i Gonzales powiedział, że to prawdziwy kolega, podczas gdy dziennikarz myślał tylko o czekającym go tygodniu.

W istocie trzeba było czekać dwa tygodnie, ponieważ strażę zmieniano teraz co piętnaście dni, żeby ograniczyć liczbę ekip. Przez te dwa tygodnie Rambert pracował nie oszczędzając się, nieprzerwanie, z oczami niejako zamkniętymi, od świtu do nocy. Kładł się późno i spał ciężkim snem. Nagłe przejście od próżnowania do tej wyczerpującej pracy odebrało mu siłę, nie śnił już po nocach. Mało mówił o swej bliskiej ucieczce. Jedną rzecz jest godna zanotowania: przy końcu tygodnia zwierzył się doktorowi, że poprzedniej nocy upił się po raz pierwszy. Wyszedłszy z baru doznał nagle wrażenia, że puchną mu pachwiny, a ramiona z trudem obracają się w stawach. Pomyślał, że to dżuma. I jedyne, co mógł uczynić (zgadza się z Rieux, że nie była to rozsądna reakcja), to biec w górę miasta i tam, na małym placu, skąd wciąż nie widać morza, ale skąd widać trochę więcej nieba, wezwać swą żonę wielkim krzykiem, ponad murami miasta. Gdy wrócił do domu i nie odkrył na swym ciele żadnej z oznak infekcji, nie był zbyt dumny z tego nagłego ataku. Rieux powiedział, że rozumie bardzo dobrze, iż można postąpić w ten sposób. "W każdym razie — rzekł — może się zdarzyć, że ma się na to ochotę".

— Pan Othon mówił mi dziś rano o panu — dodał nieoczekiwanie, kiedy Rambert już odchodził. — Zapytał, czy pana znam. "Niech mu pan poradzi, rzekł, żeby nie bywał w kołach kontrabandy. Zwraca uwagę".

— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że musi się pan pospieszyć.

— Dziękuję — rzekł Rambert, ściskając rękę doktora.

Przy drzwiach odwrócił się nagle. Rieux zauważył, że uśmiecha się po raz pierwszy od początku dżumy.

— Dlaczego nie przeszkadza mi pan wyjechać? Ma pan przecież sposoby.

Rieux skinął głową zwykłym sobie ruchem i powiedział, że to sprawa Ramberta, że Rambert wybrał szczęście i że on, Rieux, nie ma argumentów, które mógłby mu przeciwstawić. Nie czuje się zdolny do osądzenia, co jest dobre, a co złe w tej sprawie.

— Jeśli tak, dlaczego mówi mi pan, żebym się spieszył?

Z kolei Rieux się uśmiechnął.

— Dlatego że ja może również mam ochotę uczynić coś dla szczęścia.

Nazajutrz nie mówili już o niczym, ale pracowali razem. W następnym tygodniu Rambert zamieszkał wreszcie w małym domku hiszpańskim. We wspólnym pokoju zrobiono mu posłanie. Ponieważ młodzi ludzie nie wracali na posiłki i ponieważ proszono go, żeby wychodził możliwie najmniej, był najczęściej sam albo rozmawiał ze starą Hiszpanką. Była sucha i żywa, odziana czarno, o twarzy brązowej i pomarszczonej pod białymi, bardzo schludnymi włosami. Kiedy patrzyła na Ramberta, uśmiechała się tylko oczami w milczeniu.

Czasem pytała go, czy nie boi się, że zarazi żonę dżumą. Rambert odpowiadał, że jest pewne ryzyko, ale w końcu niewielkie, zostając zaś w mieście ryzykuje, że będą rozdzieleni na zawsze.

— Czy ona jest miła? — mówiła stara z uśmiechem.

— Bardzo miła.

— Ładna?

— Chyba tak.

— Ach — powiedziała — to dlatego.

Rambert zastanawiał się. Na pewno dlatego, ale niemożliwe, żeby tylko dlatego.

— Pan nie wierzy w Pana Boga? — pytała stara, która chodziła co dzień na mszę.

Rambert przyznał, że nie, i stara powiedziała znów, że to dlatego.

— Musi pan do niej wrócić, ma pan rację. W przeciwnym razie, co panu zostaje?

Przez resztę czasu Rambert kręcił się w kółko wśród nagich i otynkowanych murów, głaszcząc wachlarze przybite do ścian lub licząc wełniane kulki kończące frędzle serwety na stole. Wieczorem wracali młodzi ludzie. Nie mówili dużo, powtarzali tylko, że moment jeszcze nie nadszedł. Po kolacji Marcel grał na gitarze i pili likier anyżowy. Rambert jak gdyby zastanawiał się.

W środę Marcel wrócił mówiąc: "Jutro wieczór, o północy. Bądź gotów". Z dwóch ludzi pełniących wraz z nimi służbę jeden zachorował na dżumę, a drugi, który mieszkał zazwyczaj z tamtym, był pod obserwacją. Tak więc przez dwa albo trzy dni Marcel i Louis

będą sami. W nocy załatwią ostatnie szczegóły. Więc jutro. Rambert podziękował. "Pan jest zadowolony?" — zapytała stara. Powiedział, że tak, ale myślał o czym innym.

Nazajutrz niebo było ciężkie, upał wilgotny i duszący. Wiadomości dotyczące dzumy były kiepskie. Stara Hiszpanka zachowywała jednak pogodę. "Na świecie jest grzech — mówiła — nie ma więc sposobu!" Podobnie jak Marcel i Louis, Rambert był nagi do pasa. Mimo to jednak pot spływał mu po ramionach i piersi. W półmroku, przy zamkniętych okiennicach, torsy ich były brązowe i lśniące. Rambert kręcił się w kółko, nie mówiąc słowa. Nagle, o czwartej po południu, ubrał się i powiedział, że wychodzi.

— Uwaga — rzekł Marcel — o północy. Wszystko jest gotowe.

Rambert udał się do doktora. Matka Rieux powiedziała Rambertowi, że znajdzie go w szpitalu w górze miasta. Wciąż ten sam tłum kręcił się przy posterunku straży. "Przechodzić" — mówił sierżant o gałkowatych oczach. Tamci przechodzili, ale ciągle w koło. "Nie ma na co czekać" — mówił sierżant, któremu pot występował na kurtkę. Tamci byli tego samego zdania, ale mimo zabójczego upału pozostawali na miejscu. Rambert pokazał swoją przepustkę sierżantowi, który skierował go do biura Tarrou. Drzwi biura wychodziły na podwórze. Spotkał ojca Paneloux, który stamtąd wracał.

W małym, białym i brudnym pokoju, gdzie czuć było aptekę i wilgotnym sukniem, Tarrou, siedząc przy biurku z czarnego drewna, z podwiniętymi rękawami koszuli, chustką wycierał pot, który spływał mu do zgięcia w łokciu.

— Jeszcze tutaj? — powiedział.

— Tak, chciałbym zobaczyć się z Rieux.

— Jest u chorych. Ale byłoby lepiej, gdyby to dało się załatwić bez niego.

— Dlaczego?

— Jest przemęczony. Oszczędzam go, jak mogę.

Rambert patrzył na Tarrou. Tarrou schudł. Zmęczenie przytępiło mu spojrzenie i rysy. Mocne ramiona tworzyły kulistą bryłę. Zapukano do drzwi i wszedł pielęgniarz w białej masce. Położył na biurku Tarrou paczkę kart kontrolnych i głosem, który tłumilo płótno, powiedział tylko: "Sześciu", po czym wyszedł. Tarrou spojrział na dziennikarza i pokazał mu kartki, które rozłożył na kształt wachlarza.

— Piękne kartki, co? To są zmarli. Zmarli w nocy. Na czoło wystąpiły mu zmarszczki. Złożył paczkę kart kontrolnych.

— Jedyne, co nam pozostaje, to buchalteria.

Tarrou wstał, opierając się o stół.

— Wyjeżdża pan wkrótce?

— Dzisiaj, o północy.

Tarrou powiedział, że się cieszy i że Rambert powinien uważać na siebie.

— Czy pan to mówi szczerze?

Tarrou wzruszył ramionami.

— W moim wieku siłą rzeczy jest się szczerym. Kłamstwo jest zbyt męczące.

— Chciałbym widzieć doktora — powiedział dziennikarz. — Niech mi pan wybacz.

— Wiem. Jest bardziej ludzki niż ja. Chodźmy.

— Nie w tym rzecz — powiedział Rambert z trudem. I urwał.

Tarrou spojrział i uśmiechnął się nagle do niego.

Ruszyli małym korytarzem o ścianach pomalowanych na jasnozielony kolor, gdzie światło było jak w akwariium. Tuż przed podwójnymi oszklonymi drzwiami, za którymi poruszały się dziwaczne cienie, Tarrou wprowadził Ramberta do małej salki, której ściany były całkowicie wypełnione szafami. Tarrou otworzył jedną z szaf, wyjął ze sterylizatora dwie maski z higroskopijnej gazy, podał jedną Rambertowi i poprosił, żeby ją włożył. Dziennikarz zapytał, czy to pomaga, i Tarrou odparł, że nie, ale budzi ufność w innych.

Pchnęli oszklone drzwi. Była to ogromna sala o szczelnie zamkniętych oknach mimo pory roku. W górze warczały wentylatory, ich zgięte śmigła mieszały ciężkie i przegrzane powietrze nad dwoma rzędami szarych łóżek. Ze wszystkich stron wznosiły się głucho albo przenikliwe jęki, składające się na monotonną skargę. Biału ubrani mężczyźni poruszali się powoli w bezlitosnym świetle idącym od wysokich, otoczonych prętami otworów. Rambert poczuł się nieswojo w okropnym upale tej sali i z trudem rozpoznał Rieux pochylonego nad jednym z jęczących kształtów. Doktor nacinał pachwiny chorego, który leżał rozkrzyżowany; trzymali go dwaj pielęgniarze stojący po obu stronach łóżka. Doktor się wyprostował, opuścił narzędzia na tacę, którą podsunął mu pomocnik, i stał przez chwilę nieruchomo, patrząc na pacjenta; bandażowano go właśnie.

— Co nowego? — zapytał Rieux Tarrou, który podszedł do niego.

— Paneloux zgadza się zastąpić Ramberta w domu kwarantanny. Dużo już zrobił. Pozostanie do przegrupowania trzecia ekipa badania terenu, bez Ramberta.

Rieux skinął twierdząco głową.



— Castel zakończył pierwsze przygotowania. Proponuje zrobić próbę.

— O — powiedział Rieux — to dobrze.

— Jest tu Rambert.

Rieux się odwrócił. Na widok dziennikarza zmrużył oczy nad maską.

— Co pan tu robi? — zapytał. — Powinien pan być gdzie indziej.

Tarrou powiedział, że to dziś o północy, i Rambert dodał: "W zasadzie".

Za każdym razem, gdy któryś z nich mówił, maska gazowa wzdymała się i wilgotniała w okolicy ust. Na skutek tego rozmowa stawała się trochę nierzeczywista, niczym dialog posągów.

— Chciałbym z panem porozmawiać — powiedział Rambert.

— Wyjdziemy razem, jeśli pan zechce. Niech pan poczeka na mnie w gabinecie Tarrou.

W chwilę potem Rambert i Rieux usiedli z tyłu w samochodzie doktora. Prowadził Tarrou.

— Nie ma już benzyny — powiedział Tarrou, ruszając — z miejsca. — Jutro pójdziemy pieszo.

— Doktorze — powiedział Rambert — nie wyjeżdżam i chcę zostać z wami.

Tarrou nie poruszył się. Prowadził dalej. Rieux jak gdyby nie mógł wynurzyć się ze swego zmęczenia.

— A ona? — zapytał głuchym głosem.

Rambert powiedział, że się nad tym zastanawiał, że nadal wierzy w to, w co wierzył, ale byłoby mu wstyd, gdyby wyjechał. Przeszkodziłoby mu to kochać kobietę, którą zostawił. Ale Rieux wyprostował się i rzekł pewnym głosem, że to głupie i że nie ma wstydu w wyborze szczęścia.

— Tak — powiedział Rambert — ale może być wstyd, że człowiek jest sam tylko szczęśliwy.

Tarrou, który dotychczas milczał, zauważył nie odwracając głowy, że jeśli Rambert chce dzielić nieszczęście ludzi, nie będzie miał nigdy czasu na szczęście. Trzeba wybierać.

— Nie chodzi o to — powiedział Rambert. — Zawsze myślałem, że jestem obcy w tym mieście i że nie mam tu z wami nic wspólnego. Ale teraz, kiedy zobaczyłem to, co zobaczyłem, wiem, że jestem stąd, czy chcę tego, czy niej chcę. Ta sprawa dotyczy nas wszystkich.

Nikt nie odpowiedział i Rambert zdawał się zniecierpliwiony.

— Wiecie o tym zresztą dobrze! W przeciwnym razie co robiliście w tym szpitalu? Czy dokonaliście więc wyboru i wyrzekli się szczęścia?

Ani Tarrou, ani Rieux nie odpowiadali. Milczenie trwało długo, dopóki nie zbliżyli się do domu doktora. Rambert powtórzył ostatnie pytanie z jeszcze większą siłą. Tylko Rieux odwrócił się w jego stronę. Podniósł się z trudem.

— Niech mi pan wybaczy — powiedział — ale nie wiem. Niech pan zostanie z nami, jeśli pan tego chce.

Auto skręcało; zamilkł. Potem podjął, patrząc przed siebie:

— Nic w świecie nie jest warte, żeby człowiek odwrócił, się od tego, co kocha. A jednak ja także się odwracam, sam nie wiedząc dlaczego.

I opadł na siedzenie.

— To fakt, tylko tyle — rzekł ze zmęczeniem. — Zarejestrujemy go i wyciągniemy wnioski.

— Jakie wnioski? — zapytał Rambert.

— Ach — powiedział Rieux — nie można jednocześnie leczyć i wiedzieć. Leczymy więc jak najszybciej. To pilniejsze.

O północy Tarrou i Rieux robili dla Ramberta plan dzielnicy, którą miał zbadać, kiedy Tarrou rzucił okiem na zegarek. Podnosząc głowę, napotkał spojrzenie Ramberta.

— Czy pan uprzedził?

Dziennikarz odwrócił oczy.

— Posłałem kartkę — powiedział z wysiłkiem — zanim przyszedłem do was.

Serum Castela wypróbowano pod koniec października. Praktycznie biorąc, to serum było ostatnią nadzieją Rieux. Doktor był przekonany, że nowa porażka uzależniłaby miasto od kaprysów choroby: albo epidemia trwałaby nadal przez długie jeszcze miesiące, albo też nagle zatrzymałaby się bez powodu.

W przeddzień wizyty Castela u Rieux zachorował synek pana Othona i cała rodzina miała rozpocząć kwarantannę. Matkę, która niedawno skończyła poprzednią, po raz drugi czekała izolacja. Sędzia, szanując wydane zarządzenia, kazał wezwać doktora Rieux, gdy tylko rozpoznał oznaki choroby na ciele dziecka. Kiedy Rieux wszedł, ojciec i matka stali u stóp łóżka. Dziewczynkę oddalono. Dziecko znajdowało się w okresie depresji i pozwoliło się zbadać bez skargi. Kiedy doktor podniósł głowę, napotkał

spojrzenie sędziego, a za nim bladą twarz matki, która przycisnąwszy chusteczkę do ust śledziła rozszerzonymi oczami ruchy doktora.

— To to, prawda? — powiedział zimnym głosem sędzia.

— Tak — odparł Rieux, patrząc znowu na dziecko. Oczy matki powiększyły się, ciągle jednak nie mówiła. Sędzia milczał także, potem cichszym głosem powiedział:

— A więc, doktorze, powinniśmy się zastosować do przepisów.

Rieux starał się nie patrzeć na matkę, która ciągle przyciskała chusteczkę do ust.

— To będzie zrobione szybko — wyrzekł z wahaniem — jeślibym mógł zatelefonować.

Pan Othon powiedział, że go zaprowadzi, ale doktor odwrócił się do kobiety.

— Bardzo mi przykro. Powinna pani przygotować trochę rzeczy. Pani wie, co to jest. Pani Othon stała w osłupieniu. Patrzyła na podłogę.

— Tak — powiedziała kiwając głową — to właśnie zrobię.

Wychodząc, Rieux nie potrafił powstrzymać się od pytania, czy nie trzeba im czegoś. Kobieta patrzyła na niego wciąż w milczeniu. Lecz tym razem sędzia odwrócił oczy.

— Nie — powiedział i przełknął ślinę — ale niech pan uratuje moje dziecko.

Kwarantanna z początku była tylko formalnością; teraz, za sprawą Rieux i Ramberta, przestrzegano jej w sposób najściślejszy. W szczególności wymagali oni izolacji członków tej samej rodziny. Jeśli jeden z nich zaraził się nie wiedząc o tym, nie należało zwiększać szans choroby. Rieux przytoczył te racje sędziemu, który uznał je za słuszne. Jednakże pan Othon i jego żona patrzyli na siebie w taki sposób, że doktor odczuł, jak bardzo ta rozłąka rozbija ich życie. Pani Othon i jej mała córeczka mogłyby zamieszkać w hotelu przeznaczonym na kwarantannę, którym opiekował się Rambert; ale dla sędziego śledczego nie było już miejsca, chyba że w obozie odosobnienia, który na stadionie miejskim organizowała właśnie prefektura, korzystając z namiotów pożyczonych przez zarząd dróg i ulic. Rieux przeprosił sędziego, lecz pan Othon powiedział, że reguła jest jedna dla wszystkich i należy się jej podporządkować.

Dziecko natomiast zostało przewiezione do szpitala pomocniczego, do dawnej klasy szkolnej, gdzie ustawiono dziesięć łóżek. Po upływie dwudziestu godzin Rieux stwierdził, że wypadek jest beznadziejny. Choroba zżerała małe ciało nie stawiające żadnego oporu. Bolesne, choć ledwie uformowane małe dymienice unieruchamiały stawy wątłych członków. Było pokonane z góry. Dlatego Rieux wpadł na myśl, by

wypróbować na nim serum Castela. Tego samego wieczoru, po kolacji, zastosowali szczepionkę, na którą dziecko na razie nie reagowało. Nazajutrz o świcie wszyscy zebrali się przy małym chłopcu, aby wydać sąd o tej decydującej próbie.

Dziecko wyszło ze stanu odrętwienia i konwulsyjnie rzucało się pod kocem. Doktor, Castel i Tarrou od czwartej nad ranem znajdowali się przy nim, śledząc krok po kroku postępy lub zahamowania choroby. Ciężkie ciało Tarrou u wezglowia łóżka było nieco pochylone. U stóp łóżka, obok stojącego Rieux, siedział Castel, czytając jakąś starą rozprawę ze wszelkimi oznakami spokoju. W miarę jak przybywało światła w dawnej sali szkolnej, przychodzili kolejno inni. Najpierw Paneloux, który stanął z drugiej strony łóżka, równoległe do Tarrou, i oparł się plecami o ścianę. Twarz Paneloux miała bolesny wyraz; zmęczenie tych wszystkich dni wyryło zmarszczki na jego nabiegłym krwią czole. Z kolei przyszedł Joseph Grand. Była siódma i urzędnik przeproszał, że jest zadyszany. Będzie mógł zostać tylko chwilę, może wiedzą już coś pewnego. Nie mówiąc słowa, Rieux wskazał na dziecko, które z zamkniętymi oczami w zniekształconej twarzy, z zębami ściśniętymi w ostatecznym wysiłku, całe nieruchome, obracało z prawa na lewo głową leżącą na wałku materacowym bez poszewki. Kiedy wreszcie stało się dość jasno, by na czarnej tablicy, znajdującej się na swoim miejscu w głębi sali, można było rozróżnić ślady dawno napisanych równań, przyszedł Rambert. Oparł się plecami o poręcz w nogach sąsiedniego łóżka i wyciągnął paczkę papierosów. Ale spojrzawszy na dziecko, schował paczkę z powrotem do kieszeni.

Castel, siedząc ciągle, patrzył na Rieux przez okulary.

— Czy ma pan wiadomości od ojca?

— Nie — powiedział Rieux — jest w obozie odosobnienia.

Doktor ścisnął mocno poręcz łóżka, na którym jęczało dziecko. Nie spuszczał oka z małego chorego, który wyprężył się nagle i z zębami znowu zaciśniętymi zgiął się nieco w pasie, odsuwając z wolna ręce i nogi. Z małego ciała, nagiego pod kocem wojskowym, unosił się zapach wełny i kwaśnego potu. Dziecko odprężyło się trochę, ręce i nogi przesunęło ku środkowi łóżka i, wciąż ślepe i nieme, zdawało się oddychać szybciej. Rieux spotkał spojrzenie Tarrou, który odwrócił oczy.

Widzieli już umierające dzieci, od miesięcy bowiem terror nie czynił wyboru, ale nigdy jeszcze nie śledzili ich cierpień minuta po minucie, tak jak teraz. Oczywiście ból, którym karano tych niewinnych, zawsze wydawał się im tym, czym był w istocie, to

znaczy zjawiskiem gorszącym. Ale dotychczas gorszyli się przynajmniej w sposób abstrakcyjny, ponieważ nigdy nie oglądali twarzą w twarz, tak długo, agonii niewinnego.

W tej chwili dziecko, jakby ukąszone w żołądek, zgięło się znowu z piskliwym jękiem. Tak zgięte pozostało przez długie sekundy, wstrząsane dreszczami i konwulsyjnym drżeniem, jak gdyby jego kruchy szkielet uginał się pod wściekłym wiatrem dzumy i trzeszczał od wzmagających się podmuchów gorączki. Gdy atak minął, dziecko rozprężyło się nieco; zdawało się, że gorączka ustępuje i zostawia je, dyszące, na wilgotnym i zatrutym brzegu, gdzie i odpoczynek przypominał już śmierć. Kiedy płomienna l fala dosięgnęła je znowu po raz trzeci i uniosła nieco, dziecko skurczyło się, cofnęło w głąb łóżka w trwodze przed płomieniem, który je palił, i wstrząsnęło obłądnie głową, odrzucając przykrycie. Wielkie łzy trysnęły spod rozpalonych powiek i zaczęły spływać po ołowianej twarzy, i pod koniec ataku, wyczerpane, kurcząc kościste nogi i ręce, których ciało rozpląnęło się w czterdzieści osiem godzin, przybrało na spustoszonej łóżku pozę groteskowego krucyfiksu.

Tarrou schylił się i swoją ciężką ręką otarł małą twarzyczkę, zwilżoną łzami i potem. Castel przed chwilą zamknął książkę i patrzył na chorego. Zaczął zdanie, ale by móc je skończyć, musiał odchrząknąć, gdyż głos jego zadźwięczał zbyt ostro.

— Nie było polepszenia porannego, prawda, Rieux?

Rieux odpowiedział, że nie, ale dziecko stawia opór dłużej, niż to się dzieje normalnie. Paneloux, który jakby opadł na ścianę, rzekł wtedy głucho:

— Jeśli ma umrzeć, będzie cierpiało dłużej.

Rieux odwrócił się porywczo w jego stronę i otworzył usta, jakby chciał mówić, ale z widocznym wysiłkiem zapanował nad sobą i skierował spojrzenie na dziecko.

Światło rozszerzało się w sali. Na pięciu innych łóżkach poruszały się i jęczały kształty, ale z umówioną jak gdyby dyskrecją. Jedyne chore, który krzyczał na drugim końcu sali, rzucał w regularnych odstępach czasu krótkie wołania, wyrażające raczej zdziwienie niż ból. Zdawało się, że nawet chorzy nie odczuwają takiego przerażenia jak na początku. Przyjmowali teraz chorobę z rodzajem zgody. Tylko dziecko walczyło ze wszystkich sił. Rieux od czasu do czasu brał je za puls, bez potrzeby zresztą i raczej po to, by przełamać swą bezwładną niemoc, i czuł, zamykając oczy, jak ten niepokój miesza się ze zgiełkiem jego własnej krwi. Łączył się wtedy ze straconym dzieckiem i próbował je podtrzymać ze wszystkich swych nie tkniętych jeszcze sił. Ale uderzenia ich dwu serc, zjednoczonych na chwilę, gubiły wspólny rytm, dziecko mu się wymykało i jego wysiłek

spadał w próżnię. Puścił więc szczupłą piąstkę i wrócił na swoje miejsce. Wzdłuż ścian pobielonych wapnem światło przechodziło od odcieni różowych do żółtych. Za oknem zaczął trzeszczeć upalny ranek. Ledwo było słyhać, jak Grand wychodzi, mówiąc, że wróci. Wszyscy czekali. Dziecko miało wciąż zamknięte oczy, lecz jakby uspokoiło się trochę. Ręce, które stały się podobne do szponów, lekko orały brzegi łóżka. Potem uniosły się, zaczęły rozgrzebywać koc w okolicy kolan i nagle dziecko zgięło nogi, podciągnęło uda do brzucha i tak pozostało nieruchome. Wtedy po raz pierwszy otworzyło oczy i spojrzało na Rieux, który znajdował się naprzeciw. We wklęsłej twarzy, zakrzepłej teraz i jak z szarej glinki, otworzyły się usta i prawie natychmiast wydobył się z nich jeden przeciągły okrzyk, który oddech zróżnicował nieco i który nagle wypełnił salę protestem monotonnym, nieharmonijnym i tak mało ludzkim, że wydawało się, jak gdyby wyszedł z ust wszystkich ludzi jednocześnie. Rieux ścisnął zęby. Tarrou się odwrócił. Rambert zbliżył się do łóżka i stanął obok Castela, który zamknął otwartą książkę leżącą na jego kolanach. Paneloux patrzył na te usta dziecięce, splamione chorobą, pełne krzyku wszystkich wieków. Osunął się na kolana i nikt się nie zdziwił słysząc, jak mówi głosem trochę zduszonym, lecz wyraźnym, na tle bezimiennej i nieustającej skargi: "Boże mój, uratuj to dziecko".

Ale dziecko krzyczało nadal i chorzy wokół niego poruszyli się. Ten z drugiego końca sali, którego wołania nie ustawały, przyspieszył rytm swej skargi, aż również stała się krzykiem, podczas gdy inni jęczeli coraz głośniejsze. Fala łkań zalała salę, zagłuszając modlitwę Paneloux, i Rieux, oparty o poręcz łóżka, zamknął oczy, pijany ze zmęczenia i odrazy. Kiedy je otworzył, ujrzał Tarrou obok siebie.

— Muszę wyjść — powiedział Rieux. — Nie mogę tego znieść dłużej.

Nagle jednak inni chorzy umilkli. Doktor zorientował się wtedy, że krzyk dziecka osłabł, słabł ciągle i urwał się wreszcie. Wokół niego skargi podniosły się znowu, lecz były głuche jak dalekie echo tej walki, która się skończyła. Walka bowiem się skończyła. Castel przeszedł na drugą stronę łóżka i powiedział, że to koniec. Z ustami otwartymi, ale niemymi, dziecko odpoczywało w głębi rozrzuconych koców, mniejsze nagle, z resztkami łez na twarzy.

Paneloux zbliżył się i wykonał gest błogosławieństwa. Potem zebrał sutannę i wyszedł środkiem sali.

— Czy trzeba wszystko rozpocząć na nowo? — zapytał Tarrou Castela.

Stary doktor skinął głową.

— Może — powiedział ze zmienioną twarzą. — Mimo wszystko opierało się długo. Ale Rieux wychodził już z sali krokiem tak szybkim i z takim wyrazem twarzy, że kiedy mijał Paneloux, ten wyciągnął rękę, żeby go zatrzymać.

— Chodźmy, doktorze — powiedział.

Rieux odwrócił się, ciągle tym samym porywczym ruchem i rzucił gwałtownie:

— Ach, ten przynajmniej był niewinny, ksiądz wie o tym dobrze!

Potem odwrócił się znowu, wyszedł z sali przed Paneloux i znalazł się w głębi podwórza szkolnego. Usiadł na ławce między małymi, zakurzonymi drzewkami i wytarł pot, który ściekał mu już do oczu. Miał ochotę krzyknąć jeszcze, by rozerwać wreszcie mocną pętlę, która dławiała mu serce. Upał spadał powoli pomiędzy gałęzie figusów. Błękitne niebo poranne pokryło się szybko mlecznym bielmem i powietrze stawało się bardziej duszne. Rieux na swej ławce nie stawiał już oporu. Patrzył na gałęzie, na niebo, oddech wracał mu powoli, stopniowo przełykał zmęczenie.

— Dlaczego mówił pan do mnie z takim gniewem? — powiedział głos za nim. — To widowisko było dla mnie także nie do zniesienia.

Rieux odwrócił się do Paneloux.

— To prawda — rzekł. — Niech mi ksiądz wybaczy. Ale, zmęczenie to szaleństwo. Zdarzają się takie godziny w tym mieście, kiedy nie czuję nic prócz buntu.

— Rozumiem — szepnął Paneloux. — To budzi bunt, ponieważ przekracza naszą miarę. Ale może powinniśmy kochać to, czego nie umiemy pojąć.

Rieux wyprostował się nagle. Patrzył na Paneloux z całą siłą i namiętnością, do jakich był zdolny, i potrząsnął głową.

— Nie, mój ojciec — powiedział. — Inaczej rozumiem miłość. I nigdy nie będę kochał tego świata, gdzie dzieci są torturowane.

Po twarzy Paneloux przemknął cień przerażenia.

— Ach, doktorze — rzekł ze smutkiem — zrozumiałem, co to jest łaska.

Lecz Rieux opadł po raz wtóry na ławkę. Z głębi zmęczenia, które wróciło doń znowu, odpowiedział bardzo łagodnie:

— Tego nie mam, wiem. Lecz nie chcę spierać się z księdzem. Pracujemy razem w imię czegoś, co łączy nas ponad błuźnierstwami i modlitwami. Tylko to jest ważne.

Paneloux usiadł obok Rieux. Twarz miał wzruszoną.

— Tak — powiedział — tak, pan również pracuje dla zbawienia człowieka.

Rieux próbował się uśmiechnąć.

— Zbawienie człowieka to zbyt wielkie słowo dla mnie. Nie idę tak daleko. Interesuje mnie jego zdrowie, przede wszystkim zdrowie.

Paneloux zawahał się.

— Doktorze... — powiedział.

Ale urwał. Pot zaczął mu także ściekać z czoła. Szepnął: "Do widzenia", i jego oczy błyszczały, kiedy się podniósł. Miał odejść, gdy Rieux, który się namyślał, wstał również i postąpił krok w jego stronę.

— Niech mi ksiądz daruje. To się już nie powtórzy.

Paneloux wyciągnął rękę i rzekł ze smutkiem:

— A jednak nie przekonałem pana.

— Cóż to ma za znaczenie? — powiedział Rieux. — Nienawidzę śmierci i zła, ksiądz wie o tym dobrze. I czy ksiądz tego chce, czy nie, jesteśmy razem, żeby je znosić i żeby z nimi walczyć.

Rieux trzymał rękę Paneloux.

— Ksiądz widzi — rzekł, unikając jego spojrzenia — nawet sam Bóg nie może nas teraz rozłączyć.

Odkąd Paneloux wstąpił do formacji sanitarnych, nie opuszczał szpitali i tych miejsc, gdzie można było zetknąć się z dżumą. Stał w pierwszym szeregu ratowników, to znaczy znalazł się tam, gdzie według swego mniemania powinien był się znaleźć. Nie brakło mu widoków śmierci. I choć chroniło go serum, myśl o własnej śmierci nie była mu obca. Z pozoru zachował spokój. Ale jak gdyby zmienił się od dnia, kiedy tak długo patrzył na umierające dziecko. Na twarzy jego było widać wzrastające napięcie. I pewnego razu, gdy powiedział do Rieux z uśmiechem, że przygotowuje teraz krótką rozprawę na temat: "Czy kapłan może radzić się lekarza", doktor odniósł wrażenie, że idzie o coś bardziej poważnego, niż mówi Paneloux. Ponieważ doktor wyraził chęć zapoznania się z tą pracą, Paneloux oznajmił mu, że ma wygłosić kazanie na mszy dla mężczyzn i przy tej okazji wyłoży przynajmniej niektóre swoje punkty widzenia.

— Chciałbym, żeby pan przyszedł, doktorze, temat pana zainteresuje.

Ojciec Paneloux wygłosił swoje drugie kazanie w dzień, gdy wiał wielki wiatr. Prawdę mówiąc, szeregi audytorium były bardziej przzerzedzone niż za pierwszym razem. Ten rodzaj widowiska nie przyciągał już swoją nowością naszych współobywateli. W trudnych okolicznościach, w jakich żyło miasto, słowo "nowość" straciło swój sens.



Większość zresztą, jeśli nie porzuciła całkowicie obowiązków religijnych albo jeśli nie łączyła ich z głęboko amoralnym życiem osobistym, zastąpiła zwykle praktyki niezbyt rozsądnymi przesadami. Ludzie chętniej nosili medaliki ochronne czy amulety św. Rocha, niż chodzili na mszę.

Jako przykład niechaj posłuży niepohamowane zainteresowanie naszych współobywateli przepowiedniami. Na wiosnę oczekiwano z chwili na chwilę końca choroby i nikt nie myślał o tym, by pytać o czas trwania epidemii, skoro wszyscy wyobrażali sobie, że epidemia nie będzie trwała. Ale w miarę jak mijały dni, zaczęto się obawiać, że choroba nigdy się nie skończy; jednocześnie koniec epidemii stał się przedmiotem wszystkich nadziei. Podawano więc sobie z rąk do rąk rozmaite przepowiednie magów czy świętych Kościoła katolickiego. Wydawcy zdali sobie bardzo szybko sprawę z korzyści, jakie może im przynieść ta egzaltacja, i drukowali krążące teksty w wielu egzemplarzach. Stwierdziwszy, że ciekawość publiczności jest nienasycona, zaczęli szukać w bibliotekach miejskich wszelkich historycznych dokumentów tego rodzaju i rozpowszechniali je w mieście. Kiedy już wyczerpali historię, zwrócili się po przepowiednie do dziennikarzy, którzy przynajmniej w tym względzie okazali równe kompetencje jak ich wzory z minionych wieków.

Niektóre z tych przepowiedni drukowano nawet w odcinkach w gazetach, a czytano je z nie mniejszym zapalem niż sentymentalne opowiadania zamieszczane w czasach zdrowia. Niektóre z tych przewidywań opierały się na dziwacznych obliczeniach, gdzie w grę wchodził rok, liczba zmarłych i cyfra miesięcy spędzonych pod rządami dżumy. Innym razem przeprowadzano porównania z wielkimi dżumami w historii, odkrywając podobieństwa (które przepowiednie nazywały niezmiennymi), i za pomocą nie mniej dziwacznych obliczeń usiłowano wyciągnąć wnioski odpowiadające aktualnym wypadkom. Ale publiczność niewątpliwie ceniła sobie najbardziej te proroctwa, które posługując się językiem apokaliptycznym zwiastowały cykle wydarzeń; każde z nich mogło być tym właśnie, którego doświadczało miasto, a jego złożoność pozwalała na wszelkie interpretacje. Tak więc radzono się co dzień Nostradamusa i św. Otylii, a zawsze z pożytkiem. Wszystkie zresztą proroctwa miały tę cechę wspólną, że w końcu podnosiły na duchu. Tylko z dżumą było inaczej.

Te przesady zastępowały więc naszym współobywatelom religię i dlatego Paneloux wygłaszał kazanie w kościele zapełnionym tylko w trzech czwartych. Kiedy Rieux wszedł do kościoła w wieczór kazania, wiatr wdzierał się falami przez

dwuskrzydłowe drzwi i krążył swobodnie między zebranymi. Doktor zajął miejsce w zimnym i cichym wnętrzu, wśród audytorium złożonego wyłącznie z mężczyzn; ujrzał, jak ksiądz wchodzi na ambonę. Paneloux mówił tonem łagodniejszym, z większym namysłem niż za pierwszym razem, i zebrani zauważyli kilkakrotnie, że z wahaniem dobiera słowa. Rzecz ciekawsza jeszcze, że nie mówił już "wy", ale "my".

Jednakże głos jego stawał się z wolna pewniejszy. Rozpoczął od przypomnienia, że od długich miesięcy dzuma jest pomiędzy nami, i teraz, kiedy znamy ją lepiej, ponieważ widzieliśmy tyle razy, jak zasiada przy naszym stole czy przy wezgielciu tych, których kochamy, jak kroczy obok nas i czeka na nasze przyjscie w miejscach pracy, może potrafimy lepiej przyjac to, co mowi nam bez przerwy i czego w pierwszym zaskoczeniu nie uslyszeliśmy dobrze. To, co ojciec Paneloux mowił juz z tego samego miejsca, pozostaje prawda — przynajmniej takie jest jego przekonanie. Ale, jak to zdarza się wszystkim (i dlatego bije się w piersi), może pomyslał i powiedzial to bez milosierdzia. W kazdej rzeczy jednak jest jakaś prawda, która trzeba zachowac w pamieci. Najokrutniejsza próba wciąż jest jeszcze dobrodziejstwem dla chrześcijanina. Właśnie chrześcijanin powinien szukac tego, co jest dla niego dobrodziejstwem, poznawac jego istotę i próbowac je znalezc.

W tej chwili ludzie wokół Rieux rozsiedli się i umieścili możliwie najwygodniej na swych ławkach. Skrzydło obitych sukmem drzwi wejściowych uderzało lekko. Ktoś wstał, żeby je przytrzymać. Ten incydent rozproszył uwagę doktora, który ledwo słyszał, co Paneloux mowi dalej. Ksiądz powiedzial mniej więcej tyle, że nie należy wyjasniac sobie zjawiska dzumy, ale nauczyc się tego, czego można się nauczyc. Rieux zrozumiał niejasno, że według ojca Paneloux nie ma nic do wytłumaczenia. Zainteresowanie doktora wzrosło, kiedy Paneloux powiedzial z mocą, że są rzeczy, które można wyjasnić w stosunku do Boga, i inne, których wyjasnić nie można. Oczywiście jest dobro i zło, i na ogół można sobie wytłumaczyc łatwo, co je dzieli. Ale trudność rozpoczyna się wewnątrz zła. Na przykład, bywało zło z pozoru konieczne i zło z pozoru bezuzyteczne. Don Juan w piekle i śmierć dziecka. Jeśli jest bowiem sprawiedliwe, że piorun uderza w niedowiarka, nie można zrozumiec cierpienia dziecka. I doprawdy, nie ma na ziemi nic ważniejszego od cierpienia dziecka, lęku, jakie to cierpienie przynosi, i racji, jakie trzeba dla niego znalezc. Wszystko inne w zyciu ułatwia Pan Bóg i zanim dojdziemy do tego punktu, religia nie ma zaslug. Natomiast tu przypiera nas do muru. Tak więc jesteśmy pod murami dzumy i w ich śmiertelnym cieniu musimy odnalezc dla siebie dobrodziejstwo.

Ojciec Paneloux odmawia sobie nawet łatwych korzyści płynących z przedostania się przez ten mur. Wygodnie byłoby mu powiedzieć, że rozkosze czekające dziecko mogą wynagrodzić jego cierpienia, ale doprawdy nic o tym nie wie. Któż mógłby bowiem twierdzić, że wieczna radość może wynagrodzić chwilę ludzkiego cierpienia? Na pewno nie byłby to chrześcijanin, którego Pan zaznał cierpień na ciele i duszy. Nie, ojciec Paneloux pozostanie u stóp muru, wierny tej mecie, której symbolem jest krzyż, twarzą w twarz z cierpieniem dziecka. I powie bez lęku tym, którzy go dziś słuchają: "Bracia moi, chwila nadeszła. Trzeba we wszystko uwierzyć albo wszystkiemu zaprzeczyć. A któż spośród was ośmieliłby się wszystkiemu zaprzeczyć?"

Rieux zaledwie miał czas pomyśleć, że ojciec Paneloux jest bliski herezji, kiedy ksiądz mówił już z mocą, że ten nakaz, to żądanie jest przywilejem chrześcijanina. Jest również jego cnotą. Paneloux wie, że to, co jest ponad zwykłą miarę w cnocie (o czym powie za chwilę), wielu ludziom, przyzwyczajonym do bardziej pobłażliwej i klasycznej moralności, wyda się czymś zaskakującym. Ale religia czasu dzumy nie może być religią codzienną i jeśli Bóg mógłby zgodzić się, a nawet pragnąć, by dusza odpoczywała i cieszyła się w czasach szczęścia, chce, żeby się okazała ponad swoją miarę, skoro nieszczęście jest bezimienne. Bóg udziela dziś łaski istotom przez siebie stworzonym, zsyłając im nieszczęście, jakiego trzeba, by mogły udźwignąć największą cnotę: Wszystko lub nic.

Przed wiekiem pewien autor świecki mniemał, że odkrył tajemnicę Kościoła twierdząc, że nie ma czyśćca. Rozumiał przez to, że nie ma półśrodków, że jest tylko raj i piekło, i można być jedynie zbawionym lub potępionym wedle tego, co się wybrało. Zdaniem Paneloux jest to herezja, która mogła się zrodzić tylko w duszy niedowiarka. Jest bowiem czyściec. Ale zdarzały się bez wątpienia okresy, kiedy nie można się było tego czyśćca spodziewać, okresy, kiedy nie można było mówić o grzechu powszednim. Wszelki grzech był śmiertelny, wszelka obojętność zbrodnicza. Było wszystko lub nic.

Paneloux urwał i Rieux usłyszał w tej chwili wyraźniej jęki wiatru pod drzwiami, jak gdyby wiatr przybierał na sile. Ojciec Paneloux powiedział wówczas, że cnota całkowitej zgody, o której mówił, nie powinna być rozumiana w sensie ograniczonym, jaki się jej zazwyczaj nadaje; nie chodzi o banalną rezygnację ani nawet o trudną pokorę. Chodzi o upokorzenie, ale o upokorzenie, z którym upokorzony byłby w zgodzie. Cierpienie dziecka jest na pewno upokarzające dla umysłu i serca. Ale tego właśnie trzeba zaznać. Dlatego (i Paneloux zapewnił swoich słuchaczy, że ma niełatwą rzecz do

powiedzenia) trzeba chcieć cierpienia, ponieważ Bóg go chce. Tylko w ten sposób chrześcijanin nie oszczędzi sobie niczego i mając wszystkie wyjścia zamknięte, dojdzie do samego sedna wyboru. Wybierze wiarę we wszystko, żeby nie musiał wszystkiemu zaprzeczyć. I podobnie jak te zacne kobiety, które dowiedziawszy się, że poprzez formujące się dymienice ciało w naturalny sposób wydała infekcje, mówią w tej chwili w kościołach: "Boże mój, ześlij mu dymienice", chrześcijanin potrafi oddać się woli Bożej, nawet niepojętej. Nie można powiedzieć: "To rozumiem, ale tamto jest nie do przyjęcia"; trzeba sięgać w głąb tego, co niepojęte, i zesłane nam po to, żebyśmy mogli dokonać wyboru. Cierpienie dzieci jest naszym gorzkim chlebem, ale bez tego chleba dusza zginęłaby od głodu duchowego.

Tu rozległ się hałas, jak zwykle, gdy ojciec Paneloux robił pauzy; niespodzianie jednak kaznodzieja z siłą podjął wątek, stawiając się jak gdyby na miejscu swych słuchaczy i zapytując, jaką postawę należy przyjąć. Ksiądz spodziewał się tego, zaraz padnie przerażające słowo: fatalizm. Cóż, nie cofnie się przed tym słowem, jeśli wolno mu będzie uzupełnić je przymiotnikiem: "czynny". Na pewno, powtarza to raz jeszcze, nie należy naśladować chrześcijan z Abisynii, o których mówił. Nie należy też postępować jak owi zadzumieni Persowie, którzy rzucali swoje odzienie na sanitarne pikiety chrześcijańskie, wielkim głosem wzywając niebo, by zesłało dżumę na tych niewiernych, którzy chcą walczyć z chorobą zesłaną przez Boga. Ale, z drugiej strony, nie należy naśladować również mnichów z Kairu, którzy podczas epidemii w ubiegłym wieku komunikowali, biorąc hostię szczypczykami, by uniknąć dotknięcia wilgotnych i gorących ust, gdzie mogła się kryć infekcja. Zadzumieni Persowie i mnisi grzeszyli jednakowo. Dla pierwszych bowiem nie liczyło się cierpienie dziecka, dla drugich zaś, na odwrót, ludzki strach przed bólem zagarnął wszystko. W obu wypadkach problem z ręcznie usunięto sprzed oczu. Wszyscy byli głusi na głos Boga. Są jednak inne przykłady, które Paneloux chce przypomnieć. Jeśli wierzyć kronikarzowi wielkiej dżumy w Marsylii, na osiemdziesięciu jeden zakonników klasztoru Mercy czterech tylko przeżyło dżumę. Z tych czterech trzech uciekło. Tak mówią kronikarze i nie ich rzeczą jest powiedzieć więcej. Ale kiedy ojciec Paneloux to czytał, myśl jego wybiegała ku temu, który pozostał sam, mimo siedemdziesięciu siedmiu trupów, przede wszystkim zaś mimo przykładu owych trzech braci. I ksiądz, uderzając pięścią w poręcz kazalnicy, zawołał: "Bracia moi, trzeba być tym, który zostaje!"

Nie chodzi o to, żeby odrzucać wszelką ostrożność, rozumny porządek, który społeczeństwo wprowadza do anarchii zarazy. Nie należy słuchać tych moralistów, którzy powiadają, że trzeba paść na kolana i poniechać wszystkiego. Trzeba tylko iść naprzód w ciemnościach, trochę na oślep, i próbować czynić dobrze. Jeśli zaś idzie o resztę, trwać i zdać się na Boga, nawet wówczas, gdy jest to śmierć dzieci, i nie szukać pomocy dla siebie.

Tu ojciec Paneloux przywołał wybitną postać biskupa Belzunce, podczas dżumy w Marsylii. Powiedział, że pod koniec epidemii biskup, zrobiwszy wszystko, co należało zrobić, i przekonany, że nie ma już sposobu, zamknął się wraz z zapasami żywności w swym domu, który kazał zamurować; że mieszkańcy miasta, którzy go uwielbiali, na skutek zmiany uczuć, częściej, gdy nadmierne stają się cierpienia, powzięli do niego złość, otoczyli dom biskupa trupami, żeby przenieść tam zarazę, a nawet rzucali ciała przez mury, by narazić biskupa na pewniejszą śmierć. Tak oto ów biskup uwierzył w ostatecznej słabości, że potrafi się odgrodzić od świata śmierci, a tymczasem zmarli spadali mu na głowę prosto z nieba. Podobnie jest z nami, którzy powinniśmy sobie wytłumaczyć, że podczas dżumy nie ma wysp. Nie, nie ma środka. Trzeba przyjąć zgorszenie, ponieważ musimy wybrać — nienawidzić Boga czy go kochać. A któż odważyłby się wybrać nienawiść do Boga?

“Bracia moi — rzekł wreszcie Paneloux oznajmiając, że kończy — miłość do Boga jest trudną miłością. Zakłada całkowite wyrzeczenie się samego siebie i pogardę dla własnej osoby. Ale tylko ta miłość może zmasać cierpienie i śmierć dzieci, tylko ona czyni ich śmierć konieczną, nie można jej bowiem rozumieć, można jej tylko chcieć. Oto trudna nauka, którą chciałem podzielić się z wami. Oto wiara, okrutna w oczach ludzi, rozstrzygająca w oczach Boga, do którego trzeba się zbliżyć. Temu straszliwemu wizerunkowi musimy dorównać. Na tym szczycie wszystko się przemiesza i wyrówna, prawda tryśnie z pozornej niesprawiedliwości. Tak oto w wielu kościołach południa Francji zadżumieni śpią od wieków pod kamiennymi płytami chóru, kapłani przemawiają na ich grobach, a idea, jaką głoszą, wystrzela z tego popiołu, gdzie przecież i dzieci złożyły swą cząstkę”.

Kiedy Rieux wychodził, gwałtowny wiatr wtargnął przez uchylone drzwi i uderzył prosto w twarz wiernych. Wiatr przynosił do kościoła zapach deszczu, woń wilgotnych chodników, która pozwalała domyślać się wyglądu miasta, zanim jeszcze wyszli. Stary ksiądz i młody diakon, idący przed doktorem, z trudem utrzymywali kapelusze na

głowach. Mimo to starszy nie przestawał komentować kazania. Wyrażał uznanie dla wymowy Paneloux, ale niepokoiło go zuchwalstwo jego myśli. Uważał, że to kazanie dowodziło bardziej niepokojącej niż siły, a w wieku Paneloux kapłan nie ma prawa do niepokojącej. Młody diakon, pochyliwszy głowę, by osłonić się przed wiatrem, powiedział, że bywa często u ojca, orientuje się w jego ewolucji, że jego rozprawa będzie jeszcze śmielsza i bez wątpienia nie uzyska *imprimatur*.

— Jakaż jest jej myśl? — zapytał stary ksiądz. Byli już na placu przed kościołem; wiatr otoczył ich, wyjął i nie dając mówić młodszemu. Wreszcie diakon powiedział:

— Jeśli kapłan zasięga rady lekarza, jest w tym sprzeczność.

Kiedy Rieux opowiadał Tarrou o kazaniu Paneloux, Tarrou wtrącił, że zna księdza, który podczas wojny stracił wiarę na widok młodzieńca z wylupionymi oczami.

— Paneloux ma rację — powiedział Tarrou. — Kiedy niewinność ma wylupione oczy, chrześcijanin musi stracić wiarę albo zgodzić się na to, że sam będzie miał wylupione oczy. Paneloux nie chce stracić wiary i nie zatrzyma się przed niczym. To właśnie chciał powiedzieć.

Czy ta obserwacja Tarrou rzuca nieco światła na późniejsze nieszczęsne wydarzenia, kiedy to zachowanie Paneloux wydało się jego otoczeniu niepojęte? Zobaczymy.

W kilka dni po kazaniu Paneloux zajął się przeprowadzką. Był to moment, kiedy rozwój choroby powodował ciągle przeprowadzki w mieście. Podobnie jak Tarrou musiał porzucić swój hotel, by zamieszkać u Rieux, ojciec Paneloux opuścił mieszkanie, gdzie ulokował go jego zakon, i zamieszkał u pewnej starej i pobożnej pani, nie tkniętej jeszcze dżumą. Podczas przeprowadzki ojciec czuł coraz większe zmęczenie i lęk; przez to właśnie stracił szacunek swojej gospodyni. Kiedy bowiem gorąco wychwalała przepowiednie św. Otylii, ksiądz okazał lekkie zniecierpliwienie, zapewne na skutek zmęczenia. Jakkolwiek czynił potem wysiłki, by zdobyć przynajmniej życzliwą neutralność starej pani, nie mógł tego osiągnąć. Zrobił złe wrażenie. I co wieczór, zanim wszedł do swego pokoju, pełnego szydełkowych koronek, musiał patrzeć na plecy gospodyni siedzącej w salonie, unosząc zarazem wspomnienie owego "Dobranoc, mój ojciec", które, nie odwracając się, rzucała mu sucho. Pewnego wieczoru, gdy kładł się spać z pękającą od bólu głową, poczuł, jak w skroniach i pulsie rąk wyzwalają się nieokiełznane fale gorączki, która dojrzewiała w nim od wielu dni.

To, co nastąpiło później, wiadomo jedynie z opowiadań gospodyni. Rano wstała wcześniej, jak to miała w zwyczaju. Po pewnym czasie, zdumiona, że ojciec nie wychodzi ze swego pokoju, wahała się długo, wreszcie postanowiła zapukać do jego drzwi. Zastała księdza leżącego po bezsennej nocy. Odczuwał duszności i był jeszcze bardziej zaczerwieniony na twarzy niż zwykle. Według jej własnych słów, zaproponowała mu uprzejmie, że każe wezwać lekarza, ale jej propozycja została odrzucona z gwałtownością, którą uznała za godną pożałowania. Nie pozostało jej nic innego jak wyjść. Nieco później ojciec zadzwonił prosząc, żeby przysłała. Przeprosił ją za odruch złego humoru i oświadczył, że nie ma mowy o dżumie, że nie zauważył żadnego z jej objawów i że jest to przejściowe zmęczenie. Stara pani odparła z godnością, że jej propozycja nie zrodziła się z niepokoju tego rodzaju, że nie miała na oku własnego bezpieczeństwa, jest ono bowiem w rękach Boga, ale myślała jedynie o zdrowiu ojca, za które czuje się częściowo odpowiedzialna. Ponieważ jednak Paneloux nie odpowiadał, gospodyni, wiedzioną pragnieniem, by wypełnić wszystko, co do niej należy, znowu zaproponowała mu, że wezwie swego lekarza. Ojciec odmówił raz jeszcze, ale tłumacząc się w sposób, który ona uznała za bardzo niejasny. Zrozumiała tylko, i to właśnie wydało jej się niepojęte, że ojciec nie chciał lekarza, ponieważ jest to sprzeczne z jego zasadami. Wyciągnęła stąd wniosek, że gorączka zmaciła myśli jej lokatora, i ograniczyła się do przyniesienia mu ziółek.

Wciąż zdecydowana wypełniać najskrupulatniej obowiązki, które nakładała jej sytuacja, odwiedzała chorego regularnie co dwie godziny. Najbardziej uderzył ją ciągły niepokój, w jakim ojciec spędził dzień. Odrzucał prześcieradła i nakrywał się nimi znowu, przesuwał nieustannie ręce po wilgotnym czole i często siadał na łóżku, żeby zakaszleć zdławionym, głuchym i wilgotnym kaszlem, jakby coś z siebie wydzierał. Zdawało się wówczas, że nie może usunąć z głębi gardła duszących go czopów waty. Po tych atakach opadał w tył z oznakami wielkiego wyczerpania. Wreszcie znów przybierał pozycję półsiedzącą i przez krótką chwilę patrzył przed siebie z uporem jeszcze gwałtowniejszym od poprzedniego niepokoju. Ale stara pani wahała się jeszcze, czy wezwać lekarza i sprzeciwić się choremu. Mógł to być zwykły atak gorączki, choć tak szczególnie wyglądał.

Po południu spróbowała jednak przemówić do księdza, ale w odpowiedzi usłyszała tylko kilka niezrozumiałych słów. Ponowiła swą propozycję. Ale wówczas ojciec podniósł się i na wpeł się dusząc odpowiedział wyraźnie, że nie chce lekarza. Gospodyni

postanowiła więc, że zaczeka do jutra rana i jeśli stan ojca się nie poprawi, zatelefonuje na numer, który agencja Infdok powtarzała co dzień ze dwanaście razy przez radio. Wciąż pamiętając o swych obowiązkach, miała zamiar zaglądać do swego lokatora w nocy i czuwać przy nim. Ale wieczorem, gdy zaniósła mu świeżych ziółek, zapragnęła położyć się na chwilę i zbudziła się dopiero nazajutrz o świcie. Pobiegła do jego pokoju.

Ojciec leżał bez ruchu. Twarz, nadmiernie czerwona dnia poprzedniego, stała się teraz sina, co widoczne było tym wyraźniej, że zachowała kształt okrągły. Ojciec patrzył na mały świecznik z kolorowych paciorków, który wisiał nad łóżkiem. Kiedy stara pani weszła, odwrócił się w jej stronę. Według jej słów, wyglądał tak, jakby bity przez całą noc stracił wszelką zdolność reakcji. Zapytała księdza, jak się czuje. Odparł głosem, w którym dostrzegła ton dziwnie obojętny, że ma się źle, że nie trzeba mu lekarza, wystarczy przewieźć go do szpitala, żeby wszystko odbyło się według przepisów. Stara pani pobiegła przerażona do telefonu.

Rieux przyjechał w południe. Wysłuchawszy pani domu, odparł tylko, że Paneloux miał rację, i że jest już za późno. Ojciec przyjął doktora z tym samym obojętnym wyrazem. Rieux zbadał go i był zdumiony, nie widząc żadnego z głównych objawów dżumy dymienicznej czy płucnej prócz obrzęku gardła i duszności. W każdym razie puls był tak słaby, a stan ogólny tak alarmujący, że mało było nadziei.

— Ksiądz nie ma żadnego z głównych objawów choroby — powiedział do Paneloux. — Ale są powody do podejrzeń i muszę księdza izolować.

Ksiądz uśmiechnął się dziwnie, z uprzejmością, ale milczał. Rieux wyszedł, żeby zatelefonować, i wrócił. Patrzył na Paneloux.

— Zostanę przy księdzu — powiedział łagodnie.

Paneloux jakby się ożywił i zwrócił w stronę doktora oczy, do których zdawało się wracać ciepło. Potem powiedział z wysiłkiem, tak że trudno było stwierdzić, czy mówi ze smutkiem, czy nie:

— Dziękuję. Ale zakonnicy nie mają przyjaciół. Wszystko złożyli w Bogu.

Poprosił o krucyfiks, który znajdował się u wezłowania łóżka, i kiedy miał go w rękach, odwrócił się, żeby nań patrzeć.

W szpitalu Paneloux nie otworzył ust. Jak przedmiot poddał się wszystkim zabiegom, ale nie wypuszczał już krucyfiksu. Jednakże wypadek księdza wciąż był niejasny. Rieux prześladowały wątpliwości. To była i nie była dżuma. Zdawało się zresztą, że od pewnego czasu sprawia jej przyjemność sprowadzanie diagnostyki na



manowce. Ale w przypadku Paneloux miało się okazać, że ta niepewność była bez znaczenia.

Gorączka poszła w górę. Kaszel stawał się bardziej głuchy i tortuował chorego przez cały dzień. Wieczorem wreszcie ojciec wykrztusił z siebie duszącą go watę. Była czerwona. Wśród zgiełku gorączki Paneloux nadal patrzył obojętnie i kiedy nazajutrz znaleziono go martwego, na wpół wychylonego z łóżka, jego spojrzenie nic nie wyrażało. Napisano na karcie kontrolnej: "Wypadek wątpliwy".

Wszystkich Świętych w tym roku wyglądało inaczej niż zazwyczaj. Tylko pogoda była jak zawsze, zmieniła się bowiem nagle i spóźnione upały ustąpiły miejsca chłodom. Jak w poprzednich latach, wiał nieustannie zimny wiatr. Wielkie chmury bieły od końca do końca horyzontu, rzucając cień na domy; po ich przejściu spadło na nie zimne i złoczone światło listopadowego nieba. Pojawiły się pierwsze nieprzemakalne płaszcze. Zauważono jednak zdumiewającą ilość gumowanych i błyszczących materiałów. Dzienniki przypominały bowiem, że przed dwustu laty, podczas wielkich dżum na Południu, lekarze ubierali się dla ochrony w naoliwione tkaniny. Skorzystały z tego sklepy, by wyrzucić zapas niemodnej odzieży, która, jak spodziewano się, miała zabezpieczać od zarażenia.

Ale wszystkie te znaki pory roku nie mogły sprawić, by zapomniano o opustoszałych cmentarzach. W poprzednich latach tramwaje pełne były mdłego zapachu chryzantem i procesje kobiet udawały się do miejsc, gdzie spoczywali ich bliscy, by ubrać kwiatami groby. Był to dzień, w którym próbowano wynagrodzić zmarłemu osamotnienie i niepamięć długich miesięcy. Ale tego roku nikt nie chciał myśleć o zmarłych. Właśnie dlatego, że myślano o nich zbyt wiele. Rzecz nie polegała już na tym, by powrócić do nich z odrobiną żalu i wielką melancholią. Nie byli to już ci opuszczeni, do których przychodziło się wytłumaczyć raz na rok. Byli intruzami, o których chce się zapomnieć. Toteż święto zmarłych w tym roku w pewien sposób zręcznie ukryto. Według Cottarda, którego język, zdaniem Tarrou, stawał się coraz bardziej ironiczny, co dzień było święto zmarłych.

Rzeczywiście, radosne ognie dżumy płonęły coraz żwawiej w piecu krematoryjnym. Co prawda, liczba zmarłych nie zwiększała się z dnia na dzień. Ale dżuma jak gdyby rozsiadła się wygodnie, wnosząc do swych codziennych morderstw precyzję i regularność dobrego urzędnika. W zasadzie, według opinii kompetentnych

osobistości, był to dobry znak. Wykres postępu dżumy, wpierw idący nieustannie w górę, zatrzymał się na długo na jednej wysokości i wydawał się bardzo pocieszający, na przykład doktorowi Richard. "To dobry, doskonały wykres" — mówił. Uważał, że choroba osiąga swój wyrównany poziom, jak to określał. Teraz mogła tylko się cofać. Zaslugę przypisywał tutaj nowemu serum Castela, które w kilku wypadkach przyniosło rzeczywiście nieoczekiwane sukcesy. Stary Castel nie przeczył, ale uważał, że nie można nic przewidzieć, ponieważ historii epidemii znają nieprzewidziane odskoki. Prefektura, od dawna już pragnąc uspokojenia opinii publicznej, na co nie pozwalała dżuma, miała w projekcie zebranie lekarzy, którzy wypowiedzieliby się w tej sprawie, kiedy doktora Richard również zabrała dżuma, właśnie wówczas, gdy wyrównany poziom choroby został osiągnięty.

Wobec tego przykładu, który niewątpliwie wywierał wrażenie, ale w końcu nie dowodził niczego, prefektura wróciła do pesymizmu z tym większą niekonsekwencją, że wpierw pozwoliła sobie na optymizm. Castel natomiast ograniczał się do tego, że przygotowywał swoje serum najstaranniej, jak potrafił. W każdym razie nie było już gmachu użyteczności publicznej, którego nie zamieniono by na szpital czy lazaret, a jeśli uszanowano jeszcze prefekturę, to dlatego, że trzeba było miejsca na zebrania. Na ogół jednak biorąc i w związku ze względnym ustaleniem się dżumy w tym okresie, organizacja przewidziana przez Rieux nie uległa zmianom. Lekarze i ich pomocnicy, którzy pracowali w tak wyczerpujący sposób, nie musieli wyobrażać sobie, że trzeba będzie jeszcze większych wysiłków. Mieli tylko nadal wykonywać swą nadludzką pracę, regularnie, jeśli tak można powiedzieć. Dżuma płucna, której wypadki już zanotowano, szerzyła się teraz w całym mieście, jak gdyby wiatr rozniecał i podsycił pożary w płucach. Chorzy umierali znacznie szybciej, wśród krwawych wymiotów. Przy tej nowej formie epidemii zaraźliwość mogła się zwiększyć. Prawdę mówiąc, zdania specjalistów wciąż były sprzeczne w tym względzie. Dla większego jednak bezpieczeństwa personel sanitarny oddychał przez maski z dezynfekowanej gazy.

W każdym razie, na pierwszy rzut oka, choroba powinna była się rozszerzyć. Ponieważ jednak zmniejszyła się ilość zachorowań na dżumę dymieniczną, równowaga nie została zachwiana.

Można jednak było mieć inne powody do niepokoju, w związku z trudnościami aprowizacyjnymi, rosnącymi w miarę czasu. Wtrącili się do tego spekulanci i sprzedawali po bajecznych cenach produkty pierwszej potrzeby, których brakło na

rynku. Tak więc biedne rodziny znajdowały się w bardzo trudnej sytuacji, podczas gdy bogatym nie brakło niemal niczego. I dżuma, stosując w swych rządach skuteczną bezstronność, zamiast umocnić równość naszych obywateli, normalną grą egoizmów zaostrzała w sercach ludzkich poczucie niesprawiedliwości. Pozostawała, oczywiście, nieskazitelna równość śmierci, ale tej nikt nie chciał. Biedni więc, którzy cierpieli głód, z jeszcze większą nostalgią myśleli o miastach i wsiach sąsiednich, gdzie życie było swobodne, a chleb niedrogi. Ponieważ nie można było dostarczyć im dość żywności, uważali, niezbyt zresztą rozsądnie, że powinno im się pozwolić na wyjazd. Pewne hasło zyskało sobie popularność, wypisywano je na murach i wykrzykiwano niekiedy, gdy przejeżdżał prefekt: "Chleba albo powietrza". Ta ironiczna formuła stała się sygnałem do manifestacji, które stłumiono szybko, lecz których poważny charakter był oczywisty dla każdego.

Dzienniki, rzecz prosta, były posłuszne zaleceniu optymizmu za wszelką cenę. Według nich sytuację charakteryzował "wzruszająco przykładowy spokój i zimna krew", jakie okazywała ludność. Ale w zamkniętym mieście, gdzie nic nie mogło pozostać tajemnicą, nikt nie miał złudzeń co do "przykładowej postawy" społeczności. I żeby mieć właściwe wyobrażenie o spokoju i zimnej krwi, o których była mowa, wystarczyło odwiedzić miejsca kwarantanny lub jeden z obozów odosobnienia, zorganizowanych przez administrację. Narrator, wezwany gdzie indziej, nie był tam. Dlatego trzeba tu przytoczyć opinie Tarrou.

W swych notatkach Tarrou mówi o tym, jak wraz z Rambertem odwiedził obóz mieszczący się na stadionie miejskim. Stadion znajduje się niemal u bram miasta i z jednej strony graniczy z ulicą, gdzie przejeżdżają tramwaje, z drugiej z rozległymi terenami ciągnącymi się aż do skraju płaskowzgórza, na którym zbudowane jest miasto. Otaczają go wysokie mury z cementu, wystarczyło więc postawić strażę przy czterech bramach wejściowych, by utrudnić ucieczkę. Jednocześnie mury broniły nieszczęśników odbywających kwarantannę przed ciekawością ludzi z zewnątrz. W zamian za to izolowani słyszeli przez cały dzień przejeżdżające tramwaje, nie widząc ich, i ze wzmożonego hałasu odgadywali godziny powrotu i wyjścia z biur. Wiedzieli więc, że życie, z którego byli wyłączeni, szło swoim trybem w odległości kilkunastu metrów od nich i że cementowe mury oddzielają dwa światy bardziej sobie obce, niż gdyby znajdowały się na różnych planetach.

Było niedzielne popołudnie, kiedy Tarrou i Rambert wybrali się na stadion. Towarzyszył im Gonzales, gracz w piłkę nożną, którego Rambert odnalazł i który zgodził się objąć nadzór stadionu, luzując urzędników. Rambert miał go przedstawić administratorowi obozu. Gdy się spotkali, Gonzales powiedział, że jest to właśnie godzina, kiedy przed dzumą ubierał się na mecz. Teraz, gdy stadiony zostały zarekwirowane, nie było to już możliwe i Gonzales czuł się i wyglądał jak człowiek, który nie ma nic do roboty. Był to jeden z powodów, dla których zgodził się na ten nadzór, pod warunkiem, że pracować będzie tylko przy końcu każdego tygodnia. Niebo było na wpół pokryte chmurami i Gonzales, zadarłszy nos, zauważył z żalem, że ta pogoda ani deszczowa, ani upalna, jest najbardziej odpowiednia dla dobrego meczu. Przywoływał, jak umiał, wspomnienia: zapach oliwy do masażu w szatniach, trybuny huczące od oklasków, koszulki w żywych kolorach na płowym boisku, w przerwach cytryny lub lemoniada, która kłuje wyschnięte gardło tysiącem odświeżających igiełek. Tarrou notuje zresztą, że przez całą drogę wyboistymi ulicami przedmieścia gracz nie przestawał kopać kamyków. Próbował wycelować prosto w otwór ścieku, a kiedy mu się to udało, mówił: "Jeden-zero". Gdy skończył papierosa, wypluwał niedopałek przed siebie i usiłował w locie podbić go nogą. Niedaleko od stadionu bawiące się dzieci rzuciły piłkę w ich stronę i Gonzales zadał sobie trud, by zwrócić im ją z precyzją.

Wreszcie weszli na stadion. Na trybunach pełno było ludzi. Ale teren stadionu pokrywały setki czerwonych namiotów, wewnątrz których widać było z daleka pościel i tłumoki. Trybuny zachowano, żeby internowani mogli się na nich schronić podczas deszczu i upału. Do namiotów wracali po zachodzie słońca. Pod trybunami znajdowały się jak dawniej prysznice i szatnie graczy, które zamieniono na biura i izby chorych. Większość internowanych była na trybunach. Inni wałęsali się po liniach bocznych boiska. Kilku siedziało w kucki przy wejściu do namiotów i wodziło wokół niepewnym spojrzeniem. Wśród tych, co siedzieli na trybunach, wielu było przygnębionych; zdawali się czekać.

— Co robią przez cały dzień? — zapytał Tarrou Ramberta.

— Nic.

W istocie, niemal wszyscy mieli opuszczone ręce i beczynne dłonie. To ogromne zgromadzenie ludzi było osobliwie milczące.

— W pierwszych dniach panował tu straszny hałas — powiedział Rambert. — Ale w miarę jak dni mijały, milkli coraz bardziej.

Jeśli wierzyć notatkom, Tarrou ich rozumiał; widział, jak z początku, stłoczeni w namiotach, słuchali brzęczenia much lub drapali się, wykrzykując swą złość i lęk, jeśli znaleźli chętne ucho. Ale gdy obóz był już przeludniony, coraz mniej było chętnych uszu. Pozostawało więc tylko zamilknąć i nie dowierzać nikomu. Rzeczywiście, jakaś nieufność spadła z szarego, a jednak świetlistego nieba na czerwony obóz.

Tak, wszyscy mieli nieufne miny. Skoro ich oddzielono jednych od drugich, nie było to pozbawione racji; wyglądali więc na ludzi, którzy szukają swoich racji i którzy się boją. Każdy z tych, na których Tarrou patrzył, miał puste spojrzenie, wszyscy zdawali się cierpieć na skutek oderwania od tego, co stanowiło ich życie. A ponieważ nie mogli wciąż myśleć o śmierci, nie myśleli o niczym. "Najgorsze jednak — pisał Tarrou — jest to, że są zapomniani i że o tym wiedzą. Ci, którzy ich znają, zapomnieli o nich, ponieważ myślą o czym innym, i to jest zrozumiałe. Jeśli zaś idzie o tych, którzy ich kochają, ci zapomnieli o nich także, ponieważ tracą siły, starając się o ich powrót i układając projekty dotyczące ich wyjścia. Myśląc o tym wyjściu, nie myślą już o tych, którzy mają wyjść. To także jest normalne. Widać z tego wreszcie, że nikt nie potrafi naprawdę myśleć o kim innym, nawet w najgorszym z nieszczęść. Myśleć bowiem rzeczywiście o kimś, to myśleć o nim minuta po minucie, nie zajmując się niczym, ani gospodarstwem, ani przelatującą muchą, ani posiłkami, ani swędzeniem skóry. Ale zawsze są muchy i swędzenie. Dlatego trudno jest żyć. A ci tutaj wiedzą o tym dobrze".

Przyszedł administrator obozu i powiedział, że jakiś pan Othon chce ich widzieć. Zaprowadził Gonzalesa do swego biura, potem zaś udał się z Tarrou i Rambertem na róg trybun; pan Othon, który siedział tam na osobności, wstał, żeby ich powitać. Wciąż był ubrany w ten sam sposób i nosił ten sam sztywny kołnierzyk. Tarrou zauważył tylko, że kępki włosów na skroniach były znacznie bardziej nastroszone, a jedno sznurowadło rozwiązane. Sędzia miał wygląd zmęczony i ani razu nie spojrzał w twarz swym rozmówcom. Powiedział, że rad jest ich widzieć, i poprosił, żeby podziękowali doktorowi Rieux za to, co uczynił.

Tamci milczeli.

— Mam nadzieję — rzekł sędzia po pewnym czasie — że Filip nie cierpiał bardzo.

Tarrou usłyszał wtedy po raz pierwszy, jak wymawia imię swego syna, i zrozumiał, że coś się zmieniło. Słońce zniżało się na horyzoncie i jego promienie, pomiędzy dwiema chmurami, padały prostopadle na trybuny, złocąc ich twarze.

— Nie — rzekł Tarrou — nie, nie cierpiał, naprawdę.

Kiedy odeszli, sędzia nadal patrzył w stronę, skąd świeciło słońce.

Poszli pożegnać się z Gonzalesem, który studiował tablicę kolejnych dyżurów. Gracz śmiał się, ściskając im ręce.

— Przynajmniej odnalazłem szatnie — mówił — tu nic się nie zmieniło.

Nieco później administrator odprowadzał Tarrou i Ramberta, kiedy jakieś donośne trzaski rozległy się na trybunach. Zaraz potem megafony, które w lepszych czasach służyły do oznajmiania wyniku meczów czy prezentacji drużyn, powiadomiły nosowym głosem, że internowani powinni wrócić do swych namiotów, by można było im rozdać posiłek wieczorny. Ludzie powoli opuszczali trybuny i szli do namiotów, powłócząc nogami. Kiedy wszyscy już się w nich znaleźli, dwa wózki elektryczne, jakie widuje się na dworcach, przejechały między namiotami, wioząc wielkie kotły. Ludzie wyciągali ręce, dwie warzachwie zanurzały się w dwóch kotłach, po czym lądowały w dwóch menażkach. Wózek jechał dalej. Przy następnym namiocie powtarzało się to samo.

— Naukowa metoda — powiedział Tarrou do administratora.

— Tak — odparł tamten z satysfakcją, ściskając im dłonie — naukowa.

Był już zmierzch, niebo stało się czyste. Łagodne i chłodne światło zalewało obóz. W spokoju wieczoru ze wszystkich stron dobiegał brzęk łyżek i talerzy. Nietoperze przeleciały nad namiotami i znikły nagle. Tramwaj zgrzytnął na zwrotnicy z drugiej strony murów.

— Biedny sędzia — mruknął Tarrou, wychodząc z bramy.

— Trzeba by coś zrobić dla niego. Ale jak pomóc sędziemu?

W mieście było też wiele innych obozów, o których narrator, ze skrupulatności i braku bezpośrednich informacji, nie może dużo powiedzieć. Może jednak powiedzieć, że istnienie tych obozów, odór ludzi idący stamtąd, wrzask megafonów o zmierzchu, tajemnica murów i obawa przed tymi potępionymi miejscami zaciążyły bardzo na poczuciu moralnym naszych współobywateli i pogłębiły jeszcze zamęt i niepokój. Mnożyły się zajścia i konflikty z administracją.

Tymczasem z końcem listopada poranki stały się bardzo zimne. Potop deszczów zmył jezdnie, oczyścił z chmur niebo nad lśniącymi ulicami. Rano bezsilne słońce rzucało na miasto iskrzące się i lodowate światło. Natomiast pod wieczór powietrze znów się ocieplało. Była to chwila, którą wybrał Tarrou, żeby zwierzyć się doktorowi Rieux.

Pewnego wieczoru około dziesiątej, po długim i wyczerpującym dniu, Tarrou towarzyszył Rieux, który szedł z wieczorną wizytą do starego astmatyka. Niebo połyskiwało łagodnie nad domami starej dzielnicy. Lekki wiatr wiał bezgłośnie na ciemnych skrzyżowaniach. Dwaj mężczyźni, którzy przyszedli ze spokojnych ulic, wpadli od razu w gadaninę starego. Oznajmił im, że ludzie protestują, że wciąż ci sami mają, czego dusza zapragnie, że tak długo dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie, i że prawdopodobnie (tu zatarł ręce) dojdzie do hecy. Przez cały czas, gdy doktor był przy nim, nie przestawał komentować wypadków.

Usłyszeli kroki nad sobą. Stara kobieta zauważyła zaciekawioną minę Tarrou i wyjaśniła, że to sąsiedzi są na tarasie. Dowiedzieli się zarazem, że z góry jest piękny widok, że tarasy często stykają się ze sobą z jednej strony i kobiety w tej dzielnicy mogą się odwiedzać, nie wychodząc z domu.

— Tak — powiedział stary — wejdźcie na górę. Tam jest dobre powietrze.

Taras był pusty, znajdowały się na nim trzy krzesła. Z jednej strony, jak okiem sięgnąć, widać było tylko płaskie dachy, które u końca opierały się o ciemną i kamienną bryłę: rozpoznali pierwsze wzgórze. Z drugiej strony, nad kilku ulicami i niewidocznym portem, spojrzenie zanurzało się w horyzoncie, gdzie połączone niebo i morze pulsowały niewyraźnie. Nad tym, co było skałami, pojawiło się regularne światelko, którego źródła nie dostrzegali: to latarnia morska od wiosny sygnalizowała statkom, by płynęły ku innym portom. Czyste gwiazdy świeciły na wymiecionym i wygładzonym przez wiatr niebie i dalekie światelko latarni morskiej raz po raz dorzucało do ich blasku przelotny popiół. Ciepły wiatr przynosił zapach korzeni i kamienia. Spokój był zupełny.

— Dobrze tu — rzekł Rieux siadając. — Jak gdyby dżumy nigdy nie było. Tarrou stał do niego plecami i patrzył na morze.

— Tak — powiedział po chwili — dobrze tu.

Usiadł obok doktora i patrzył na niego uważnie. Trzy razy światelko pojawiło się na niebie. Brzęk naczyń dochodził do nich z głębi ulicy. W domu trzasnęły drzwi.

— Czy pan nigdy nie próbował dowiedzieć się, kim jestem? — zapytał Tarrou bardzo naturalnym tonem. — Czy czuje pan przyjaźń dla mnie?

— Tak — odparł doktor. — Ale aż dotąd brakło nam czasu.

— Dobrze, to mnie pociesza. Czy chce pan, żeby ta godzina była godziną przyjaźni? Rieux uśmiechnął się tylko w odpowiedzi.

— A zatem...

Kilka ulic dalej jakieś auto ślizgało się długo po wilgotnej jezdni. W końcu odjechało; po chwili pomieszane okrzyki dochodzące z daleka znów przerwały ciszę. Wreszcie cisza spadła na obu mężczyzn całym ciężarem nieba i gwiazd. Tarrou wstał i usiadł na parapecie, naprzeciw Rieux, siedzącego wciąż w głębi krzesła. Masywny kształt ciała Tarrou odcinał się na tle nieba. Mówił długo i oto mniej więcej jego słowa:

“Żeby uprościć sprawę, powiedzmy, że cierpiałem na dżumę długo przedtem, zanim poznałem to miasto i tę epidemię. Dość powiedzieć, że jestem jak wszyscy. Ale są ludzie, którzy tego nie wiedzą albo czują się dobrze w tej sytuacji, i ludzie, którzy wiedzą i nie chcą jej. Ja nie chciałem nigdy.

Kiedy byłem młody, żyłem przekonany o własnej niewinności, to znaczy nie miałem żadnych przekonań. Nie należę do niespokojnych duchów, rozpoczynałem, jak trzeba. Szło mi dobrze, porozumiewałem się łatwo, wiodło mi się z kobietami, a jeśli miałem jakieś niepokoje, mijały tak samo, jak przychodziły. Pewnego dnia zacząłem się zastanawiać. Teraz...

Muszę panu powiedzieć, że nie byłem biedny jak pan. Mój ojciec był zastępcą prokuratora generalnego, co jest pozycją. Nic jednak tego nie zdradzało, z natury bowiem był poczciwy. Moja matka była prosta i zawsze w cieniu, nigdy nie przestałem jej kochać, ale wolę o tym nie mówić. Ojciec zajmował się mną, kochał i sądzę nawet, że usiłował mnie rozumieć. Miał swoje przygody, jestem teraz tego pewien, ale bynajmniej mnie to nie oburza. Zachowywał się w tym wszystkim, jak należało się po nim spodziewać, nie urażając nikogo. Krótko mówiąc, nie był zbyt oryginalny i dziś, kiedy nie żyje, zdaję sobie sprawę, że jeśli nie żył jak święty, nie był przecież złym człowiekiem. Trzymał się środka, ot i wszystko; dla tego rodzaju ludzi żywi się rozsądne uczucia, a uczucia te sprawiają, że życie idzie dalej.

Miał jednak pewną osobliwą cechę: wielki rozkład jazdy Chaixa był książką, z którą się nie rozstawał. Nie dlatego żeby podróżował, nie licząc wyjazdu na wakacje do Bretanii, gdzie miał niewielką posiadłość. Ale potrafił podać dokładnie godziny wyjazdu i przyjazdu pociągu Paryż-Berlin, kombinacje połączeń między Lyonem i Warszawą, dokładną liczbę kilometrów pomiędzy dowolnie wybranymi stolicami. Czy umiałby pan powiedzieć, jak jedzie się z Briangon do Chamonix? Nawet naczelnik stacji by się w tym zgubił. Mój ojciec się nie gubił. Niemal co wieczór poświęcał czas na wzbogacanie swych wiadomości w tej dziedzinie i raczej był z nich dumny. Bawiło mnie to ogromnie i często zadawałem mu pytania, z zachwytem sprawdzając jego odpowiedzi w wielkim rozkładzie



jazdy i stwierdzając, że się nie pomylił. Te małe ćwiczenia bardzo nas złączyły, stanowiąc bowiem dla niego audytorium, którego dobrą wolę oceniał. Co do mnie zaś, uważałem, że ta doskonałość w zakresie kolejnictwa jest tyle samo warta co każda inna.

Ale ponoszą mnie wspomnienia i obawiam się, że zbyt wielkie znaczenie przydaje temu zacnemu człowiekowi. Żeby z tym skończyć, dodam, że nie miał bezpośredniego wpływu na moją decyzję. Co najwyżej dostarczył mi okazji. Kiedy miałem bowiem siedemnaście lat, ojciec zaproponował mi, żebym poszedł go posłuchać. Chodziło o ważną sprawę w sądzie przysięgłych i myślał na pewno, że ukaże się w najlepszym świetle. Sądzę również, że liczył na tę ceremonię, mogącą podzielać na młodą wyobraźnię, by skierować mnie na drogę, którą sam wybrał. Zgodziłem się, ponieważ sprawiało to przyjemność memu ojcu, a także dlatego, że byłem ciekaw zobaczyć go i usłyszeć w innej roli niż ta, którą grał wśród nas. Nie myślałem o niczym więcej. To, co działo się w sądzie, wydawało mi się zawsze tak samo naturalne i nieuniknione jak defilada na 14 lipca czy rozdanie nagród. Miałem o tym wyobrażenie bardzo abstrakcyjne, które nie robiło mi żadnej różnicy.

Mimo to z owego dnia pozostał mi tylko jeden obraz – winowajcy. Myślę, że był winien rzeczywiście, mniejsza czego. Ale ten mały mężczyzna o rudym i skąpym zaroście, lat około trzydziestu, wydawał się tak zdecydowany, żeby się do wszystkiego przyznać, tak szczerze przerażony tym, co zrobił i co jemu zrobią, że po kilku minutach nie mogłem oderwać od niego oczu. Wyglądał jak sowa spłoszona zbyt żywym światłem. Węzeł jego krawata nie przylegał dokładnie do kołnierzyka. Ogryzał sobie paznokcie u jednej ręki, u prawej... Krótko mówiąc, nie muszę podkreślać; zrozumiał pan, że był to żywy człowiek.

Ale ja zdałem sobie z tego sprawę nagle, dotychczas bowiem patrzyłem na niego, używając wygodnej szufladki «Oskarżony». Nie mogę powiedzieć, żebym zapomniał wówczas o moim ojcu, ale coś ścisnęło mi żołądek, odbierając wszelkie zainteresowanie prócz zainteresowania oskarżonym. Nie słyszałem niemal nic, czułem, że chcę zabić tego żywego człowieka, i jakiś straszny instynkt, jak fala, niósł mnie ku niemu z rodzajem upartego zaślepienia. Ocknąłem się naprawdę dopiero wtedy, gdy mój ojciec rozpoczął mowę oskarżycielską.

Był zmieniony w czerwonej todze, ani poczciwy, ani serdeczny, w jego ustach roilo się od ogromnych zdań, które wychodziły z nich bez przerwy, niczym węze. I zrozumiałem, że w imieniu społeczeństwa żąda śmierci tego człowieka, żąda nawet, żeby ścięto mu głowę. Co prawda powiedział tylko: «Ta głowa powinna spaść». Ale w końcu

różnica jest niewielka. I wyszło na jedno, w gruncie rzeczy, skoro otrzymał tę głowę. Tyle tylko, że on jej sam nie ściał. Ja zaś śledziłem potem sprawę aż do jej zakończenia i czułem się z tym nieszczęsnym związany mocniej i bardziej blisko niż kiedykolwiek z moim ojcem. Ojciec natomiast, zgodnie ze zwyczajem, musiał być obecny przy tym, co uprzejmie nazywa się ostatnimi chwilami i co należy nazwać najnikczemniejszym z morderstw.

Począwszy od tej chwili, patrzyłem na rozkład jazdy Chaixa z okropnym obrzydzeniem. Począwszy od tej chwili, ze wstrętem interesowałem się sądami, wyrokami śmierci, egzekucjami; stwierdziłem z zawrotem głowy, że mój ojciec wiele razy był obecny przy morderstwach, właśnie wtedy, kiedy wstawał wcześnie. Tak, w tych wypadkach nastawiał budzik na wcześniejszą godzinę. Nie odważyłem się o tym mówić matce, ale wówczas widziałem ją lepiej i rozumiałem, że nie ma już nic między nimi i że jej życie jest wyrzeczeniem. To pomogło mi jej wybaczyć, jak mawiałem wówczas. Później dowiedziałem się, że nie mam jej nic do wybaczenia, ponieważ matka aż do swego małżeństwa była biedna i bieda nauczyła ją rezygnacji.

Czeka pan zapewne, żebym panu powiedział, że opuściłem dom natychmiast. Nie, zostałem, wiele miesięcy, niemal rok. Ale miałem chore serce. Pewnego wieczoru ojciec poprosił o budzik, ponieważ miał wstać wcześniej. Nie spałem przez całą noc. Nazajutrz, kiedy wrócił, mnie już nie było. Powiedzmy od razu, że ojciec kazał mnie szukać, że przyszedłem do niego, że nic nie wyjaśniając powiedziałem mu spokojnie, iż zabiję się, jeśli mnie zmusi do powrotu. Zgodził się w końcu, z natury bowiem był łagodny, wygłosił mowę o głupocie pragnienia, by żyć własnym życiem (tak sobie tłumaczył mój gest, a ja bynajmniej nie odwodziłem go od tej myśli), dał mi tysiące zaleceń i powstrzymał szczerę łzy napływające mu do oczu. Po pewnym czasie zacząłem przychodzić regularnie do matki i spotykałem go wówczas. Sądzę, że te stosunki mu wystarczyły. Co do mnie, nie czułem do niego niechęci, miałem tylko trochę smutku w sercu. Kiedy umarł, zabrałem matkę do siebie i byłaby ze mną wciąż jeszcze, gdyby i ona z kolei nie umarła.

Długo zatrzymałem się na tym początku, ponieważ był w istocie początkiem wszystkiego. Teraz pójdzie już szybciej. Mając osiemnaście lat, poznałem biedę, wyrósłszy w dobrobycie. Żeby zarobić na życie, nauczyłem się tysiąca zawodów. Nie najgorzej mi się powiodło. Ale interesowały mnie wyroki śmierci. Chciałem uregulować rachunek z rudą sową. Toteż zajmowałem się polityką, jak to się powiada. Nie chciałem być zadzumionym, tylko tyle. Sądziłem, że społeczeństwo, w którym żyję, opiera się na

karze śmierci i że walcząc przeciw niemu, zwalczam morderstwo. Wierzyłem w to, inni mi mówili to samo i w końcu było to w znacznej mierze prawdą. Złączyłem się więc z innymi, których kochałem i których nie przestałem kochać. Byłem z nimi długo i nie ma w Europie kraju, w którego walkach nie uczestniczyłem. Mniejsza o to.

Wiedziałem oczywiście, że my także skazujemy w pewnych okolicznościach. Ale mówiono mi, że trzeba tych kilku trupów, aby powstał świat, gdzie nie zabija się nikogo. Było to w pewien sposób prawdziwe, a zresztą, może nie potrafię uznawać prawd tego rodzaju. Rzecz jednak pewna, że się wahałem. Ale myślałem o sobie i dlatego mogło to trwać aż do dnia, kiedy zobaczyłem egzekucję (było to na Węgrzech) i ten sam zawrót głowy, którego doznało dziecko, zaćmił wzrok dorosłego mężczyzny.

Czy nie widział pan nigdy, jak rozstrzelują człowieka? Nie, oczywiście, na ogół trzeba zaproszenia, publiczność jest wybrana zawczasu. W rezultacie zna pan to z rycin i książek. Przepaska, słup i z daleka kilku żołnierzy. A więc nie! Czy wie pan, że pluton egzekucyjny staje w odległości półtora metra od skazańca? Czy wie pan, że gdyby skazaniec postąpił dwa kroki naprzód, zawadziłby piersią o karabiny? Czy wie pan, że z tak małej odległości rozstrzelujący koncentrują ogień na okolicy serca i wielkimi nabojami robią dziurę, w którą można by włożyć pieść? Nie, pan tego nie wie, ponieważ są to szczegóły, o których się nie mówi. Sen ludzi to rzecz bardziej święta niż życie dla zadzumionych. Nie należy mącić snu zacnym ludziom. Do tego trzeba by złego smaku, a dobry smak, jak wiadomo, polega na tym, żeby nie nalegać. Ale ja nie spałem dobrze od tego czasu. Zły smak pozostał mi w ustach i nie przestałem nalegać, to znaczy myśleć o tym.

Zrozumiałem wówczas, że przynajmniej ja nie przestałem być zadzumionym przez te wszystkie długie lata, choć wierzyłem z całej duszy, że walczę właśnie z dżumą. Dowiedziałem się, że pośrednio kładłem swój podpis pod śmiercią tysięcy ludzi, że nawet tę śmierć powodowałem, uważając za słuszne czyny i zasady, które ją nieuchronnie sprowadzały. Innym to nie przeszkadzało albo przynajmniej nie mówili nigdy o tym dobrowolnie. Ja miałem pętlę na gardle. Byłem z nimi, a mimo to byłem sam. Kiedy mówiłem o swoich skrupułach, odpowiadali mi, że należy zastanowić się nad tym, co wchodzi w grę, i często przytaczali ważne racje, bym mógł strawić to, czego nie mogłem przełknąć. Odpowiadałem jednak, że wielcy zadzumieni, ci, co wkładają czerwone togi, mają w tych razach równie doskonałe racje i jeśli zgodzę się na siłę wyższą i konieczności, na jakie powoływali się mali zadzumieni, nie będę mógł odrzucić racji

wielkich. Zwracali mi uwagę, że znakomitym sposobem przyznania słuszności czerwonym togom jest pozostawienie im wyłącznego prawa do skazywania. Ale mówiłem sobie wtedy, że jeśli ustąpię jeden raz, nie ma powodu, żeby się potem zatrzymać. Zdaje się, że historia przyznała mi słuszność, dziś należy ona do tych, którzy zabijają najwięcej. Wszystkich ogarnął szal mordowania i nie mogą postępować inaczej.

W każdym razie moją sprawą nie było rozumowanie. Moja sprawa to była ruda sowa, ta plugawa historia, kiedy plugawe zadżumione usta ogłaszały człowiekowi w kajdanach, że umrze, kiedy robiono wszystko, by umarł naprawdę po wielu nocach agonii, podczas których czekał, aż zamordują go, a on będzie patrzył otwartymi oczami. Moja sprawa to była dziura w piersi. I powiadałem sobie, że na razie, przynajmniej jeśli idzie o mnie, nie zgodzę się nigdy ani na jedną rację, ani na jedną, słyszy pan, usprawiedliwiającą tę ohydłą rzeźnię. Tak, zgodziłem się na to uparte zaślepienie w oczekiwaniu, że potem zobaczę jaśniej.

Odtąd nie zmieniłem się. Od dawna już czuję wstyd, śmiertelny wstyd, że i ja z kolei, choć z daleka, choć działając w dobrej woli, byłem mordercą. Z czasem spostrzegłem, że nawet ci, co są lepsi od innych, nie mogą dziś przestać zabijać lub nie pozwalać na zabójstwa, wynika to bowiem z logiki ich życia; że nie możemy na tym świecie uczynić gestu nie ryzykując, iż powodujemy śmierć. Tak, nadal czuję wstyd, wiem już, że wszyscy żyjemy w dżumie, i straciłem spokój. Szukam go dziś jeszcze, usiłując zrozumieć wszystkich i nie być śmiertelnym wrogiem nikogo. Pewne jest jedynie, że należy zrobić wszystko, żeby nie być zadżumionym, i to tylko może nam dać nadzieję spokoju lub, w braku spokoju, nadzieję dobrej śmierci. To tylko może ulżyć ludziom i jeśli ich nie uratuje, to przynajmniej przyniesie im mniej zła, a nawet niekiedy trochę dobra. Dlatego postanowiłem odrzucić wszystko, co z bliska czy z daleka, dla dobrych czy złych powodów, powoduje śmierć lub usprawiedliwia zabójstwo.

Dlatego też ta epidemia niczego mnie nie uczy prócz tego, że trzeba z nią walczyć po stronie pana. Wiem na pewno (tak, wiem wszystko o życiu, jak pan widzi), że każdy nosi w sobie dżumę, nikt bowiem, nie, nikt na świecie nie jest od niej wolny. I trzeba czuwać nad sobą nieustannie, żeby w chwili roztargnienia nie tchnąć dżumy w twarz drugiego człowieka i żeby go nie zakazić. Mikrob jest czymś naturalnym. Reszta, zdrowie, nieskazitelność, czystość, jeśli chce pan tak to nazwać, to skutek woli, i to woli, która nie powinna nigdy ustawać. Uczciwy człowiek, który nie zaraża niemal nikogo, to człowiek możliwie najmniej roztargniony. A trzeba woli i napięcia, żeby nie ulec nigdy

roztargnieniu! Tak, Rieux, to bardzo meczące być zadżumionym. Ale jeszcze bardziej meczące jest nie chcieć nim być. Stąd zmęczenie wszystkich, ponieważ wszyscy są trochę zadżumieni. Dlatego jednak ci nieliczni, którzy chcą z tym skończyć, znają kres zmęczenia, od którego nic ich nie uwolni prócz śmierci.

Odtąd wiem, że nic nie jestem wart dla tego świata i że począwszy od chwili, kiedy nie zgodziłem się zabijać, skazałem się na ostateczne wygnanie. To inni stworzą historię. Wiem również, że pozornie nie mogę sądzić tych innych. Brak mi pewnej cechy, bym mógł być rozsądnym zabójcą. Nie jest to więc przewaga. Ale teraz zgadzam się być tym, kim jestem, nauczyłem się skromności. Powiadam tylko, że są na tej ziemi zarazy i ofiary i że trzeba, o ile to możliwe, nie zgodzić się na udział w zarazie. Może to wyda się panu nieco naiwne; nie wiem, czy to jest naiwne, ale wiem, że jest prawdziwe. Słyszałem tyle rozumowań, które omal nie zawróciły mi w głowie i które zawróciły w głowach innym w wystarczającym stopniu, by zgodzili się na morderstwo, że zrozumiałem: całe nieszczęście ludzi płynie stąd, że nie mówią jasnym językiem. Postanowiłem tedy mówić i działać jasno, aby wejść na dobrą drogę. A zatem mówię, że są zarazy i ofiary, i nic więcej. Jeśli to mówiąc staje się sam zarazą, przynajmniej się z nią nie zgadzam. Usiłuję być niewinnym mordercą. Widzi pan, że nie jest to wielka ambicja.

Oczywiście, trzeba jeszcze, żeby była trzecia kategoria, to znaczy prawdziwi lekarze, ale wiadomo, że nie spotka się ich wielu i że to jest trudne. Dlatego postanowiłem stawać po stronie ofiar przy każdej okazji, by umniejszyć spustoszenia. Pośród ofiar mogę przynajmniej szukać drogi do trzeciej kategorii, to znaczy do spokoju".

Kończąc, Tarrou kiwał nogą i lekko uderzał stopą o dach. Po chwili ciszy doktor wstał i zapytał, czy Tarrou wyobraża sobie, jaką trzeba obrać drogę, by osiągnąć spokój.

— Tak, sympatię.

Dwa dzwonki ambulansów zabrzmiały daleko. Okrzyki, pomieszane przed chwilą, skupiły się na krańcu miasta, w pobliżu kamienistego wzgórza. Jednocześnie usłyszeli coś niby wystrzał. Potem wróciła cisza. Rieux policzył dwa mrugnięcia latarni morskiej. Wiatr przybrał na sile i jednocześnie wiew idący od morza przyniósł zapach soli. Słychać było teraz wyraźnie głuchy oddech fal uderzających o skałę.

— Krótko mówiąc — powiedział Tarrou z prostotą — chciałbym wiedzieć, jak stać się świętym; tylko to mnie interesuje.

— Ale pan nie wierzy w Boga.

— Właśnie. Znam dziś tylko jedno konkretne zagadnienie: czy można być świętym bez Boga.

Nagle wielkie światło buchnęło w stronie, skąd dochodziły krzyki, i dobiegł ich głuchy hałas idący w górę z prądem wiatru. Światło przygasło wkrótce i daleko, na skraju płaskich dachów, został tylko czerwony blask. Gdy wiatr ucichł na chwilę, usłyszeli wyraźne krzyki ludzi, potem trzask ładowanej broni i wrzawę tłumu. Tarrou wstał i nasłuchiwał. Nic już nie było słycać.

— Znowu starcie przy bramach.

— Już się skończyło — rzekł Rieux.

Tarrou szepnął, że to nigdy się nie skończy i że będą jeszcze ofiary, taki jest bowiem porządek rzeczy.

— Możliwe — odparł doktor — ale widzi pan, czuję się bardziej solidarny ze zwycięzonymi niż ze świętymi. Sądzę, że nie mam upodobania do bohaterstwa i świętości. Obchodzi mnie tylko, żeby być człowiekiem.

— Tak, szukamy tego samego, ale ja jestem mniej ambitny.

Rieux pomyślał, że Tarrou żartuje, i spojrzał na niego. Ale w niewyraźnym świetle idącym z nieba ujrzał smutną i poważną twarz. Wiatr podniósł się znowu i Rieux poczuł, że ma wilgotną skórę. Tarrou się otrząsnął.

— Czy wie pan — powiedział — co powinniśmy zrobić dla przyjaźni?

— Co pan zechce — odparł Rieux.

— Wykąpać się w morzu. Nawet dla przyszłego świętego jest to godziwa przyjemność.

Rieux uśmiechnął się.

— Z naszymi przepustkami możemy iść na molo. To zbyt głupie w końcu żyć tylko dżumą. Oczywiście, człowiek powinien bić się w obronie ofiar. Ale jeśli przestanie kochać, cóż z tego, że się bije?

— Tak — powiedział Rieux — chodźmy.

W chwilę potem auto zatrzymało się u krat portu. Wszedł księżyc. Mleczne niebo rzucało wszędzie blade cienie. Za nimi piętrzyło się miasto i dochodziło ciepłe i chore tchnienie popychające ich ku morzu. Pokazali swoje papiery strażnikowi, który badał je dość długo. Wśród zapachów wina i ryb przeszli przez podtorze pokryte beczkami i skierowali się na molo. Zanim jeszcze tam przyszli, zapach jodu i wodorostów oznajmił im morze. Potem usłyszeli je.

Morze gwizdało lekko u stóp wielkich bloków mola i kiedy się wspinali, wydało im się gęste jak aksamit, zwinne i gładkie jak zwierzę. Usiedli na skałach zwróconych ku pełnemu morzu. Woda wzdymała się i opadała powoli. Ten spokojny oddech morza kładł oleiste refleksy na powierzchni wody i ścierał je na przemian. Przed nimi noc była bezkresna. Rieux, który czuł pod palcami wysmaganą powierzchnię skał, był pełen dziwnego szczęścia. Zwrócony do Tarrou, odgadł na spokojnej i poważnej twarzy przyjaciela to samo szczęście, nie zapominające o niczym, nawet o morderstwie.

Rozebrali się. Rieux dał nurka pierwszy. Woda chłodna z początku, wydała mu się ciepła, kiedy wypłynął. Po kilku ruchach wiedział, że tego wieczoru morze jest ciepłe, ciepłem mórz jesiennych, które zabierają ziemi żar nagromadzony przez długie miesiące. Pływał miarowo. Uderzenia stóp pozostawiały z tyłu kipiącą pianę, woda uciekała wzdłuż rąk, by przywrzeć do nóg. Ciężki plusk oznajmił mu, że Tarrou skoczył. Rieux odwrócił się na plecy i leżał nieruchomo, twarzą do odwróconego nieba, pełnego gwiazd i księżycy. Potem ze szczególną jasnością, w ciszy i samotności nocy, usłyszał coraz wyraźniejszy odgłos uderzanej wody. Tarrou zbliżał się, wkrótce usłyszał jego oddech. Rieux odwrócił się i popłynął w tym samym rytmie obok przyjaciela. Tarrou szedł naprzód z większą siłą niż on i Rieux musiał przyspieszyć tempa.

Przez kilka minut płynęli jednak, z tą samą mocą, samotni, daleko od świata, wolni nareszcie od miasta i dżumy. Rieux zatrzymał się pierwszy i wracali powoli, prócz owej chwili, kiedy dostali się w lodowaty prąd. Milcząc popłynęli szybciej, przynaglani tą niespodzianką morza.

Ubrali się i poszli nie powiedziawszy słowa. Ale serca mieli jednakie i wspomnienie tej nocy było im słodkie. Kiedy ujrzeli z daleka straż dżumy, Rieux wiedział, iż Tarrou mówi sobie tak jak i on, że choroba zapomniała o nich, że to dobrze i że trzeba teraz zacząć na nowo.

Tak, trzeba było zacząć na nowo, a dżuma nie zapominała o nikim zbyt długo. Przez grudzień płonęła w piersiach naszych współobywateli, rozświetlała piec, zaludniała obozy cieniami o pustych rękach, nie przestawała wreszcie iść naprzód swym cierpliwym i urywanym krokiem. Władze liczyły, że chłodne dni powstrzymają ten pochód, dżuma jednak szła przez pierwsze surowe dni zimy i trwała nadal. Trzeba było jeszcze czekać. Ale w miarę czekania przestaje się już czekać i całe nasze miasto żyło bez przyszłości.

Jeśli idzie o doktora, przelotna chwila spokoju i przyjaźni, która została mu dana, nie miała jutra. Otworzono jeszcze jeden szpital i Rieux bywał sam na sam tylko z chorymi. Zauważył jednak, że w tym stadium epidemii, kiedy dżuma coraz częściej przybierała formę dżumy płucnej, chorzy jakby w pewien sposób pomagali lekarzowi. Zamiast, jak na początku, poddawać się wyczerpaniu czy szaleństwom, nabrali właściwego wyobrażenia o tym, co dla nich korzystne, i sami żądali tego, co mogło im być najbardziej pomocne. Prosiли nieustannie o picie i wszyscy pragnęli ciepła. Choć zmęczenie doktora było nie mniejsze, czuł się jednak mniej sam w takich razach.

Pod koniec grudnia Rieux otrzymał list od pana Othona, sędziego śledczego, który znajdował się jeszcze w obozie; w liście była mowa o tym, że czas kwarantanny minął, że administracja nie może znaleźć daty jego przybycia i że na pewno zatrzymują go w obozie internowanych przez pomyłkę. Żona sędziego, która niedawno zakończyła kwarantannę, złożyła protest w prefekturze, gdzie ją źle przyjęto i gdzie jej powiedziano, że pomyłki nigdy się nie zdarzają. Rieux polecił Rambertowi, żeby się tym zajął, i w kilka dni potem pan Othon się zjawił. W istocie zaszła pomyłka i Rieux oburzał się trochę. Ale wychudzony pan Othon podniósł wilgotną dłoń i powiedział, ważąc słowa, że wszyscy mogą się mylić. Doktor pomyślał tylko, że coś się zmieniło.

— Co pan będzie robił, panie sędzio? Sprawy na pana czekają.

— Nie — odparł sędzia. — Chciałbym wziąć urlop.

— Rzeczywiście, powinien pan odpocząć.

— Nie o to chodzi, chcę wrócić do obozu.

Rieux się zdumiał:

— Ależ pan stamtąd wraca!

— Pan mnie źle zrozumiał. Powiedziano mi, że w administracji obozu pracują ochotnicy.

Sędzia obracał okrągłymi oczami i próbował przyglądać kępkę włosów.

— Rozumie pan, miałbym zajęcie. A poza tym, głupio to mówić, czułbym się bliżej mego chłopca.

Rieux patrzył na niego. Niemożliwe, żeby w tych twardych i płaskich oczach nagle zamieszkała słodycz. Ale stały się bardziej mgliste, straciły metaliczną czystość.

— Zajmę się tym, rzecz prosta — powiedział Rieux — skoro pan sobie życzy.

Istotnie, doktor zajął się tą sprawą i życie w zadżumionym mieście aż do Bożego Narodzenia szło dalej swym trybem. Tarrou nadal wnosił wszędzie swój pożyteczny



spokój. Rambert zwierzył się doktorowi, że dzięki dwóm młodym strażnikom udało mu się potajemnie nawiązać korespondencję z żoną. Od czasu do czasu otrzymywał od niej listy. zaproponował Rieux, żeby skorzystał ze znanego mu sposobu, i doktor się zgodził. Napisał po raz pierwszy od długich miesięcy, ale z największą trudnością. Był to język, którym nie umiał się już posługiwać. List został wysłany, ale odpowiedzi wciąż nie było. Cottardowi wiodło się dobrze, wzbogacał się na drobnych spekulacjach. Co do Granda, okres świąt nie miał mu wyjść na dobre.

Boże Narodzenie w tym roku było raczej świętem Piekła niż Ewangelii. Puste i ciemne sklepy, sztuczna czekolada albo puste pudełka na wystawach, tramwaje wypełnione posępными postaciami, nic nie przypominało dawnych Gwiazdek. W tym święcie, które ongi łączyło wszystkich, bogatych i biednych, pozostało już tylko miejsce na samotne i wstydlive przyjemności uprzywilejowanych, którzy opłacali je złotem w tylnych pokojach brudnych sklepów. Kościoły wypełniały raczej skargi niż dziękczynienia. Przez ponure i mroźne miasto przebiegały z rzadka dzieci, nieświadome jeszcze, co im grozi. Ale nikt nie ośmielał się oznajmić im przybycia dawnego Boga niosącego dary, starego jak trud, lecz nowego jak młoda nadzieja. W sercach wszystkich było tylko miejsce na bardzo starą i bardzo posępną nadzieję, tę właśnie, która nie pozwala ludziom poddać się śmierci i nie jest niczym innym, jak upieraniem się przy życiu.

Poprzedniego dnia Grand nie przyszedł na umówioną godzinę. Zaniepokojony Rieux udał się do niego wczesnym rankiem, ale nie zastał go w domu. Zaalarmowano wszystkich. Około jedenastej Rambert przyszedł do szpitala i powiedział doktorowi, że widział Granda z daleka, błakającego się po ulicach, ze zmienioną twarzą. Potem zniknął mu z oczu. Doktor i Tarrou pojechali szukać go autem.

W zimne popołudnie Rieux, wysiadłszy z auta, patrzył z daleka na Granda przyklejonego niemal do szyby wystawowej, za którą pełno było zabawek niekształtnie rzeźbionych w drewnie. Po twarzy starego urzędnika łzy płynęły bez przerwy. I te łzy wstrząsnęły doktorem, rozumiał je bowiem i czuł je również w głębi gardła. I on pamiętał o zaręczynach biedaka przed sklepem przybranym na Boże Narodzenie i o Jeanne, pochylonej ku Grandowi, by mu powiedzieć, że jest zadowolona. Z głębi odległych lat, z samego serca tego szaleństwa, świeży głos Jeanne powracał ku Grandowi, to pewne. Rieux wiedział, co myślał w tej chwili płacząc stary człowiek, i doktor myślał tak samo jak on, że świat bez miłości jest martwym światem i że zawsze przychodzi godzina, kiedy

zmęczony więzieniami, pracą i odwagą błaga o twarz jakiejś istoty i o serce olśnione czułością.

Ale Grand zobaczył go w szybie. Nie przestając płakać, odwrócił się, oparł plecami o witrynę i patrzył, jak Rieux ku niemu idzie.

— Ach, doktorze! Ach, doktorze! — jęknął.

Rieux skinął głową na znak zrozumienia, niezdolny powiedzieć słowa. Ta rozpacz była jego rozpaczą i ogromny gniew szarpał mu w tej chwili serce, gniew ogarniający człowieka na widok bólu, który jest udziałem wszystkich ludzi.

— Tak, Grand — powiedział.

— Chciałbym mieć czas na napisanie do niej listu. Żeby wiedziała... i żeby mogła być szczęśliwa bez wyrzutów sumienia.

Rieux pociągnął Granda niemal gwałtem. Tamten mówił dalej, pozwalając się wlec i bełkocząc urywki zdań.

— To trwa zbyt długo. Człowiek ma ochotę ulec, to silniejsze od niego. Ach, doktorze! Wyglądam spokojnie. Zawsze jednak musiałem czynić ogromne wysiłki, żeby być choćby normalnym. Ale teraz tego już za wiele.

Zatrzymał się, drżąc na całym ciele, z obłąkanymi oczami. Rieux wziął go za rękę. Płonęła.

— Trzeba iść do domu.

Ale Grand wyrwał mu się, przebiegł kilka kroków, potem stanął, odsunął ręce od ciała i zaczął się kiwać w tył i do przodu. Obrócił się wkoło i upadł na zimny chodnik, z twarzą ubrudzoną łzami, które nie przestawały płynąć. Przechodnie stanęli i patrzyli z daleka, nie mając odwagi podejść bliżej. Rieux musiał wziąć starego człowieka na ręce.

Teraz Grand dusił się w łóżku: płuca były zajęte. Rieux zastanawiał się. Urzędnik nie miał rodziny. Po co go przewozić? Sam z Tarrou będzie go pielęgnować... Grand leżał w zagłębieniu poduszki, skórę miał zzieleniałą, oko zgaszone. Patrzył niezmiennie na wątły ogień, który Tarrou rozpałił na kominku, znalazłszy kawałki starej skrzynki. "Niedobrze" — mówił Grand. I z głębi jego rozpalonych płuc dobywał się dziwaczny szmer towarzyszący wszystkim jego słowom. Rieux zalecił mu milczeć i powiedział, że wróci. Szczególny uśmiech ukazał się na twarzy chorego, a wraz z nim coś niby czułość. Mrugnął okiem z wysiłkiem. "Jeśli wyjdę z tego, kapelusze z głów, panowie!" Ale zaraz potem popadł w zupełną prostrację.

W kilka godzin później Rieux i Tarrou zastali chorego na wpół siedzącego na łóżku i Rieux z przerażeniem ujrzał na jego twarzy postępy spalającej go choroby. Ale zdawało się, że bardziej jest przytomny i głosem dziwnie pustym poprosił ich, żeby przynieśli mu rękopis, który zostawił w szufladzie. Tarrou podał mu kartki, które Grand przycisnął do siebie nie patrząc na nie; potem wręczył je doktorowi, prosząc gestem, żeby przeczytał. Był to niewielki rękopis składający się z pięćdziesięciu stronic. Doktor przerzucił je i zrozumiał, że wszystkie te kartki zawierają to samo zdanie, nieskończoną ilość razy przepisane, przerobione, wzbogacone lub zubożone. Wciąż obok siebie maj, amazonka i aleje Lasku w coraz to innym układzie. Rękopis zawierał również wyjaśnienia, czasem niepomiarne długie, oraz warianty. Ale u końca ostatniej stronicy staranna ręka napisała świeżym jeszcze atramentem: "Moja droga Jeanne, dziś jest Boże Narodzenie..." Nad tym troskliwie wykaligrafowana, widniała ostatnia wersja zdania.

— Niech pan przeczyta — powiedział Grand. I Rieux przeczytał.

"W piękny poranek majowy smukła amazonka, siedząc na wspaniałej kasztance, jechała wśród kwiatów alejami Lasku..."

— Czy dobrze? — zapytał stary gorączkowo. Rieux nie podniósł na niego oczu.

— Ach! — rzekł Grand podniecony. — Wiem, wiem. Piękny, piękny, to nie jest właściwe słowo. Rieux ujął jego rękę leżącą na kółdrze.

— Niech pan da spokój, doktorze. Nie będę miał czasu...

Jego pierś uniosła się z trudem; nagle krzyknął: — Niech pan to spali!

Doktor zawahał się, ale Grand powtórzył rozkaz z tak straszliwym akcentem i z takim cierpieniem w głosie, że Rieux wrzucił kartki do wygasłego już niemal ognia. Pokój rozjaśnił się nagle i ogrzało go na chwilę ciepło. Kiedy doktor wrócił do chorego, tamten leżał odwrócony plecami i jego twarz dotykała niemal ściany. Tarrou patrzył przez okno, jakby nie uczestniczył w tej scenie. Rieux wstrzyknął serum i powiedział przyjacielowi, że Grand nie przetrzyma nocy; Tarrou zaproponował, że zostanie z nim. Doktor się zgodził.

Przez całą noc prześladowała go myśl, że Grand umrze. Ale nazajutrz zastał Granda siedzącego na łóżku; rozmawiał z Tarrou. Gorączka znikła. Pozostały tylko oznaki wyczerpania ogólnego.

— Ach, doktorze — powiedział urzędnik — nie miałem racji. Ale zacznę na nowo. Pamiętam wszystko, zobaczy pan.

— Poczekajmy — rzekł Rieux do Tarrou.

Ale w południe nic się nie zmieniło. Wieczorem można było uważać, że Grand jest uratowany. Rieux nie rozumiał nic z tego zmartwychwstania.

Jednakże w tym samym mniej więcej okresie przywieziono do Rieux chorą; uznał jej stan za beznadziejny i kazał ją odizolować, zaledwie przybyła do szpitala. Dziewczyna majaczyła i miała wszelkie objawy dżumy płucnej. Ale nazajutrz rano gorączka spadła. Doktorowi zdawało się, że rozpoznaje znów, jak w przypadku Granda, polepszenie poranne, które doświadczenie nauczyło go uważać za zły znak. Jednakże w południe gorączka się nie podniosła. Wieczorem podskoczyła tylko o kilka dziesiątych, a na drugi dzień rano znikła. Dziewczyna, choć osłabiona, oddychała bez trudu. Rieux powiedział do Tarrou, że wbrew wszystkim regułom jest uratowana. W ciągu tygodnia doktor miał jeszcze cztery podobne wypadki.

Z końcem tygodnia stary astmatyk przyjął doktora ze wszelkimi oznakami wielkiego wzburzenia.

— Proszę — mówił — wychodzą znowu.

— Kto?

— No, szczury!

Od kwietnia nie znaleziono ani jednego szczura.

— Czy to zacznie się na nowo? — powiedział Tarrou do Rieux.

Stary zacierał ręce.

— Trzeba widzieć, jak biegną! Prawdziwa przyjemność.

Widział dwa żywe szczury, które przyszły do mieszkania przez drzwi od ulicy. Sąsiedzi donieśli mu, że u nich także pojawiły się szczury. Na strychach znowu słychać było dźwięki zapomniane od miesięcy.

Rieux czekał na ogłoszenie statystyk ogólnych, które przypadały na początek każdego tygodnia. Statystyki oznajmiały cofanie się choroby.

## V

Chociaż to nagłe cofnięcie się choroby było niespodziane, nasi współobywatele nie spieszyli się z radością. Minione miesiące, budząc w nich coraz większe pragnienie wyzwolenia, nauczyły ich ostrożności i przyzwyczyły coraz mniej liczyć na szybki koniec epidemii. Jednakże ten nowy fakt był na ustach wszystkich i w głębi serc drżała nie wyznana wielka nadzieja. Wszystko inne schodziło na drugi plan. Nowe ofiary dżumy niewiele ważyły przy tym ogromnym fakcie: statystyki spadły. Jednym ze znaków, że ery zdrowia, której nie spodziewano się otwarcie, oczekiwano jednak skrycie, było to, iż nasi współobywatele mówili odtąd chętnie, choć przybierając obojętne miny, o sposobie, w jaki zorganizują swoje życie po dżumie.

Wszyscy myśleli zgodnie, że nie odnajdą od razu wygod minionego życia i że łatwiej jest zburzyć niż zbudować. Uważali tylko, że aprowizacja może polepszyć się nieco i że w ten sposób pozbędą się najpilniejszej z trosk. Ale spod tych nieszkodliwych uwag przebijała zarazem nadzieja tak bezsensowna, że nasi współobywatele zdawali sobie niekiedy z tego sprawę i zapewniali wówczas z pośpiechem, że mimo wszystko wyzwolenie nie nastąpi nazajutrz.

Rzeczywiście dżuma nie ustała nazajutrz, ale wyglądało na to, że słabnie szybciej, niż na zdrowy rozsądek można się było spodziewać. Przez pierwsze dni stycznia zimno trzymało się z niespotykanym uporem i jakby krystalizowało się nad miastem. A jednak nigdy niebo nie było tak błękitne. Jego nieruchomy i mroźny blask zatapiał nasze miasto od rana do wieczora w nieustannym świetle. Zdawało się, że w tym oczyszczonym powietrzu dżuma w ciągu trzech tygodni wyczerpała się stopniowo, wystawiając coraz mniej liczne szeregi trupów. W krótkim okresie czasu straciła niemal wszystkie siły, które gromadziła przez miesiące. Widząc, jak się jej wymyka pewny łup, na przykład Grand czy dziewczyna ze szpitala Rieux, jak przez dwa lub trzy dni nasila się w pewnych dzielnicach, gdy z innych znika zupełnie, jak mnoży ofiary w poniedziałek, a w środę pozwala ujść niemal wszystkim, jak traci oddech i spieszy się, można było powiedzieć, że

dżuma ulega rozkładowi ze zdenerwowania i zmęczenia, że wraz z panowaniem nad sobą traci matematyczną i wszechwładną skuteczność, która była jej siłą. Serum Castela przyniosło nieoczekiwane sukcesy, nie znane dotychczas. Każdy ze środków stosowanych przez lekarzy, które przedtem nie dawały żadnego rezultatu, stawał się nagle niezawodny. Zdawało się, że z kolei dżuma jest osaczona i jej niespodziana słabość staje się siłą stępionej broni, jaką z nią dotąd walczono. Tylko od czasu do czasu choroba nabierała hartu i w ślepym jakby skoku porywała kilku chorych, których wyzdrowienia się spodziewano. Byli to pechowcy dżumy, zabijała ich w pełni nadziei. Tak właśnie wyglądał wypadek sędziego Othona, którego musiano zabrać z obozu kwarantanny, i Tarrou powiedział, że nie miał on szczęścia, przy czym nie sposób było dociec, czy myślał o śmierci, czy o życiu sędziego.

Niemniej zaraza cofała się na całej linii i komunikaty prefektury, które zrazu wzbudziły nieśmiałą i utajoną nadzieję, utwierdzały w końcu w umysłach przekonanie, że odniesiono zwycięstwo i że choroba oddaje swe pozycje. Naprawdę trudno było orzec, czy chodzi o zwycięstwo. Należało jedynie stwierdzić, że choroba odchodzi tak samo, jak przyszła. Strategia walki nie zmieniła się, bezskuteczna wczoraj, dziś na pozór szczęśliwa. Zdawało się tylko, że choroba wyczerpuje się sama z siebie, a może też cofa się, osiągnąwszy wszystkie swoje cele. Jej rola w pewien sposób się skończyła.

Niemniej trzeba powiedzieć, że nic nie zmieniło się w mieście. Ulice, wciąż ciche w ciągu dnia, zagarniał wieczorem ten sam tłum, tyle tylko że przeważały teraz płaszcze i szale. Kina i kawiarnie robiły te same interesy. Ale patrząc bardziej z bliska, można było zauważyć, że twarze rozprężyły się i czasem pojawiał się na nich uśmiech. Była to okazja, by stwierdzić, że dotychczas nikt nie uśmiechał się na ulicy. W nieprzezroczystej zasłonie, która okrywała miasto, powstała dziura, i słuchając co poniedziałek wiadomości przez radio, każdy mógł stwierdzić, że dziura się powiększa i że wreszcie wolno będzie odetchnąć. Była to na razie ulga negatywna, której nie wyrażano otwarcie. Ale jeśli dawniej przyjęto by z pewnym niedowierzaniem wiadomość, że odjechał pociąg, przybił statek albo że znów wolno będzie jeździć samochodami, oznajmienie w połowie stycznia tych faktów nie wywołało żadnego zdumienia. Było to niewątpliwie mało. Ale ta nieznaczna różnica wyrażała w istocie ogromne postępy naszych współobywateli na drodze nadziei. Można powiedzieć zresztą, że począwszy od chwili, gdy najlżejsza nadzieja stała się dla ludności osiągalna, skończyło się rzeczywiście panowanie dżumy.

Jednakże przez cały styczeń nasi współobywatele reagowali w sposób sprzeczny. Przechodzili na przemian od podniecenia do depresji. Tak więc zanotowano nowe próby ucieczki właśnie w chwili, gdy statystyki były najbardziej pomyślne. Bardzo to zaskoczyło władze, a nawet strażników, skoro większość ucieczek się udała. Ale ludzie uciekający wówczas byli posłuszni naturalnym uczuciom. Jednym dżuma wszczepiła głęboki sceptycyzm, od którego nie mogli się uwolnić. Nadzieja nie miała już do nich dostępu. Nawet gdy czas dżumy już minął, nadal żyli wedle swoich norm. Byli spóźnieni w stosunku do wypadków. Natomiast w innych, a rekrutowali się oni spośród ludzi oddzielonych od istot, które kochali, wiatr nadziei, wiejący po tym długim okresie zamknięcia i przygnębienia, wzniecił gorączkę i niecierpliwość, odbierając im wszelkie panowanie nad sobą. Na myśl o tym, że mogą umrzeć tak bliscy celu, że nie zobaczą ukochanej istoty i że te długie cierpienia nie zostaną im wynagrodzone, ogarniał ich rodzaj paniki. I kiedy przez całe miesiące, mimo więzienia i wygnania, trwali z ponurym uporem w oczekiwaniu, dość było pierwszej nadziei, by zburzyć to, czego strach i rozpacz nie mogły naruszyć. Spieszyli się jak szaleńcy, żeby wyprzedzić dżumę, niezdolni iść jej krokiem aż do ostatka. W tym samym zresztą czasie zauważono pierwsze oznaki spontanicznego optymizmu. Tak więc ceny znacznie się obniżyły. Z ekonomicznego punktu widzenia ta obniżka była niezrozumiała. Trudności były te same, przy bramach nadal obowiązywały rygory kwarantanny, aprowizacja się ani trochę nie poprawiła. Było to więc zjawisko wyłącznie moralne, jak gdyby cofanie się dżumy wszędzie odbiło się echem. Optymizm ogarniał też tych, którzy dawniej żyli w grupach, a rozproszyli się na skutek choroby. Dwa klasztory miasta zorganizowały się na nowo i można było rozpocząć wspólne życie. To samo dotyczyło wojskowych, których znów zgromadzono w wolnych koszarach; wrócili do normalnego życia w garnizonie. Te drobne fakty były wielkimi znakami.

Ludność żyła w ukrytym wzburzeniu aż do 25 stycznia. W owym tygodniu statystyki spadły tak nisko, że po naradzie z komisją lekarską prefektura ogłosiła, iż epidemia uległa zahamowaniu. Komunikat dodawał, co prawda, że w imię ostrożności, na którą niezawodnie zgodzą się mieszkańcy miasta, bramy pozostaną zamknięte jeszcze przez dwa tygodnie, środki profilaktyczne zaś będą obowiązywały przez miesiąc. W tym okresie, przy najmniejszym znaku, że niebezpieczeństwo powraca, "status quo zostanie zachowany i konieczne będzie wprowadzenie dalszych zarządzeń". Jednakże to uzupełnienie wszyscy uważali zgodnie za klauzulę stylistyczną i 25 stycznia wieczorem

miasto wypełniło radosne ożywienie. Przyłączając się do radości powszechnej, prefekt wydał rozkaz, by przywrócić oświetlenie z czasów zdrowia. Pod zimnym i czystym niebem nasi współobywatele wylegli hałaśliwymi i śmiejącymi się grupami na iluminowane ulice.

Rzecz jasna, że w wielu domach okiennice były zamknięte i niektóre rodziny spędzały w ciszy ten wieczór pełen krzyków radości. Jednakże wiele z tych istot noszących żalobę doznawało też głębokiej ulgi, czy to dlatego, że ucichł lęk przed utratą innych krewnych, czy też dlatego, że nie byli już zagrożeni w swym własnym poczuciu bezpieczeństwa. Ale najbardziej dalekie od radości ogólnej były bez wątpienia te rodziny, które miały teraz w szpitalu chorego zmagającego się z dżumą i czekały w domach kwarantanny lub własnych, aż dżuma naprawdę zostawi ich w spokoju, tak jak zostawiła innych. Te rodziny doznawały na pewno nadziei, ale była ona dla nich rezerwą, z której zabraniały sobie czerpać, zanim będą miały do tego prawo. I to oczekiwanie, ten milczący wieczór w pół drogi od agonii do radości wydawał im się jeszcze bardziej okrutny wśród powszechnego szczęścia.

Ale te wyjątki nie umniejszały w niczym radości innych. Niewątpliwie dżuma jeszcze się nie skończyła i miała tego dowieść. Mimo to we wszystkich wyobraźniach pociągi o tygodnie wcześniej odjeżdżały nie kończącymi się drogami i statki pruły świetliste morze. Nazajutrz wyobraźnie uspokoją się i wątpliwości zrodzą się znowu. Ale w tej chwili całe miasto drgnęło, porzuciło zamknięte, mroczne i nieruchome miejsca, gdzie zapuściło swe kamienne korzenie, i szło z ładunkiem tych, co pozostali przy życiu. Tego wieczora Tarrou i Rieux, Rambert i inni, idąc wśród tłumu, czuli także, jak ziemia ucieka im spod stóp. Długo po opuszczeniu bulwarów Tarrou i Rieux słyszeli za sobą tę radość, nawet wtedy, gdy szli pustymi uliczkami wzdłuż okien z zamkniętymi okiennicami. Zmęczenie nie pozwalało im oddzielić tego cierpienia, trwającego wciąż za okiennicami, od radości napełniającej ulice nieco dalej. Nadchodzące wyzwolenie miało twarz, na której śmiech mieszał się ze łzami.

W chwili gdy wrzawa stała się jeszcze głośniejsza i bardziej radosna, Tarrou przystanął. Po ciemnej jezdni biegł lekko jakiś kształt. Był to kot, pierwszy, jakiego widziano od wiosny. Zatrzymał się na moment pośrodku jezdni, zawahał, polizał łapę, przeciągnął ją szybko po prawym uchu, cicho ruszył w drogę i znikł w nocy. Tarrou się uśmiechnął. Mały staruszek także będzie zadowolony.



Ale w chwili gdy dżuma oddalała się, by wrócić do nieznannej kryjówki, skąd cicho przyszła, to jej odejście przynajmniej jednego człowieka wprawiało w popłoch: był to Cottard, jeśli wierzyć notatkom Tarrou.

Prawdę mówiąc, te notatki stały się dość dziwaczne, odkąd statystyki zaczęły spadać. Pismo trudno było odczytać, może z powodu zmęczenia, i autor zbyt często przechodził od jednego tematu do drugiego. Co więcej, notatki po raz pierwszy przestają być obiektywne i pojawiają się w nich rozważania osobiste. Tak więc wśród długich ustępów dotyczących Cottarda, krótka relacja o małym staruszku od kotów. Jeśli wierzyć Tarrou, dżuma w niczym nie umniejszyła jego szacunku dla tej postaci, która interesowała go po epidemii tak samo jak przed nią; niestety, nie mógł się nią nadal interesować, choć nie dlatego, że zabrakło mu życzliwości. Tarrou próbował bowiem odszukać staruszka. W kilka dni po owym wieczorze 25 stycznia stanął na rogu małej uliczki. Koty były na miejscu, grzały się w kałużach słońca, lojalnie stawiając się na spotkanie. Ale o ustalonej godzinie okiennice były uparcie zamknięte. W ciągu następnych dni nie otworzyły się również. Tarrou wyciągnął stąd osobliwy wniosek, że staruszek jest zirytowany lub umarł; jeśli jest zirytowany, to dlatego, iż uważa, że miał słuszość, a dżuma wyrządziła mu krzywdę; jeśli zaś umarł, należało zadać sobie pytanie, tak samo jak w przypadku starego astmatyka, czy nie był to święty. Tarrou nie myślał, żeby tak było, ale sądził, że w przypadku staruszka kryje się "wskazanie". "Być może — pisał w notatnikach — może dojść tylko do przybliżonych form świętości. W takim razie należy się zadowolić skromnym i miłosiernym satanizmem".

W notatkach, przemieszane z obserwacjami dotyczącymi Cottarda, znajdują się również liczne, rozproszone często uwagi; jedne z nich odnoszą się do zdrowego już Granda, który zabrał się do pracy, jak gdyby nic się nie zdarzyło, inne zaś do matki doktora Rieux. Kilka jej rozmów z Tarrou, do czego uprawniało wspólne mieszkanie, postawa starej kobiety, jej uśmiech, jej spostrzeżenia na temat dżumy, wszystko to jest zanotowane skrupulatnie. Tarrou podkreślał przede wszystkim, że pani Rieux jest jak gdyby przygaszona; że wyraża wszystko prostymi zdaniami; zwracał uwagę na jej szczególną sympatię dla pewnego okna wychodzącego na cichą ulicę, przy którym przesiaduje wieczorem, lekko wyprostowana, złożąwszy spokojnie ręce, i patrzy uważnie, aż zmierzch ogarnie pokój, zamieniając ją w czarny cień w szarym świetle, które ciemnieje z wolna i zaciera nieruchomą sylwetkę; na lekkość, z jaką przechodzi z pokoju do pokoju; na jej dobroć, której dowodów nigdy właściwie nie dała Tarrou, ale której

blask dostrzegał we wszystkim, co robiła czy mówiła; na to wreszcie, że wiedziała wszystko, choć nigdy się nie zastanawiała, a tyle w niej było ciszy i cienia, że mogła pozostać na wysokości każdego światła, nawet światła dżumy. Tu zresztą pismo Tarrou dziwnie się załamuje. Następne linie trudno odcyfrować i, jakby raz jeszcze dowodząc tego załamania, ostatnie słowa są pierwszymi o charakterze osobistym: "Moja matka też była taka, jakby przygaszona, i to w niej kochałem, i zawsze chciałem z nią być razem. Minęło osiem lat, a nie mogę powiedzieć, że nie żyje. Gasła tylko coraz bardziej i kiedy odwróciłem się, już jej nie było".

Ale trzeba wrócić do Cottarda. Odkąd statystyki spadły, Cottard był wielokrotnie u Rieux, pod różnymi pretekstami. Ale w rzeczywistości wciąż pytał Rieux o prognozę rozwoju choroby. "Czy sądzi pan, że może urwać się nagle, bez uprzedzenia?" Był usposobiony sceptycznie albo przynajmniej tak mówił. Ponawiane pytania wskazywały jednak na to, że niezupełnie był swego pewien. W połowie stycznia Rieux odpowiedział mu w sposób dość optymistyczny. Za każdym razem te odpowiedzi, zamiast cieszyć Cottarda, wywoływały w nim reakcje przechodzące, zależnie od dnia, od złego humoru do przygnębienia. Kiedyś doktor musiał mu powiedzieć, że choć statystyki pozwalają na pomyślne wnioski, lepiej nie obwoływać jeszcze zwycięstwa.

— Inaczej mówiąc — zauważył Cottard — nic nie wiadomo, choroba może wrócić z dnia na dzień?

— Tak, ale jest też możliwe, że proces wyzdrowienia stanie się szybszy.

Ta niepewność, budząca niepokój we wszystkich, wyraźnie ulżyła Cottardowi; w obecności Tarrou wdał się w rozmowy z kupcami ze swej dzielnicy, propagując opinię Rieux. Nie miał z tym kłopotów, co prawda. Po gorączce pierwszych zwycięstw do wielu umysłów wróciły wątpliwości, które miały wziąć górę nad podnieceniem wywołanym przez komunikat prefektury. Cottarda podnosił na duchu ten niepokój. Podobnie jak kiedy indziej ulegał też zniechęceniu. "Tak — mówił do Tarrou — w końcu otworzą bramy. I zobaczy pan, wszyscy mnie porzucą!"

Przed 25 stycznia rzucała się w oczy zmienność jego usposobienia. Wpierw długo zabiegał o zjednanie sobie dzielnicy i o stosunki z ludźmi, potem otwarcie występował przeciwko nim. Przynajmniej wyglądało na to, że porzucą wszelkie towarzystwo; nagle zaczynał żyć dziko. Nie widywano go ani w restauracjach, ani w teatrze, ani w ulubionych kawiarniach. A jednak, nie zdawało się, żeby wracał do regularnego i tajemniczego życia, jakie wiódł przed epidemią. Żył w swym mieszkaniu zupełnie sam,

posiłki przynoszono mu z sąsiedniej restauracji. Tylko wieczorem wychodził ukradkiem, kupował, co mu było trzeba, i wybiegał ze sklepów na puste ulice. Jeśli Tarrou spotykał go wówczas, nie potrafił wydobyć z niego nic prócz kilku oderwanych słów. Potem stawał się nagle towarzyski, rozprawał o dżumie, zasięgając u każdego opinii i wieczorem z upodobaniem zanurzał się w fali ludzkiej.

W dniu, kiedy ogłoszono komunikat prefektury, Cottard znikł kompletnie. W dwa dni potem Tarrou spotkał rentiera błakającego się po ulicach. Cottard poprosił go, żeby mu towarzyszył na przedmieście. Tarrou wahał się, zmęczył go bardzo dzień. Ale tamten nalegał. Był wzburzony, gestykulował bezładnie, mówił szybko i głośno. Zapytywał swego towarzysza, czy myśli, że oświadczenie prefektury rzeczywiście kładzie kres dżumie. Tarrou uważał, że oświadczenie administracji samo przez się nie może naturalnie zatrzymać zarazy, ale rozsądek pozwala przypuszczać, że epidemia się skończy, chyba że zajdą nieprzewidziane wypadki.

— Tak — powiedział Cottard — chyba że zajdą nieprzewidziane wypadki. A te zdarzają się zawsze.

Tarrou zwrócił mu uwagę, że prefektura w pewien sposób przewidziała zresztą nieprzewidziane wypadki, ustalając dwutygodniowy termin przed otwarciem bram.

— I dobrze zrobili — rzekł Cottard, wciąż ponury i wzburzony — ponieważ z biegu wydarzeń wynika, że mogłoby to być próżne gadanie.

Tarrou uznał to za możliwe, myślał jednak, że raczej należy liczyć się z rychłym otwarciem bram i powrotem do normalnego życia.

— Przypuśćmy — powiedział Cottard — przypuśćmy, ale co nazywa pan powrotem do normalnego życia?

— Nowe filmy w kinach — rzekł Tarrou z uśmiechem. Ale Cottard nie uśmiechał się. Chciał wiedzieć, czy należy myśleć, że dżuma nie zmieniła nic w mieście i wszystko będzie jak przedtem, to znaczy, jakby nic nie zaszło. Tarrou sądził, że dżuma zmieniła miasto i nie zmieniła go, że teraz nasi współobywatele będą pragnąć najgoręcej, żeby wszystko wyglądało tak, jakby nic się nie zmieniło, a zatem w pewnym sensie nic się nie zmieni; w innym jednak sensie nawet przy dobrej woli nie można wszystkiego zapomnieć i dżuma pozostawi ślady, przynajmniej w sercach. Rentier oświadczył wprost, że nie obchodzi go serce, jest ono nawet ostatnią z jego trosk. Chce się dowiedzieć, czy organizacja się nie zmieni, na przykład, czy wszystkie urzędy będą działać tak samo jak w przeszłości. Tarrou musiał przyznać, że nic mu o tym nie wiadomo. Należy przypuszczać,

że wszystkie te urzędy, których praca została zakłócona podczas epidemii, będą miały kłopoty z rozpoczęciem normalnego funkcjonowania. Można sądzić również, że pojawi się wiele nowych problemów, dzięki czemu powstanie konieczność reorganizacji dawnych urzędów.

— Ach, to rzeczywiście możliwe — powiedział Cottard — wszyscy powinni rozpocząć wszystko na nowo.

Zbliżyli się do domu Cottarda. Rentier ożywił się i silił się nawet na optymizm. Wyobrażał sobie miasto przekreślające przeszłość, zaczynające życie na nowo, od zera.

— No tak — rzekł Tarrou. — Zresztą może sprawy ułożą się i dla pana pomyślnie. W pewien sposób rozpocznie pan nowe życie.

Byli przed bramą i ściskali sobie ręce.

— Ma pan rację — mówił Cottard coraz bardziej podniecony — zacząć od zera, to byłoby dobre.

Ale z ciemnego korytarza wynurzyli się dwaj mężczyźni. Tarrou zaledwie miał czas usłyszeć, jak jego towarzysz pyta, czego mogą chcieć te ptaszki. Ptaszki, które wyglądały na odświętnie wystrojonych funkcjonariuszy, zapytały Cottarda, czy nazywa się Cottard, ów zaś z głuchym okrzykiem obrócił się na pięcie i skoczył w noc, zanim tamci i Tarrou mieli czas zrobić jakikolwiek gest. Gdy zdumienie minęło, Tarrou zapytał dwóch mężczyzn, czego chcą. Odpowiedzieli z rezerwą i uprzejmie, że chodzi o informacje, i statecznie ruszyli w kierunku, w którym pobiegł Cottard.

Wróciwszy do domu, Tarrou zanotował tę scenę i zaraz potem (pismo dowodziło tego dostatecznie) wspomniął o swym zmęczeniu. Dodał, że ma jeszcze wiele roboty, ale to nie powód, żeby nie być gotowym, i zadawał sobie właśnie pytanie, czy jest gotów. W odpowiedzi napisał wreszcie (i tu kończą się notatki Tarrou), że zawsze jest taka godzina za dnia i w nocy, kiedy człowiek jest tchórzem, i że on boi się tylko tej godziny.

W dwa dni potem, a na kilka dni przed otwarciem bram, doktor Rieux wracał do domu w południe, zastanawiając się, czy zastanie telegram, na który czekał. Chociaż pracował równie wyczerpująco jak przy największym nasileniu dżumy, oczekiwał ostatecznego wyzwolenia i to odjęło mu zmęczenie. Miał teraz nadzieję i cieszył się z tego. Nie można wiecznie napinać woli i wiecznie okazywać hart, szczęściem jest rozwiązać w nagłym wybuchu snop sił zebranych do walki. Jeśli oczekiwany telegram

będzie także pomyślny, Rieux będzie mógł zacząć na nowo. Był zdania, że wszyscy zaczną na nowo.

Przechodził obok łóża dozorca. Nowy dozorca oparty o szybę uśmiechał się do niego. Wchodząc na schody, Rieux ujrzał swoją twarz wyblakłą od zmęczenia i niedostatków.

Tak, kiedy abstrakcja się skończy, rozpocznie na nowo, i przy odrobinie szczęścia... Ale w tej chwili otworzył drzwi; matka szła mu na spotkanie, by oznajmić, że pan Tarrou nie czuje się dobrze. Wstał rano, ale nie mógł wyjść i położył się znowu. Pani Rieux była niespokojna.

— Może to nic poważnego — powiedział syn.

Tarrou leżał wyciągnięty, ciężka głowa złościła wałek, mocna pierś rysowała się pod grubym kocem. Miał gorączkę, bolała go głowa. Powiedział do Rieux, że objawy są nieokreślone, ale może to być również dżuma.

— Nie, nie wiadomo jeszcze — rzekł Rieux, kiedy go zbadał.

Ale Tarrou paliło pragnienie. W korytarzu Rieux powiedział do matki, że to może być początek dżumy.

— Och — zawołała — to niemożliwe, nie teraz!

I zaraz potem:

— Zatrzymajmy go w domu, Bernard.

Rieux zastanawiał się.

— Nie mam prawa — powiedział. — Ale bramy zostaną otwarte. Myślę, że byłoby to pierwsze prawo, z jakiego bym skorzystał, gdyby ciebie nie było tutaj.

— Bernard — odparła — zostaniemy oboje. Wiesz przecież, że byłam znowu szczepiona.

Doktor powiedział, że Tarrou był również szczepiony, ale może ze zmęczenia zapomniał o ostatnim zastrzyku serum i zachowaniu ostrożności.

Rieux szedł już do swego gabinetu. Kiedy wrócił do pokoju, Tarrou zobaczył, że doktor trzyma w ręce ogromne ampułki serum.

— Ach, to to — powiedział.

— Nie, to tylko ostrożność.

W odpowiedzi Tarrou wyciągnął rękę i poddał się nie kończącemu się zastrzykowi, który sam robił innym chorym.

— Zobaczymy wieczorem — powiedział Rieux i spojrzął Tarrou w twarz.

— A izolacja, Rieux?

— Nie jest pewne, czy pan ma dżumę.

Tarrou uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Po raz pierwszy widzę, żeby wstrzykiwano serum, nie zarządzając zarazem izolacji.

Rieux się odwrócił.

— Moja matka i ja będziemy pana pielęgnować. Będzie tu panu lepiej.

Tarrou zamilkł; doktor porządkując ampułki czekał, aż zacznie mówić, i nie odwracał się. Wreszcie podszedł do łóżka. Chory patrzył na niego. Twarz miał zmęczoną, ale szare oczy były spokojne. Rieux uśmiechnął się do Tarrou.

— Niech pan śpi, jeśli pan może. Wrócę wkrótce.

Gdy był przy drzwiach, usłyszał głos Tarrou, który go wzywał. Wrócił do mego.

Tarrou jak gdyby walczył ze sobą, żeby wyrazić w słowach to, co miał do powiedzenia.

— Rieux — wymówił wreszcie — należy mi wszystko mówić, potrzebuję tego.

— Przyrzekam.

Na grubo ciosanej twarzy Tarrou pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

— Dziękuję. Nie mam ochoty umrzeć i będę walczył. Ale jeśli partia jest przegrana, chcę przyzwoicie skończyć.

Rieux pochylił się i uściskał jego ramię.

— Nie — rzekł. — Trzeba żyć, żeby być świętym. Niech pan walczy.

W ciągu dnia ostre zimno zelżało nieco, ale po południu zaczął gwałtownie padać deszcz i grad. O zmierzchu niebo wypogodziło się trochę i chłód stał się bardziej przenikliwy. Rieux wrócił do domu wieczorem. Nie zdejmując okrycia, wszedł do pokoju przyjaciela. Matka doktora robiła na drutach. Zdawało się, że Tarrou nie poruszył się, ale jego usta, zbielejące od gorączki, mówiły o walce, jaką staczał.

— Jak tam? — zapytał doktor.

Tarrou wzruszył lekko szerokimi ramionami, wychylony nieco z łóżka.

— Cóż — odparł — przegrywam partię.

Doktor pochylił się nad nim. Pod płonąca skórą uformowały się gruczoły, wszystkie odgłosy podziemnej kuźni dobywały się z piersi; Tarrou, rzecz szczególna, miał oba rodzaje objawów. Prostując się, Rieux powiedział, że serum nie mogło jeszcze

podziałać. Ale fala gorączki podeszła Tarrou do gardła, zatapiając tych kilka słów, które chciał wymówić.

Po kolacji Rieux i jego matka wrócili, by usiąść przy chorym. Noc rozpoczęła się dla niego walką i Rieux wiedział, że ten ciężki bój z aniołem dżumy trwać będzie do świtu. Mocne ramiona i szeroka pierś Tarrou nie były najlepszą bronią; może raczej ta krew, która trysnęła niedawno pod igłą Rieux, a w tej krwi to, co jest bardziej skryte niż dusza, czego żadna nauka nie potrafiła wyjaśnić. Rieux zaś miał tylko patrzeć, jak jego przyjaciel walczy. Miesiące powtarzających się klęsk nauczyły go oceniać skuteczność tego, co miał robić — ropnie, którym powinien był sprzyjać, leki wzmacniające, które należało wstrzykiwać. Jego jedynym zadaniem, w gruncie rzeczy, było dostarczanie okazji temu przypadkowi, który pojawia się tylko sprowokowany. A trzeba było, żeby się pojawił. Rieux miał bowiem przed sobą twarz dżumy, która go zbijała z tropu. Raz jeszcze starała się sprowadzić na manowce skierowaną przeciw niej strategię, zjawiała się w miejscach, gdzie jej nie oczekiwano, by zniknąć z innych, gdzie już się ulokowała. Raz jeszcze usiłowała zaskoczyć.

Tarrou zmagał się nieruchomy. Ani razu w ciągu nocy nie przeciwstawił niepokoju atakom choroby, walcząc tylko całym swym ciężarem i całą ciszą. Ale też nie odezwał się ani razu, wyznając na swój sposób, że wyłączyć mu się niepodobna. Rieux śledził fazy walki jedynie w oczach przyjaciela, kolejno otwartych lub zamkniętych — powieki zaciśnięte na gałce ocznej albo, na odwrót, szeroko rozwarte, spojrzenie utkwione w jakimś przedmiocie lub spoczywające na doktorze i jego matce. Za każdym razem, gdy doktor napotykał to spojrzenie, Tarrou uśmiechał się w wielkim wysiłku.

W pewnej chwili rozległy się szybkie kroki na ulicy. Zdawały się uciekać przed dalekim pomrukiem, który zbliżał się powoli i wreszcie napełnił ulicę strumieniami wody: deszcz zaczął padać znowu, wkrótce pomieszany z gradem uderzającym o chodniki. Wielkie zasłony falowały u okien. W cieniu pokoju Rieux, który przez chwilę obserwował deszcz, patrzył znów na Tarrou oświetlonego nocną lampką. Matka doktora robiła na drutach, od czasu do czasu podnosząc głowę, by spojrzeć uważnie na chorego. Rieux zrobił już wszystko, co miał do zrobienia. Po deszczu w pokoju rosła cisza, pełna tylko niemego zgiełku niewidocznej walki. Doktor, skulony od bezsenności, wyobrażał sobie, że słyszy u skraju milczenia łagodny i regularny gwizd, który towarzyszył mu przez cały czas epidemii. Dał znak matce, żeby położyła się spać. Odmówiła ruchem głowy, jej

oczy zaślniły, potem końcem drutu zbadała starannie oczko, którego nie była pewna. Rieux wstał, żeby dać się napić choremu, potem usiadł znowu.

Przechodnie, korzystając z tego, że deszcz na chwilę przestał padać, szli szybko chodnikiem. Ich kroki cichły i oddalały się. Doktor po raz pierwszy stwierdził, że ta noc, pełna spóźnionych przechodniów, w której nie rozbrzmiewały już dzwonki ambulansów, przypominała dawne noce. Była to noc wolna od dżumy. I zdawało się, że choroba wygnana przez zimno, światła i tłum uciekła z ciemnych głębi miasta i schroniła się w tym ciepłym pokoju, by przypuścić ostatni szturm do bezwładnego ciała Tarrou. Zaraza nie miesiła już powietrza nad miastem. Pogwizdywała tylko w ciężkim powietrzu pokoju. To ją słyszał Rieux od wielu godzin. Trzeba było czekać, aż i tu się zatrzyma, aż i tu uzna się za pokonaną.

Niedługo przed świtem Rieux pochylił się ku matce:

— Musisz się położyć, żeby zastąpić mnie o ósmej. Zanim się położysz, zrób sobie płukanie.

Pani Rieux wstała, złożyła swoją robotę i podeszła do łóżka. Tarrou od niejakiego czasu miał oczy zamknięte. Pot skędzierzawił mu włosy na twardym czole. Pani Rieux westchnęła i chory otworzył oczy. Ujrzał łagodną twarz pochyloną nad sobą i pod ruchomymi falami gorączki pojawił się znów wytrwały uśmiech. Ale oczy zamknęły się zaraz. Gdy Rieux został sam, przesiadł się na fotel, który opuściła jego matka. Ulica była milcząca, a cisza teraz zupełna. W pokoju czuło się już chłód poranny.

Doktor zdrzemnął się, ale pierwszy wóz o świcie wytrącił go ze snu. Zadygotał i patrząc na Tarrou zrozumiał, że nastąpiła przerwa i że chory spał także. Koła pojazdu konnego toczyły się gdzieś w oddali. Za oknem było jeszcze czarno. Kiedy doktor zbliżył się do łóżka, Tarrou patrzył na niego bez wyrazu, jak gdyby znajdował się wciąż po stronie snu.

— Spał pan, prawda? — zapytał Rieux.

— Tak.

— Czy oddycha pan lepiej?

— Trochę. Czy to coś znaczy?

Rieux zamilkł i rzekł po chwili:

— Nie, to nic nie znaczy. Zna pan tak samo jak ja polepszenie poranne.

Tarrou zgodził się.

— Dziękuję — powiedział. — Niech mi pan zawsze daje dokładne odpowiedzi.



Rieux usiadł na łóżku. Czuł obok siebie nogi chorego, długie i twarde jak u trupa. Tarrou oddychał mocniej.

— Gorączka wróci, prawda, Rieux? — rzekł zadyszczanym głosem.

— Tak, ale w południe będziemy wiedzieli, czego się trzymać.

Tarrou zamknął oczy, zdawało się, że zbiera siły. Z jego rysów można było odczytać wyraz zmęczenia. Oczekiwał wzrostu gorączki, która dawała znać o sobie gdzieś w głębi ciała. Kiedy otworzył oczy, spojrzenie miał przyćmione. Rozjaśniło się dopiero, gdy ujrzał Rieux pochylonego nad sobą.

— Niech pan pije — mówił doktor. Tarrou wypił i głowa mu opadła.

— To trwa długo — powiedział.

Rieux ujął go za ramię, ale Tarrou, odwróciwszy oczy, już nie reagował. I nagle gorączka przypląnęła wyraźnie z powrotem, aż do jego czoła, jak gdyby zerwała gdzieś wewnętrzną zapórę. Kiedy spojrzenie Tarrou wróciło ku doktorowi, Rieux dodał mu otuchy twarzą pełną napięcia. Tarrou spróbował się znowu uśmiechnąć, ów uśmiech nie mógł jednak przejść przez zaciśnięte szczęki i usta zacementowane białawą pianą. Ale w stwardniałej twarzy oczy błyszczały jeszcze całym blaskiem odwagi.

O siódmej pani Rieux weszła do pokoju. Doktor udał się do swego gabinetu, żeby zatelefonować do szpitala i zapewnić sobie zastępstwo. Postanowił też odłożyć przyjęcia pacjentów; wyciągnął się na chwilę na kanapie, ale wstał niemal natychmiast i wrócił do pokoju. Tarrou miał głowę zwróconą w stronę pani Rieux. Patrzył na niewielki cień siedzący obok niego na krześle, z rękami splecionymi na udach. Przyglądał się pani Rieux z takim natężeniem, że położyła palec na ustach i wstała, by zgasić lampkę przy łóżku. Ale poprzez zasłony światło przesączało się szybko i w chwilę potem, gdy rysy chorego wynurzyły się z ciemności, pani Rieux mogła zobaczyć, że Tarrou wciąż na nią patrzy. Pochyliła się nad nim, poprawiła mu wałek pod głową i prostując się, położyła na chwilę rękę na jego wilgotnych i skręconych włosach. Usłyszała wówczas głuchy, z daleka idący głos, który mówił, że jej dziękuje i że teraz wszystko jest dobrze. Kiedy usiadła, Tarrou zamknął oczy i jego wycieńczona twarz, choć usta w niej były zagipsowane, zdawała się uśmiechać znowu.

W południe gorączka osiągnęła szczyt. Rodzaj kaszlu trzewnego wstrząsał ciałem Tarrou, który zaczął pluć tylko krwią. Gruczoły przestały nabrzmiwać, ale nie znikły — twarde jak śruby, przytwierdzone do wgłębień stawów — i Rieux uznał, że nie będzie można ich otworzyć. W przerwach między gorączką i kaszlem Tarrou od czasu do czasu

patrzył jeszcze na swych przyjaciół. Ale wkrótce oczy jego otwierały się coraz rzadziej, a światło, które rozjaśniało wówczas jego spustoszoną twarz, stawało się wciąż bledsze. Burza wstrząsająca konwulsyjnie tym ciałem rozświetlała je coraz rzadszymi błyskawicami i Tarrou, w głębi tej nawałnicy, odbijał powoli od brzegu. Rieux miał już przed sobą tylko nieruchomą maskę, z której znikł uśmiech. Ten kształt ludzki, który był mu tak bliski, przebity teraz ciosami oszczepu, wypalony nadludzkim bólem, wykrzywiony przez wszystkie nienawistne wiatry nieba, na jego oczach zanurzał się w wodach dżumy, a on był wobec tej katastrofy bezsilny. Miał pozostać na brzegu, z pustymi rękami i ściśniętym sercem, raz jeszcze bez broni, nie mając do czego się uciec w tym nieszczęściu. I w końcu łązy niemocy nie pozwoliły Rieux ujrzeć, jak Tarrou odwrócił się nagle do ściany i wydał głęboki jęk, jak gdyby gdzieś w nim pękła najważniejsza struna.

Noc nie była nocą walki, lecz ciszy. W tym pokoju odciętym od świata, nad tym martwym ciałem Rieux czuł zdumiewający spokój, który wiele nocy przedtem, na płaskich dachach górujących nad dżumą, nastąpił po ataku do bram. Już wtedy myślał o tej ciszy unoszącej się z łóżek, gdzie pozwolił umierać ludziom. Była to wszędzie ta sama pauza, ta sama uroczysta przerwa, to samo uspokojenie, które przychodziło po bitwach — cisza klęski. Ale ta cisza otaczająca teraz jego przyjaciela była tak gęsta, tak doskonale zgadzała się z ciszą ulic i miasta uwolnionego od dżumy, że Rieux czuł, iż tym razem chodzi o klęskę ostateczną, tę klęskę, która kończy wojny i nawet z pokoju czyni nieuleczalne cierpienie. Doktor nie wiedział, czy Tarrou odnalazł wreszcie spokój, ale w tej chwili wiedział przynajmniej, że odtąd dla niego samego nie ma spokoju, podobnie jak nie ma zawieszenia broni dla matki odciętej od syna czy dla człowieka, który pochował przyjaciela.

Za oknem była ta sama noc z zamarzłymi gwiazdami na czystym i lodowatym niebie. W na pół ciemnym pokoju czuło się chłód, który ciążył na szybach, wielki błady oddech polarnej nocy. Obok łóżka siedziała pani Rieux w swej zwykłej pozie, z prawej strony oświetlona lampką. Pośrodku pokoju, daleko od światła, Rieux czekał w swym fotelu. Przychodziła mu do głowy myśl o żonie, ale odtrącał te myśl za każdym razem.

Na początku nocy obcasy przechodniów dźwięczały wyraźnie w zimnej ciemności.

— Zająłeś się wszystkim? — zapytała pani Rieux.

— Tak, telefonowałem.

Wrócili do milczącego czuwania. Pani Rieux spoglądała od czasu do czasu na syna. Kiedy przychwytywał jedno z tych spojrzeń, uśmiechał się do niej. Znajome dźwięki nocy następowały po sobie na ulicy. Choć nie było jeszcze pozwolenia, kursowało już wiele aut. Ssały szybko jezdnię, znikwały i pojawiały się znowu. Głosy, wołania, cisza, krok konia, dwa tramwaje zgrzytające na zakręcie, nieokreślone hałasy i znów oddech nocy.

— Bernard?

— Tak.

— Nie jesteś zmęczony?

— Nie.

Wiedział, co myślała jego matka i że kochała go w tej chwili. Ale wiedział również, że kochać kogoś to nie wielkiego, a przynajmniej, że miłość nie jest nigdy dość mocna, by znaleźć swój własny wyraz. Tak więc jego matka i on będą się kochali zawsze w milczeniu. I ona umrze z kolei — lub on — choć przez całe życie nie mogli posunąć się dalej w wyznaniu swej czułości. W ten sam sposób żył obok Tarrou i Tarrou umarł tego wieczora, zanim mieli czas naprawdę przeżyć swą przyjaźń. Tarrou przegrał partię, jak mówił. Ale on, Rieux, co wygrał? Wygrał tylko tyle, że poznał dżumę i pamiętał o niej, że poznał przyjaźń i pamiętał o niej, że poznał czułość i pewnego dnia będzie mógł sobie o niej przypomnieć. Wszystko, co człowiek może wygrać w grze dżumy i życia, to wiedza i pamięć. Może to właśnie Tarrou nazywał wygraniami partii!

Znowu przejechało auto i pani Rieux poruszyła się na swym krześle. Rieux uśmiechnął się do niej. Powiedziała mu, że nie jest zmęczona, i zaraz potem:

— Trzeba, żebyś wyjechał odpocząć tam, w góry.

— Oczywiście, mam.

Tak, odpocznie tam. Dlaczegoż by nie? Będzie to także pretekst dla pamięci. Ale jeśli to jest właśnie wygranie partii, jak musi być trudno żyć tylko tym, co się wie i pamięta, i bez nadziei. Tak na pewno żył Tarrou i był świadom tego, ile jest jałowości w życiu bez złudzeń. Nie ma pokoju bez nadziei i Tarrou, który odmawiał ludziom prawa skazywania kogokolwiek, który wiedział przecież, że nikt nie może powstrzymać się od skazywania i że nawet ofiary są czasem katami, Tarrou żył w rozdarciu i sprzeczności i nigdy nie zaznał nadziei. Czy dlatego pragnął świętości i szukał pokoju w służbie ludziom? Doprawdy, Rieux nie wiedział i nie było to ważne. Jedyne obrazy Tarrou, jakie zachowa, były obrazami człowieka biorącego w garście kierownicę auta, żeby je

poprowadzić, lub ciężkiego ciała leżącego teraz bez ruchu. Ciepło życia i wizerunek śmierci, oto wiedza.

Dlatego też doktor Rieux przyjął rano ze spokojem wiadomość o śmierci żony. Był w gabinecie. Matka, biegnąc niemal, przyniosła mu telegram i wyszła, by dać napiwek posłańcowi. Kiedy wróciła, syn trzymał w ręce telegram. Spojrzała na niego, ale on patrzył uparcie przez okno na wspaniały poranek, który wstawał nad portem.

— Bernard — powiedziała pani Rieux.

Doktor popatrzył na nią z roztargnionym wyrazem twarzy.

— Telegram? — zapytała.

— Tak — odpowiedział doktor. — Przed ośmiu dniami.

Pani Rieux odwróciła głowę ku oknu. Doktor milczał. Potem powiedział matce, żeby nie płakała, że się tego spodziewał, ale że to mimo wszystko jest trudne. Mówiąc, wiedział po prostu, że w jego cierpieniu nie było niespodzianki. Od miesięcy i od dwóch dni był wciąż ten sam ból, który trwał nadal.

O świcie, w piękny poranek lutowy, bramy miasta otworzyły się wreszcie, co zostało powitane entuzjastycznie przez ludność, dzienniki, radio i komunikaty prefektury. Narratorowi pozostaje więc jeszcze rola kronikarza godzin radości, które nastąpiły po tym otwarciu bram, choć on sam nie należał do ludzi mogących ją podzielać całkowicie.

Zorganizowano wielkie zabawy w dzień i w nocy. Jednocześnie pociągi zaczęły dymić na dworcu, a statki z dalekich mórz kierowały się w stronę naszego portu, na swój sposób podkreślając, że dla wszystkich, którzy cierpieli rozłąkę, ten dzień jest dniem wielkiego połączenia.

Można sobie łatwo wyobrazić, czym może się stać poczucie rozłąki, które mieszkało w tyłu naszych współobywatelach. Pociągi przyjeżdżające tego dnia do miasta nie były mniej pełne od tych, które je opuszczały. Podczas dwóch tygodni zwłoki każdy zarezerwował sobie miejsce na ów dzień, drżąc, że w ostatniej chwili decyzja prefektury zostanie cofnięta. Pewni podróżni, zbliżający się do miasta, nie byli zresztą zupełnie wolni od lęku, jeśli znali bowiem na ogół losy ludzi obchodzących ich blisko, nie znali losów wszystkich innych i samego miasta, które w ich wyobrażeniu przybierało groźną twarz. Ale to odnosiło się tylko do tych, których przez cały ten czas nie spalała namiętność.

Zakochani bowiem oddani byli swej jedynej myśli. Jedno tylko zmieniło się dla nich: ów czas, który podczas miesięcy wygnania chcieliby pchnąć, żeby płynął szybciej, który przyspieszali zawzięcie, teraz, kiedy podjeżdżali już do miasta, kiedy pociąg zaczął hamować przed stacją, pragnęliby zatrzymać, zawiesić. Niejasna i ostra zarazem świadomość, że te wszystkie miesiące są stracone dla ich miłości, kazała im domagać się niejasno czegoś w rodzaju kompensaty, dzięki której czas radości płynąłby dwa razy wolniej niż czas czekania. Ci zaś, co oczekiwali ich w pokoju lub na peronie, jak Rambert, którego żona uprzedzona od tygodni zrobiła wszystko, co trzeba, żeby przyjechać, czuli tę samą niecierpliwość i niepokój. Rambert czekał bowiem z drzeniem na chwilę, kiedy porówna tę miłość czy czułość, przez miesiące dżumy sprowadzoną do abstrakcji, z istotą z ciała, która była jej podporą.

Pragnęby na powrót stać się tym człowiekiem, który na początku epidemii ogarnięty porywem chciał biec z miasta, by rzucić się na spotkanie ukochanej istoty. Ale wiedział, że to już niemożliwe. Zmienił się, dżuma odwróciła jego uwagę; ze wszystkich sił usiłował temu zaprzeczyć, ale to trwało w nim jak głuchy lęk. W pewnym sensie miał poczucie, że dżuma skończyła się zbyt brutalnie, zabrakło mu przytomności umysłu. Szczęście nadchodziło prędkim krokiem, wypadki były szybsze niż czekanie. Rambert zrozumiał, że wszystko zostanie mu zwrócone od razu, że radość jest wypaloną raną, którą nie można się delektować.

Wszyscy zresztą, bardziej lub mniej świadomie, doznawali tego samego co on i należy mówić o wszystkich. Na tym peronie dworca, gdzie rozpoczynali na nowo życie osobiste, czuli jeszcze łączność ze sobą, wymieniając spojrzenia i uśmiechy. Ale zaledwie ujrzeni dym pociągu, świadomość wygnania zgasła pod ulewą niejasnej i ogłuszającej radości. Kiedy pociąg stanął, skończyła się nie mająca końca rozłąka, która często zaczynała się na tym samym dworcu – w jednej sekundzie, w chwili gdy ramiona z oszalałą chciwością zamykały w uścisku to ciało, którego żywy kształt uciekł już z pamięci. Rambert nie miał czasu spojrzeć na istotę biegnącą ku niemu, gdy już przypadła do jego piersi. I trzymając ją co sił, przyciskając do siebie tę głowę, której znajome włosy tylko widział, dal upust łzom, nie wiedząc, czy są to łzy szczęścia, czy zbyt długo tłumionego cierpienia, pewien przynajmniej, że nie pozwolą mu sprawdzić, czy twarz kryjąca się w zagłębieniu jego ramienia jest tą, o której tak długo marzył, czy twarzą obcą. Dowie się później, czy to podejrzenie było prawdą. Na razie chciał

postępować jak wszyscy wokół niego, którzy zdawali się wierzyć, że dżuma może przyjść i odejść, a serce ludzkie pozostanie nie zmienione.

Przytuleni do siebie wrócili do domów, ślepi na resztę świata, z pozoru triumfując nad dżumą, zapominali o całej męce i o tych, którzy przyjechawszy tym samym pociągiem nikogo nie zastali na dworcu i przygotowywali się, by znaleźć w domu potwierdzenie obaw, jakie długie milczenie zrodziło już w ich sercach. Jeśli idzie o tych właśnie, którzy mieli teraz za towarzysza tylko swój świeży ból, oraz innych, którzy w tej chwili oddawali się wspomnieniu zmarłej istoty, wyglądało to całkiem inaczej i poczucie rozłąki osiągnęło tu swój zenit. Dla nich — matek, mężów, kochanków, którzy stracili całą radość, wraz z istotą zagubioną w bezimiennym dole lub zmieszaną z górą popiołu, była to wciąż dżuma.

Ale któż myślał o tych samotnościach? W południe słońce, zwyciężając zimne powiewy, które walczyły w powietrzu od rana, zalało miasto nieustającymi potokami nieruchomego światła. Dzień stanął. Armaty w fortach, na szczycie wzgórz, waliły bez przerwy w pogodne niebo. Całe miasto wyległo na ulicę, by święcić tę przytłaczającą chwilę, kiedy skończył się czas cierpień, a czas zapomnienia jeszcze się nie zaczął.

Tańczono na wszystkich placach. Z dnia na dzień ruch znacznie się zwiększał i liczniejsze teraz samochody jechały z trudem ulicami, które zagarnął tłum. Dzwony miasta przez całe popołudnie były nieustannie. Ich rozedrgane dźwięki wypełniały błękitne i złociste niebo. W kościołach odprawiano modły dziękczynne. Miejsca zabaw były jednak pełne po brzegi, w lokalach, nie dbając o jutro, podawano ostatnie alkohole. Przy kontuarach cisnął się tłum ludzi jednako podnieconych, a wśród nich liczne pary splecione uściskiem, niepomne, że wystawiają się na widok publiczny. Wszyscy krzyczeli lub śmiali się. Zapasy życia, które robili przez te miesiące, żyjąc życiem utajonym, zużywali dziś, w ten dzień, jakby był on dniem zmartwychwstania. Nazajutrz rozpocznie się zwyczajne życie, a wraz z nim przezorność. Na razie ludzie, różni pochodzeniem, poufaliili się i bratali. Tę równość, której nie stworzyła obecność śmierci, wprowadzała na kilka przynajmniej godzin radość wyzwolenia.

Ale ta banalna pełnia radości nie mówi jeszcze wszystkiego i ci, którzy pod koniec popołudnia zapełniali ulice, gdzie był też Rambert, pod spokojem kryli często delikatniejsze szczęście. Wiele par i wiele rodzin wyglądało rzeczywiście na lubiących spokój spacerowiczów. Naprawdę zaś większość z nich odbywała po cichu pielgrzymki do miejsc, gdzie cierpieli. Chodziło o to, by pokazać przybyłym widoczne czy ukryte

znaki dżumy, ślady jej historii. Niekiedy zadawano się rolą przewodnika, tego, co wiele widział, współczesnego dżumy, i mówiono o niebezpieczeństwie, nie przywołując strachu. Były to nieszkodliwe przyjemności. Kiedy indziej jednak te marszruty przyprowadzały o drżenie i kochanek, wydany łagodnemu lękowi wspomnień, mówił do swej towarzyszki: "W tym miejscu, w owym czasie, pragnąłem ciebie i nie było cię tutaj". Ci turyści uczuć mogli się wzajem rozpoznać: tworzyli wysepki szeptów i zwierzeń wśród zgiełku, który ich otaczał. Bardziej niż orkiestry na skrzyżowaniach ulic zwiastowali prawdziwe wyzwolenie. Te bowiem pary, zachwycone, ciasno przytulone do siebie, skąpe w słowa, z całym triumfem i niesprawiedliwością szczęścia potwierdzały we wrzawie powszechnej koniec dżumy i terroru. Wbrew wszelkiej oczywistości przeczyli spokojnie, jakobyśmy znali kiedykolwiek niedorzeczny świat, gdzie zabicie człowieka było równie powszednie jak zabicie muchy, tę precyzyjną dzikość, to wyrachowane szaleństwo, to uwięzienie przynoszące ze sobą straszną wolność wobec wszystkiego, co nie było terazniejszością, ten zapach śmierci wprawiający w odrętwienie tych wszystkich, których śmierć nie zabijała, przeczyli wreszcie, że byliśmy ogłuszonym ludem, którego część, stłoczona co dzień w piecu, ulatniała się tłustym dymem, podczas gdy reszta, w łańcuchu niemocy i strachu, czekała na swoją kolej.

W każdym razie rzucało się to w oczy doktorowi Rieux, który u schyłku popołudnia szedł sam na przedmieście, wśród dzwonów, armat, muzyki i ogłuszających krzyków. Jego zawód się nie zmienił; nie ma urlopu dla chorych. W pięknym i delikatnym świetle spływającym na miasto unosiły się dawne zapachy pieczonego mięsa i anyżowego alkoholu. Wokół niego wesołe twarze obracały się ku niebu. Mężczyźni i kobiety czepiali się siebie, z rozplamionymi twarzami, niespokojni, w krzyku pożądania. Tak, dżuma skończyła się wraz z terrorem, i te splatające się ręce mówiły, że była ona wygnaniem i rozłąką w głębokim sensie słowa.

Po raz pierwszy Rieux potrafił nadać imię temu rodzinnemu podobieństwu, które od miesięcy widział na twarzach wszystkich przechodniów. Wystarczyło teraz rozejrzeć się wokół siebie. Doszedłszy do kresu dżumy w nędzy i niedostatku, wszyscy ci ludzie włożyli w końcu strój z roli granej już od dawna, strój emigrantów, których twarz wpięrowa, a strój teraz mówiły o nieobecności i dalekiej ojczyźnie. Od chwili kiedy dżuma zamknęła bramy miasta, żyli tylko w rozłące, odcięci od tego ciepła ludzkiego, które sprawia, że o wszystkim się zapomina. W każdym zakątku miasta mężczyźni i kobiety pragnęli mniej lub bardziej tego połączenia, nie dla wszystkich tej samej natury, ale dla

wszystkich jednakowo niemożliwego. Większość ze wszystkich sił wzywała nieobecnych, spragniona ciepła drugiego ciała, czułości czy przyzwyczajenia. Niektórzy, często o tym nie wiedząc, cierpieli pozbawieni przyjaźni ludzi, nie mogąc do nich dotrzeć zwykłymi środkami, jakimi rozporządza przyjaźń — listem, pociągiem, statkiem. Inni, rzadsi, jak Tarrou może, pragnęli znaleźć coś, czego nie potrafili określić, co wydawało im się wszakże jedynym upragnionym dobrem. W braku innej nazwy nazywali to niekiedy pokojem.

Rieux wciąż szedł. W miarę jak się posuwał, tłum rósł wokół niego, hałas wzbierał i zdawało się, że przedmieście coraz bardziej się oddala. Z wolna Rieux stapiał się w jedno z tym wielkim ryczącym ciałem, którego krzyk coraz lepiej rozumiał i który, przynajmniej w części, był jego krzykiem. Tak, wszyscy cierpieli razem, ciałem i duszą, przeżyli bowiem trudne ferie, zaznali wygnania bez ratunku i nie zaspokojonego nigdy pragnienia. Pomędzy tymi stosami trupów, dzwonkami ambulansów, ostrzeżeniami tego, co zwykle się nazywało losem, pomiędzy upartym dreptaniem strachu i straszliwym buntem ich serc nie ustawał głos wzywający na alarm, mówiąc tym przerażonym istotom, że należy odnaleźć prawdziwą ojczyznę. Dla nich wszystkich prawdziwa ojczyzna znajdowała się poza murami tego zdławionego miasta. Była w pachnących krzakach na wzgórzach, w morzu, w wolnych krajach, w ciężarze miłości. Do niej, do szczęścia chcieli wrócić, odwracając się od reszty ze wstrętem.

Jaki sens miało wygnanie i pragnienie, by się połączyć, tego Rieux nie wiedział. Popychany ze wszystkich stron, nagabywany, docierał powoli do mniej ludnych ulic i myślał, że nie jest ważne, czy te rzeczy mają sens, czy go nie mają, ważna jest jedynie odpowiedź na nadzieję ludzi.

Znał już tę odpowiedź i na pierwszych, pustych niemal ulicach przedmieścia zdawał sobie z tego lepiej sprawę. Ci, którzy poprzestając na małym pragnęli tylko wrócić do domu swej miłości, czasem bywali wynagradzani. Byli wśród nich na pewno tacy, co nadal szli przez miasto samotni, bez kogoś, na kogo czekali. Do szczęśliwszych należeli jeszcze ci, którzy nie zostali dwukrotnie rozdzieleni, jak to się stało z ludźmi przed epidemią dalekimi jeszcze od zbudowania swej miłości, ale przez lata zmierzającymi ślepo do trudnej zgody, łączącej w końcu wrogich kochanków. Podobnie jak Rieux, liczyli lekkomyślnie na czas: byli rozłączeni na zawsze. Ale inni, jak Rambert, którego doktor pożegnał rano słowami: "Odwagi, teraz właśnie trzeba mieć rację", znaleźli od razu nieobecnego, choć myśleli, że jest dla nich stracony. Przez pewien czas



przynajmniej będą szczęśliwi. Wiedzieli teraz, że jeśli istnieje coś, czego można pragnąć zawsze i osiągnąć niekiedy, to jest to czułość ludzka.

Natomiast ci wszyscy, którzy ponad człowiekiem zwrócili się do czegoś, czego sobie nawet nie wyobrażali, ci nie znaleźli odpowiedzi. Tarrou osiągnął trudny pokój, o którym mówił, ale znalazł go dopiero w śmierci, w godzinie, kiedy nie mógł mu się już przydać na nic. Jeśli zaś inni, których Rieux widział w świetle zachodu na progu domów, złączonych mocnym uściskiem, patrzących na siebie z uniesieniem, osiągnęli to, co chcieli, to dlatego, że żądali jedynej rzeczy zależnej od nich samych. I Rieux, skręcając w ulicę Granda i Cottarda, myślał, że jest sprawiedliwie, by przynajmniej od czasu do czasu radość wynagradzała tych, którym wystarcza człowiek i jego biedna i straszna miłość.

Ta kronika dobiega końca. Czas więc, żeby doktor Bernard Rieux wyznał, że jest jej autorem. Zanim jednak opíše ostatnie wypadki, chciałby przynajmniej usprawiedliwić swoją interwencję i wytłumaczyć, że zależało mu na tonie obiektywnego świadka. Przez cały czas dżumy mógł dzięki swemu zawodowi widywać większość naszych współobywateli i poznać ich uczucia. Miał więc dobry punkt obserwacyjny i dlatego może zdać sprawę z tego, co widział i słyszał. Chciał to jednak uczynić z pożądanym umiarem. Starał się na ogół nie opisywać nic nad to, co widział, nie używać swym towarzyszom z dżumy myśli, których nie mieli, i korzystać jedynie z tekstów, jakich dostarczył mu przypadek czy nieszczęście.

Powołany do złożenia świadectwa w związku ze zbrodnią pewnego rodzaju, zachował niejaką rezerwę, jak przystoi świadkowi o dobrej woli. Ale jednocześnie, zgodnie z prawem uczciwego serca, stanął śmiało po stronie ofiar i chciał złączyć się z ludźmi, mieszkańcami tego samego miasta, w tym jedynie, co na pewno było im wspólne, to znaczy w miłości, cierpieniu i wygnaniu. Tak więc nie było takiego lęku, którego doznałoby jego współobywatele, a którego on by nie podzielał, ani takiej sytuacji, która nie byłaby jego sytuacją. Chcąc być wiernym świadkiem, musiał mówić przede wszystkim o czynach, dokumentach i pogłoskach. Ale o tym, co osobiście miał do powiedzenia, o swoim czekaniu, o swoich doświadczeniach, należało milczeć. Jeśli się czymś posłużył, to tylko po to, żeby rozumieć lub wytłumaczyć swych współobywateli i nadać kształt możliwie wyraźny temu, co najczęściej czuli niejasno. Prawdę mówiąc, ten rozsądny wysiłek niewiele go kosztował. Kiedy pragnął dodać swoje zwierzenia do tysiąca głosów zadżumionych, zatrzymywała go myśl, że każde jego cierpienie jest

zarazem cierpieniem innych, i że na świecie, gdzie ból tak często bywa samotny, ma to jakieś znaczenie. Stanowczo musiał mówić w imieniu wszystkich.

Ale jest przynajmniej jeden nasz współobywatel, w którego imieniu doktor Rieux nie mógł mówić. Chodzi o tego, o kim Tarrou powiedział pewnego dnia do Rieux: "Jedną tylko prawdziwą zbrodnię popełnił: zgodził się w swym sercu na to, co zabija dzieci i dorosłych. Resztę rozumiem, ale to muszę mu wybaczyć". Będzie więc słuszne, jeśli ta kronika skończy się na tym człowieku, który miał nieświadome serce, to znaczy serce samotne.

Kiedy doktor Rieux, opuściwszy wielkie, hałaśliwe i świętujące ulice, skręcał w ulicę Granda i Cottarda, zatrzymał go kordon policjantów. Tego się nie spodziewał. Przy dalekich odgłosach święta dzielnica wydawała się cicha i Rieux wyobrażał sobie, że jest tak samo pusta, jak niema. Pokazał swój dowód.

— Niemożliwe, panie doktorze — powiedział policjant. — Jakiś wariat strzela do tłumu. Ale niech pan tu zostanie, może pan być potrzebny.

W tej chwili Rieux ujrzał zbliżającego się ku niemu Granda. Grand też nic nie wiedział. Nie pozwolono mu przejść i poinformowano, że strzały padają z jego domu. Z daleka widać było fasadę, złotą w ostatnim blasku nie grzejącego już słońca. Od fasady odcinała się otaczająca ją przestrzeń, wielka i pusta aż do chodnika naprzeciw. Pośrodku jezdni widać było wyraźnie kapelusz i skrawek brudnego materiału. Rieux i Grand mogli ujrzeć bardzo daleko, po drugiej stronie ulicy kordon policjantów równoległy do tego, który nie pozwolił im iść dalej; za nim kilku mieszkańców dzielnicy przemykało się szybko. Rozejrzawszy się dobrze, zobaczyli w bramach kamienic naprzeciw policjantów z rewolwerami w rękach. Wszystkie okiennice domu były zamknięte. Na drugim piętrze jedna okiennica była wszakże na w pół odczepiona. Na ulicy panowała cisza zupełna. Słyszeć było tylko urywki muzyki z centrum miasta.

W pewnej chwili z kamienicy naprzeciw huknęły dwa wystrzały rewolwerowe i ze zgruchotanej okiennicy poleciały drzazgi. Z oddali, po zgiełku dnia, wszystko to wydawało się Rieux trochę nierzeczywiste.

— To okno Cottarda — powiedział nagle Grand bardzo wzburzony. — Ale przecież Cottard znikł.

— Dlaczego strzelają? — zapytał Rieux policjanta.

— Żeby odwrócić jego uwagę. Czekamy na wóz z potrzebnym sprzętem, bo strzela do tych, którzy próbują wejść przez bramę. Zranił policjanta.

— Dlaczego strzelał?

— Nie wiadomo. Ludzie bawili się na ulicy. Gdy strzelił pierwszy raz, nie rozumieli. Przy drugim strzale — krzyki, ranny, i wszyscy uciekli. Wariat, co tu gadać!

Wróciła cisza, minuty upływały wolno. Nagle z drugiej strony ulicy wypadł pies, pierwszy, jakiego Rieux widział od dawna; był to brudny wyżeł, którego właściciele ukrywali zapewne dotychczas; biegł wzdłuż murów. Niedaleko bramy zawahał się, usiadł na zadzie i położył się, żeby łapać pchły. Wezwały go gwizdki policjantów. Pies podniósł głowę, potem zdecydował się przejść powoli przez jezdnię, żeby obwąchać kapelusz. W tej samej chwili padł strzał z rewolweru z drugiego piętra i pies jak naleśnik przewrócił się na drugą stronę; ruszał gwałtownie łapami, aż w końcu upadł na bok i długo jeszcze wstrząsały nim drgawki. W odpowiedzi pięć czy sześć wystrzałów z bram naprzeciw do reszty pogruchotało okiennicę. Wróciła cisza. Słońce przesunęło się nieco i cień zaczął zbliżać się do okna Cottarda. Hamulce zgrzytnęły lekko na ulicy za doktorem.

— Są już — powiedział policjant.

Policjanci wyskoczyli zza pleców tych, co tworzyli kordon, niosąc sznury, drabinę i dwie podłużne paczki, zawinięte w naoliwione płótno. Weszli w ulicę, która okrążała grupę domów, naprzeciw kamienicy Cottarda. W chwilę potem raczej można było odgadnąć niż zobaczyć ruch w bramach tych domów. Czekano. Pies już się nie ruszał, mókł teraz w ciemnej kałuży.

Nagle z okien domów zajętych przez policjantów zaczął strzelać karabin maszynowy. Podczas strzelania okiennica, do której mierzono wciąż jeszcze, opadła zupełnie i pozostawiła otwartą, czarną przestrzeń, w której Rieux i Grand ze swych miejsc nie mogli nic zobaczyć. Kiedy strzelanie ustało, drugi karabin maszynowy zaterkotał z innego rogu, o dom dalej. Pociski trafiały niewątpliwie w kwadrat okna, skoro jeden z nich strącił odłamek cegły. W tej samej sekundzie trzech policjanci rzucili się biegiem przez jezdnię i wpadli do bramy. Niemal natychmiast pospieszyli za nimi trzej inni i karabin maszynowy przestał strzelać. Czekano jeszcze. Dwa dalekie wystrzały dobiegły z kamienicy. Potem rozległ się hałas i zobaczono, jak z domu wynoszą raczej, niż włoką małego mężczyznę bez marynarki, krzyczącego bez przerwy. Jakby cudem otworzyły się wszystkie zamknięte okiennice i w oknach pojawili się ciekawscy; tłum ludzi wychodził z domów i cisnął się za kordonem. W chwilę potem mały mężczyzna znalazł się na środku jezdni, wreszcie nogami na ziemi; policjanci wykręcili mu rękę do

tyłu. Krzyczał. Jakiś policjant podszedł do niego i z całej siły uderzył go dwa razy pięścią, statecznie, z pewną starannością.

— To Cottard — wybełkotał Grand. — Zwariował.

Cottard upadł. Policjant kopnął z rozmachem kupę leżącą na ziemi. Potem bezładny pochód ruszył z miejsca, idąc w stronę doktora i jego przyjaciela.

— Proszę przechodzić! — zawołał policjant.

Rieux odwrócił oczy, kiedy grupa ich mijała.

Grand i doktor szli w zmierzchu, który się kończył. Boczne ulice były znów pełne brzęczenia radosnego tłumu, jak gdyby wypadek strząsnął odrętwienie z dzielnicy. Przy domu Grand pożegnał doktora. Ma zamiar pracować. Ale w chwili gdy wchodził na schody, powiedział Rieux, że napisał do Jeanne i że jest teraz zadowolony. A poza tym zaczął na nowo swoje zdanie. "Wyrzuciłem wszystkie przymiotniki" — rzekł.

Z szelmowskim uśmiechem uchylił w ceremonialnym ukłonie kapelusza. Ale Rieux myślał o Cottardzie i głuchy dźwięk pięści miażdżących jego twarz prześladował go przez cały czas, gdy szedł w stronę domu starego astmatyka. Może bardziej ciężko jest myśleć o człowieku winnym niż martwym.

Kiedy Rieux przyszedł do starego pacjenta, noc zagarnęła już całe niebo. W pokoju słychać było daleki hałas wolności; stary, w takim samym humorze jak zawsze, przesypywał swój groch.

— Mają rację, że się bawią — mówił — trzeba wszystkiego na tym świecie. Ale co się stało z pańskim kolegą, doktorze?

Wystrzały dobiegały aż do nich, ale były to pokojowe odgłosy: dzieci rzucały petardy.

— Umarł — rzekł doktor, opukując chrapiącą pierś.

— Ach! — zawołał stary z niejakim zdumieniem.

— Na dzumę — dodał Rieux.

— Tak — przyznał stary po chwili — najlepsi odchodzą. Takie jest życie. Ale to był człowiek, który wiedział, czego chciał.

— Dlaczego pan to mówi? — zapytał doktor, składając stetoskop.

— Tak sobie. Nie mówił po to, żeby nic nie powiedzieć. Zresztą on mi się podobał. Ale tak to jest. Inni mówią: "To dzuma, mieliśmy dzumę". Jeszcze trochę, a poproszą o ordery. Co to jednak znaczy — dzuma? To życie, ot i wszystko.

— Niech pan nie zapomina o okadzaniu.

— Och, może pan być spokojny. Starczy mi jeszcze sił na długo i zobaczę ich wszystkich w trumnie. Ja umiem żyć.

Z daleka odpowiedziały mu ryki radości. Doktor stanął pośrodku pokoju.

— Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebym wyszedł na taras?

— Ależ nie. Chce pan zobaczyć ich z góry, co? Proszę bardzo. Oni zawsze są tacy sami.

Rieux skierował się ku schodom.

— Niech pan powie, doktorze, czy to prawda, że zbudują pomnik zmarłym na dżumę?

— Czytałem o tym w gazecie. Słup kamienny albo tablica.

— Byłem tego pewien. I będą mowy.

Stary śmiał się zduszonym śmiechem:

— Słyszę ich tutaj: "Nasi zmarli...", i pójda na jednego.

Rieux wszedł na schody. Wielkie i zimne niebo migotało nad domami, niedaleko wzgórz gwiazdy nabierały twardości krzemienia. Ta noc nie była tak różna od nocy, kiedy Tarrou i on przyszli tu, by zapomnieć o dżumie. Ale dziś morze szumiało głośniejsz u stóp skał. Powietrze było nieruchome i lekkie, wolne od brudnych powiewów, które przynosił ciepły wiatr jesienny. Zgiełk miasta wciąż uderzał o tarasy wraz z odgłosem fali. Ale ta noc była nocą wyzwolenia, a nie buntu. Daleka czerwień wśród czerni zdradzała bulwary i iluminowane place. W wolnej teraz nocy pragnienie nie natrafiało już na przeszkody i jego głos dochodził do Rieux.

Z ciemnego portu wlatywały rakiety towarzyszące oficjalnym zabawom. Miasto powitało je długim i głuchym okrzykiem. Cottard, Tarrou, ona, wszyscy, których kochał i stracił, martwi lub winni, byli zapomniani. Stary miał rację, ludzie są zawsze tacy sami. Ale w tym była ich siła i ich niewinność, i mimo całego bólu Rieux czuł, że tu z nimi się łączy. Wśród mocniejszych i dłuższych teraz okrzyków, które echo niosło aż do stóp tarasu, w miarę jak coraz więcej różnokolorowych bukietów pojawiało się na niebie, doktor Rieux postanowił napisać opowiadanie, które tu się kończy, żeby nie należeć do tych, co milczą, żeby świadczyć na korzyść zadżumionych, żeby zostawić przynajmniej wspomnienie niesprawiedliwości i gwałtu, jakich doznali, i powiedzieć po prostu to, czego można się nauczyć, gdy trwa zaraza: że w ludziach więcej rzeczy zasługuje na podziw niż na pogardę.

Wiedział jednak, że ta kronika nie może być kroniką ostatecznego zwycięstwa. Może być tylko świadectwem tego, co należało wypełnić i co niewątpliwie powinni wypełniać nadal, wbrew terrorowi i jego niestrudzonej broni, mimo rozdarcia osobistego, wszyscy ludzie, którzy nie mogąc być świętymi i nie chcąc zgodzić się na zarazy, starają się jednak być lekarzami.

Słuchając okrzyków radości dochodzących z miasta, Rieux pamiętał, że ta radość jest zawsze zagrożona. Wiedział bowiem to, czego nie wiedział ten radosny tłum i co można przeczytać w książkach: że bakcyl dżumy nigdy nie umiera i nie znika, że może przez dziesiątki lat pozostać uśpiony w meblach i bieliźnie, że czeka cierpliwie w pokojach, w piwnicach, w kufrach, w chustkach i w papierach, i że nadejdzie być może dzień, kiedy na nieszczęście ludzi i dla ich nauki dżuma obudzi swe szczury i pośle je, by umierały w szczęśliwym mieście.

**Przełożyła: Joanna Guze**